POLITYKA
Biografie

POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 8/2026 Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717

WARSZAWA CZASÓW „LALKI”



Pierwowzory bohaterów powieści
Miasto Bolesława Prusa
Czego autor nie mógł opisać

ISSN 2391-7717

WARSZAWA CZASÓW „LALKI”
Biografie

Uniwersytet Warszawski

Miejsce zapisane w historii, nauce i literaturze



UNIWERSYTET WARSZAWSKI

Bolesław Prus w mundurze studenta Szkoły Głównej Warszawskiej w 1868 roku. Została ona w późniejszych latach przekształcona w Uniwersytet Warszawski. Pisarz podjął tu studia na wydziale matematyczno-fizycznym. Głównego bohatera swojej powieści „Lalka", Stanisława Wokulskiego, wysłał na naukę w to samo miejsce. Wokulski musiał jednak przerwać studia z powodu wybuchu powstania styczniowego.

Fot. Konrad Brandel
Muzeum Narodowe w Warszawie

eprasa.pl 37c4d1858f



Dwie Warszawy

„Człowiek nie jest ostrygą, która tak przyrasta do swojej skały, że dopiero trzeba ją nożem odrywać” – mówi jeden z bohaterów „Lalki”. A jednak twórcę tej powieści postrzega się jako zrośniętego z Warszawą, a Warszawę XIX w. widzi się jego oczami. Każdy portret miasta tego czasu jest rozmową z Bolesławem Prusem.

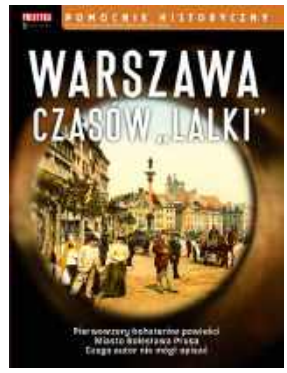
W 2026 r. na ekrany wchodzą aż dwie nowe ekranizacje „Lalki”. Odmienne interpretacje – serialowa Netflixa i filmowa – z różnymi obsadami aktorskimi odświeżają nasze spojrzenie na miasto gubernialne, które aspirowało do pozycji i znaczenia, ale możliwości miało ograniczone.

Proponujemy więc podróż po Warszawie tamtego czasu – z nieco większym oddechem, bo pokazujemy nie tylko lata 70. XIX w., ale też szerszą perspektywę aż do początków XX w. Portretujemy rzeczywistych bohaterów tamtych lat: pierwowzory Wokulskiego, Łęckich, księcia, Ochockiego, anachronicznych wielbicieli Napoleona, studentów i mniejszości narodowe. Istotnym wątkiem powieści są starania o rękę, toteż przypominamy sytuację kobiet. Odwiedzamy salony elity i zaułki półświatka, żegnamy starą arystokrację i witamy nową burżuazję i inteligencję. Przenosimy się do ówczesnych rzeczywiście funkcjonujących sklepów galanteryjnych i do warsztatów rzemieślników. Dajemy obraz życia codziennego: zakupów, restauracji, rozrywek na każdą kieszeń.

Możemy też pokusić się o to, czego Prus nie mógł skrępowany przez cenzurę. Nałożył na miasto filtr usuwający wszystko, co związane z rosyjską okupacją. Dlatego w powieści cień Cytadeli nie pada na mieszkańców, nie ma słowa o generał-gubernatorze ani urzędnikach państwowych (którymi nie mogli zostać Polacy), nie słychać języka rosyjskiego, nie widać powszechnie noszonych mundurów. Podczas kręcenia filmu fabularnego w 2025 r. na Krakowskim Przedmieściu stanęła monumentalna dekoracja, na kamienicach przytwierdzono dwujęzyczne napisy. Gdyby reżyser chciał z pietyzmem sfilmować czasy nieco późniejsze, miałby większy kłopot – Rosjanie klasycystyczną fasadę Pałacu Kazimierzowskiego przerobili w pozłocistym stylu bizantyńsko-ruskim, a na osi Ogrodu Saskiego w 1894 r. zaczęli budowę gigantycznego soboru św. Aleksandra Newskiego, dominującego nad tą częścią miasta.

Zapraszamy więc na wyprawę po dwóch Warszawach: powieściowej i tej w „Lalce” nieobecnej.

Jolanta Zarembina Redaktor wydania
Leszek Będkowski Redaktor Pomocników Historycznych
Jerzy Baczyński Redaktor naczelny POLITYKI



❖ Na okładce wykorzystano zdjęcie Warszawy zrobione między 1890 a 1900 r.

eprasa.pl 37c4d1858f

SPIS TREŚCI



PROLOG

Miasto gubernialne. Warszawa drugiej połowy XIX w. ... 6

W KRĘGU „LALKI”

Bolesław Prus. Twórca literackiego portretu miasta i jego mieszkańców ... 16

Kronenbergowie. Najpotężniejsza rodzina przemysłowców i bankierów Królestwa Polskiego ... 20

Lubomirscy. Arystokraci związani z Warszawą ... 24

Sieroty po Napoleonie. Podobni Ignacemu Rzeckiemu ... 28

Studencka brać. Portret zbiorowy żaków czasów „Lalki” ... 30

Energia kobiet. Inne niż Izabela Łęcka: ambitne emancypantki ... 34

Stanisław Eugeniusz Hiszpański. Rzemieślnik, który dorobił się kamienicy ... 38

Julian Ochorowicz. Naukowiec, wynalazca, pierwowzór Ochockiego ... 40

Aleksander Gierymski. Malarz realista epoki ... 43

Sokrat Starynkiewicz. Prezydent Warszawy w latach 1875–92 ... 48

KONTEKSTY

Zamorskie diabły. Co działo się w Europie i na świecie, kiedy Wokulski ubiegał się o rękę Łęckiej ... 52

Myśleć i pracować. Idee polskiego pozytywizmu ... 57

Poruszona drabina społeczna. Stara szlachta i nowa burżuazja ... 61

Moskal wszędzie. Rosyjscy urzędnicy i wojskowi w Warszawie ... 66

Ci inni. Mniejszości żydowska i niemiecka w oczach Polaków ... 72

Zaułki miasta. Półświatek złodziei, oszustów i stręczycieli ... 76

Zachwyt nad genialnością. Polscy naukowcy i ich wynalazki ... 80

Na otarcie łez. Towarzystwa dobroczynne i moda na filantropię ... 84

W pozłacanej klatce. Małżeństwo najważniejszą decyzją w życiu kobiety ... 87

Zobaczyć i być widzianym. Popularne rozrywki miejskie ... 92

Majonez z kapłonów, kompoty z pomarańcz. Co i gdzie jadali Warszawiacy ... 96

W najświeższych fasonach. Moda i sklepy dla elit ... 100

Zobaczyć „Lalkę”. Ekranizacje i adaptacje sceniczne kanoniczne oraz najnowsze ... 103

DETALE

Dźwięki miasta ... 15

Śmierć Napoleona III i jego syna ... 53

Wojna rosyjsko-turecka 1877–78 ... 54

Nowy papież Leon XIII ... 55

Zamachy na cesarza Wilhelma I ... 56

Zabójstwo aktorki Marii Wisnowskiej ... 68

Na szable i pistolety. Zakazane pojedynki ... 79

Charytatywne Towarzystwo Zupy Rumfordzkiej ... 86

AUTORZY

Błażej Brzostek – dr hab., prof. UW, historyk, pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. książek „Paryże innej Europy. Warszawa i Bukareszt, XIX i XX wiek” i „Wstecz. Historia Warszawy do początku”.

Andrzej Chwalba – prof. dr hab., historyk i eseista, pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim, badacz historii społecznej, kulturowej i politycznej, autor książki „Świat "Lalki".

Wika Filipowicz – etnografka, dziennikarka, popularyzatorka wiedzy.

Adam Kożuchowski – dr hab., prof. IH PAN, historyk, pracownik Zakładu Historii Idei i Dziejów Inteligencji w XIX–XX w. w Instytucie Historii PAN.

Andrzej Krajewski – dr, historyk, popularyzator wiedzy.

Aneta Kyzioł – krytyczka teatralna i serialowa, dziennikarka tygodnika POLITYKA.

Marta Michalska – dr, historyczka, autorka książki „Dźwięki, ludzie i nasłuchiwanie miasta. Wybrane elementy fonosfery Warszawy na przełomie XIX i XX wieku”.

Justyna Sobolewska – krytyczka literacka, dziennikarka tygodnika POLITYKA.

Marek Sołtysik – pisarz, autor wielu książek, m.in. biografii „Gierymscy. Zazdrosny talent”.

Andrzej Szwarc – prof. dr hab., historyk, emerytowany pracownik Zakładu Historii XIX wieku Uniwersytetu Warszawskiego, badacz dziejów społeczeństwa i myśli politycznej w XIX–XX w., w tym historii kobiet.

Tomasz Targański – historyk, popularyzator wiedzy, stały współpracownik tygodnika POLITYKA.

Alicja Urbanik-Kopeć – dr, kulturoznawczyni, adiunktka w Instytucie Historii Nauki PAN, badaczka kultury XIX w., autorka m.in. książek „Anioł w domu, mrówka w fabryce” i „Matrymonium”.

Agata Zawiszewska-Semeniuk – prof. dr hab., literaturoznawczyni, pracuje w Instytucie Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego, prowadzi badania nad życiem literackim, czasopismami społeczno-kulturalnymi i piśmiennictwem kobiet, autorka m.in. książki „Ster. Organ równouprawnienia kobiet”.

Karolina Żebrowska – absolwentka reżyserii, twórczyni internetowa, skupia się na tzw. modzie codziennej i dawnym życiu, autorka m.in. książek „Modowe rewolucje. Niezwykła historia naszych szaf” i „Ugly. Encyklopedia brzydkiej mody”.

eprasa.pl 37c4d1858f

DRAMATYCZNY



TEKST
BOLESŁAW PRUS

REŻYSERIA I ADAPTACJA
MIKITA IŁYNCZYK

LALKA

TEATR DRAMATYCZNY
IM. GUSTAWA HOLOUBKA

instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

TEATRDRAMATYCZNY.PL

eprasa.pl 37c4d1858f

Miasto gubernialne

Warszawa lat 70. XIX w.: wielkie aspiracje, jeszcze większe ograniczenia.

Z „Lalki”: Tu i ówdzie na ulicy kłębił się kurz wzniecony miotłami stróżów, dorożki pędziły bez pamięci albo zatrzymywały się bez powodu, a nieskończony potok przechodniów ciągnął się w jedną i drugą stronę chyba po to, ażeby utrzymywać ruch w mieście. Niekiedy pod ścianą domów przesuwali się ludzie obdarci, skuleni, z rękami wbitymi w rękawy, jakby to był nie czerwiec, ale styczeń. Czasem na środku ulicy przewinął się chłopski wózek napełniony blaszanymi konwiami, a powożony przez zuchowatą babę w granatowym kaftanie i czerwonej chustce na głowie. Wszystko to roiło się między dwoma długimi ścianami kamienic pstrej barwy, nad którymi górowały wyniosłe fronty świątyń.



eprasa.pl 37c4d1858f

Błażej Brzostek

Przestrzeń Warszawy. Majestatyczną fasadę Gare du Nord, paryskiego dworca północnego, wieńczą kamienne posągi kobiet symbolizujących wielkie miasta, z którymi XIX-wieczny Paryż był powiązany drogami żelaznymi. Obok Berlina, Londynu, Wiednia, Amsterdamu i Brukseli stoi figura podpisana Varsovie. Dworzec otwarto w 1864 r. i umieszczenie Warszawy na fasadzie świadczyło o ówczesnej randze tego miasta na mapie europejskiej komunikacji. Lecz właśnie wtedy było ono odzierane przez rosyjskie władze z resztek samodzielności, degradowane po stłumionym polskim powstaniu narodowym do rangi miasta gubernialnego. Takim było kilkanaście lat później, w czasach Stanisława Wokulskiego i Izabeli Łęckiej – miastem znaczącym i zarazem małym, położonym na styku kultur, kalendarzy i systemów kolejowych.

Koleje planowano pod władzą rosyjską tak, aby najdogodniej transportowały wojska i łączyły twierdze. Otwarta w 1862 r. Kolej Petersburska przyczyniła się więc do zdławienia powstania styczniowego, a Terespolska połączyła dziewięć lat później Warszawę z twierdzą w Brześciu i poprawiła komunikację z Moskwą. Warszawa znajdowała się u zbiegu torów o standardzie rosyjskim (rozstaw szyn 1523 mm) i europejskim, zwanym też stephensonowskim (1435 mm). Szerokie tory kończyły się na prawym brzegu Wisły na dwóch dworcach czołowych, Petersburskim (dziś Wileńskim) i Terespolskim (Wschodnim). Aby kontynuować podróż koleją na zachód, trzeba było przejechać tramwajem konnym lub dorożką przez stalowy Most Kierbedzia na lewy brzeg. Tam czekał niski, lecz rozłożysty Dworzec Wiedeński z istniejącymi od schyłku lat 40. węższymi torami wiodącymi ku granicy austriackiej z odgałęzieniem w Skierniewicach, zwanym Koleją Bydgoską, którą jechało się w stronę Berlina i paryskiego Gare du Nord. Koleje wnikały w głąb Warszawy, a osobna linia, zwana obwodową drogą żelazną, wyznaczała północną krawędź miasta – tam, gdzie dziś znajduje się Dworzec Gdański.

Kolej bardzo sprzyjała wprowadzaniu reżimu punktualności, a zegarki kolejowe uchodziły za najbardziej precyzyjne. Spróbujmy więc zgodnie z ruchem ich wskazówek objechać Warszawę lat 70. XIX w., poczynając od okolicy, w której stoją dziś Dworzec Gdański i centrum handlowe Arkadia. W epoce rozciągał się tam kwadratowy, duży Plac Broni, miejsce ćwiczeń wojskowych, otoczony ulicami Smutną, Pokorną i Kłopot, a obok Rogatki Powązkowskie – bo Warszawa miała strzeżone wjazdy. Za tymi rogatkami znajdował się duży cmentarz katolicki, zwany Powązkami. Jadąc na wschód koleją obwodową, widzielibyśmy na północ od miasta rozległe tereny wojskowe z wyniosłą cytadelą kojarzącą się z ciężkim więzieniem, miejscem straceń i działami skierowanymi ku Warszawie. Budowę tego ponurego obiektu rozpoczęto na rozkaz carski po stłumieniu powstania listopadowego w 1831 r.

Pociąg po drewnianym chwiejnym moście przejeżdżał przez Wisłę na brzeg prawy, czyli Pragę. Tam znajdował się spory Park Aleksandrowski (ten sam, w którym założone zostanie w 1928 r. zoo) i Rogatki Petersburskie przy ulicy o tej samej nazwie, dziś znanej jako Jagiellońska. Kolej omijała łukiem północno-wschodnią część Warszawy i łączyła się na Targówku z Drogą Żelazną Petersburską. Wschodnia krawędź miasta rozmywała się wśród nieregularnej, drewnianej zabudowy, w której były osadzone rogatki Wileńska, Ząbkowska i Moskiewska na Kamionku, której klasycystyczne pawiloniki istnieją do dziś przy ulicy Grochowskiej, zwanej wtedy Traktem Moskiewskim. Poniżej Kamionka znajdowała się duża, zielona, niezabudowana wyspa – Saska Kępa. Na wprost niej rozciągał się na lewym brzegu Wisły drewniany Solec, a poniżej niego ciąg koszar sięgających aż do południowej granicy Warszawy zamkniętej Rogatkami Czerniakowskimi – tam, gdzie dziś ulica Gagarina styka się z Wisłostradą.

Południowy kraniec Warszawy wyznaczały Park Łazienkowski i Rogatki Mokotowskie, których pawiloniki stoją wciąż przy Placu Unii Lubelskiej – cały Mokotów znajdował się poza granicami, podobnie jak Ochota i Wola. Krawędź miasta bowiem wciąż wyznaczały XVIII-wieczne Okopy Lubomirskiego, choć teraz były już tylko ciągiem ulic, z których zachodnia, oddzielająca miasto od Woli, nosiła nazwę Okopowej. Poza tymi dawnymi umocnieniami znajdowały się warszawskie cmentarze – prawosławny, kalwiński, ewangelicki, żydowski i katolicki (Powązki).

Mieszkańcy: status, religia i język. Nowo narodzeni mieszkańcy Warszawy byli wpisywani do ksiąg parafialnych, nie istniała bowiem osobna instytucja stanu cywilnego. Zmarli byli żegnani na wyznaniowych cmentarzach. Odprowadzano ich tam w konduktach, które szły ulicami miasta. Pogrzeby ludzi znacznych i bogatych były okazałe, z ozdobnym karawanem w asyście żałobników w czarnych pelerynach. Przy pogrzebach prawosławnych występował chór śpiewaków cerkiewnych. Szczególnie wyraziste emocjonalnie były pogrzeby żydowskie – kondukt z czterema końmi i asystą ośmiu ludzi kosztował 88 rubli, odpowiednik kilkumiesięcznych zarobków robotnika. Tylko u ewangelików obyczaj był prosty, z jednym pastorem.

Populacja miasta była złożona w ok. 60 proc. z katolików, w 30 proc. z Żydów (art. s. 72), a na pozostałe 10 proc. składały się inne wyznania, w tym ok. 10 tys. mieszkających w Warszawie prawosławnych. Gdy w 1864 r. inaugurowano Gare du Nord, Warszawa liczyła ok. 220 tys. mieszkańców, 10 lat później o 100 tys. więcej, zaś w 1878 r. blisko 350 tys. Była ludnościowo dziesięć razy mniejsza od Londynu, ale tamtą metropolię trudno było z czymkolwiek porównać. Paryż lat 70. był skupiskiem dwumilionowym, Berlin o połowę mniejszym, podobnie Wiedeń. Wszystkie te ośrodki rozbudowywały się w imponujący sposób, kreując wzór miasta stołecznego, który próbowały naśladować stolice pomniejsze. Budapeszt był w 1878 r. ludnościowo porównywalny z Warszawą, ale miał atrybuty, jakich ona mieć nie mogła: rangę stołeczną w królestwie węgierskim, części monarchii dualistycznej. Populacja Bukaresztu nie sięgała 200 tys., ale miasto miało rangę stołeczną i zaczynało się starać o okazałe gmachy publiczne. Wszystkie te ośrodki rosły z szybkością nieznaną dzisiejszym metropoliom Europy, wchłaniały bowiem migrantów ze wsi szukających szczęścia na posłudze, w rzemiośle i w budownictwie.

Napięcia wynikające z migracji, różnic statusu, religii i języka współtworzyły codzienny klimat społeczny. Elity wielkomiejskie były silnie podzielone. Zamożne mieszczaństwo uznawało siebie za podstawę kultury i rozwoju

❖ Nowy Świat w letni dzień;
obraz Władysława Podkowińskiego, 1892 r.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Piaskarze na Powiślu; obraz Aleksandra Gierymskiego, 1887 r.

Warszawy, ale doświadczało różnic pochodzenia i wyznania, które utrudniały integrację. Wiadomo było, że arystokratyczne pochodzenie gwarantuje miejsce na salonach, i równie jasne, że pochodzenie żydowskie obciąża. Aby nie wykluczało, przemysłowcy i zamożni kupcy żydowscy dokonywali konwersji na wyznania chrześcijańskie, zwykle protestanckie, co ułatwiało im integrację do elity, ale nie wygaszało szmerku komentarzy. Z drugiej strony rodziny arystokratyczne były częstokroć podupadłe ekonomicznie i musiały szukać (kompromitujących dawniej) związków towarzyskich i matrymonialnych z mieszczaństwem „bez pochodzenia", ale dostatecznie wzbogaconym. Dlatego właśnie karierę robiło starożytne pojęcie plutokracja, odnoszące się do elity o mieszanym pochodzeniu, ale wielkim pieniądzu. Takie rodziny stanowiły oczywiście mały procent społeczeństwa Warszawy, jednak bardzo widoczny w postaci rezydencji i wspaniałych powozów w Alejach Ujazdowskich.

Znacznie szerszą grupę stanowiło średnie mieszczaństwo – to, które zajmowało frontowe mieszkania w kamienicach wokół Marszałkowskiej, dorabiające się dzięki firmom handlowym czy praktykom lekarskim i prawniczym. Miało ono jednak, w odróżnieniu od swoich budapeszteńskich, praskich czy krakowskich odpowiedników, bardzo ograniczone możliwości robienia karier w służbie urzędniczej czy nauce. Te sfery zostały po powstaniach wzięte w kleszcze systemu petersburskiego, a więc zrusyfikowane i obsadzone kadrami przysłanymi z głębi cesarstwa. Po likwidacji polskiego szkolnictwa wyższego otwarto w 1870 r. rosyjski uniwersytet, a wszystkie urzędy zostały włączone w rosyjską hierarchię *czynu*, czyli rang służbowych, i posługiwały się językiem rosyjskim. Ten brak przestrzeni politycznej dostępnej dla polskich elit silnie naznaczał atmosferę Warszawy – dużego miasta o małych perspektywach rozwoju poza sferą ściśle materialną. W tej sferze panowała jednak silna konkurencja wywołująca frustracje, które Bolesław Prus ukazywał w „Lalce", gdy opisywał kupców spotykających się przy piwie i snujących domysły na temat źródeł dochodów Wokulskiego. Frustracje drobniejszego mieszczaństwa i klasy ludowej przyczyniały się też do rozwoju antysemityzmu.

Mieszkania prawdziwie mieszczańskie miały dwa wejścia: frontowe i kuchenne. Pierwsze służyło życiu towarzyskiemu i przyjmowaniu klientów, drugim wchodziły osoby należące do służby domowej, usługodawcy, strażacy kontrolujący przewody kominowe. Cała kamienica miała także dwie strony – frontową i podwórkową. Pierwsza reprezentowała zasobność domu, druga służyła potrzebom uboższych lokatorów z oficyn i służby. To dla nich grali kataryniarze przychodzący na podwórka, pajace pokazujący sztuki, żonglerzy i połykacze ognia, domokrążni szlifierze czy kotlarze i mnóstwo sprzedawców. Wśród tych ludzi objawiała się rozmaitość kulturowa miasta: słowaccy druciarze reperowali garnki, Grecy sprzedawali gąbki, Rosjanie lody, Arabowie z Afryki Północnej dywaniki i biżuterię, nadwołżańscy Tatarzy tekstylia. Kataryniarzami byli często Włosi. Powołany do pilnowania porządku na podwórzu, więc nieraz zakazujący im wstępu stróż był zaś zwykle migrantem z Mazow-

eprasa.pl 37c4d1858f





❖ Odznaka upamiętniająca budowę Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej wykonana po 1862 r.

❖ Warszawskie dworce kolejowe, z lewej Wiedeński, u dołu Petersburski.

❖ U dołu z lewej: Podróżni; rysunek Stanisława Wolskiego, 1886 r





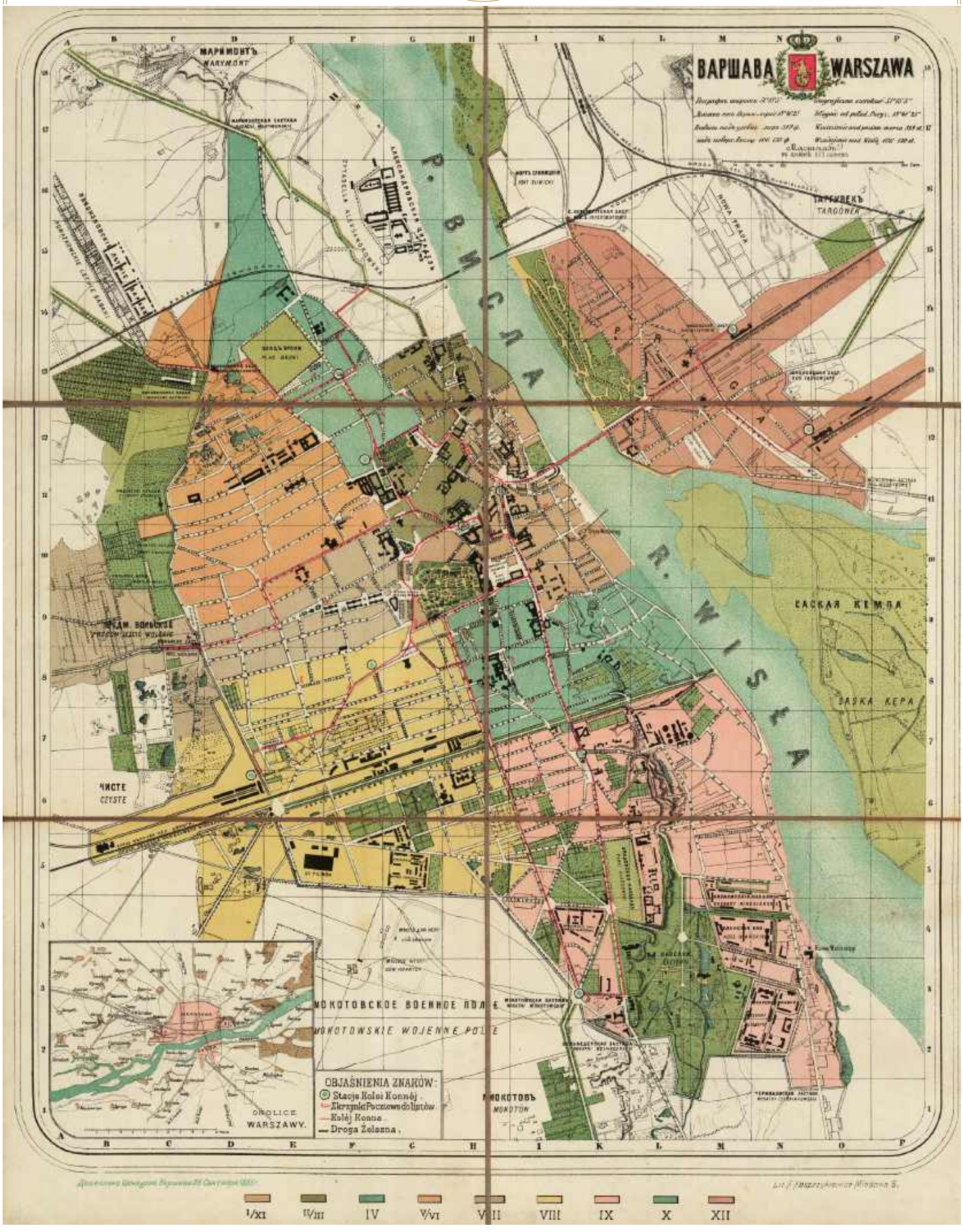
sza, czyli mówiącym gwarą wychodźcą ze wsi, któremu udało się zdobyć tę cenną pracę. Dawała mu oparcie w postaci mieszkanka i całorocznych dochodów i umieszczała na najniższym szczeblu systemu władzy w mieście.

Władza wojskowa i cywilna. Prawosławni stanowili ok. 5 proc. ludności Warszawy, ale znaczenie tej grupy stanowczo przewyższało jej liczebność: byli to w większości wojskowi i urzędnicy, którzy sprawowali władzę nad miastem. Jednym z symboli tej zwierzchności był kalendarz juliański, tzw. stary styl, obowiązujący w Rosji. Różnił się o 12 dni od kalendarza gregoriańskiego (nowego stylu), używanego w potocznym życiu Warszawy. Otóż dokumenty urzędowe wypisywano z datami starego stylu, ponieważ system administracyjny i bankowy Królestwa Polskiego był ściśle zintegrowany z rosyjskim. Gazety natomiast wychodziły obowiązkowo z podwójną datą. Trzecim kalendarzem szeroko w Warszawie stosowanym był żydowski. Święto Rosz ha-Szana, czyli żydowski początek roku, było ruchome w stosunku do kalendarzy chrześcijańskich; zgodnie z nimi przypadało na wrzesień lub październik. W 1878 r. rok żydowski rozpoczął się 28 września nowego stylu, czyli 10 października starego, i był rokiem 5639. Społeczności katolickie, ewangelickie i prawosławne także witały nowy rok odrębnie, ta ostatnia 12 dni później – i wtedy generał-gubernator urządzał bal noworoczny.

Generał-gubernator rezydował na dawnym Zamku Królewskim, odartym ze śladów obecności królów Rzeczpospolitej. Sprawował kontrolę nad wojskiem i – poprzez oberpolicmajstra – nad policją. Oberpolicmajster urzędował w budynku ratusza na Placu Teatralnym. Należało się do niego zwracać w niezliczonych sprawach, na przykład z zamiarem wyjazdu za granicę (bo wydawał paszporty), chęcią zorganizowania większej imprezy, dla zatwierdzenia treści mowy pogrzebowej, o zgodę na zatrudnienie służby domowej czy stróża. Oberpolicmajstrowi podlegało kilkanaście cyrkułów policyjnych. Na czele każdego stał komisarz, który wydawał dyspozycje rewirowym, a ci patrolującym ulice stójkowym. Na każdym budynku wisiała tabliczka z numerem policyjnym i ten sam numer miał wybity na blasze przytwierdzonej do niebieskiej czapki dozorca domu zwany stróżem. Ścisła kontrola nad stróżami była jednym z filarów systemu policyjnego. Byli oni pilnowani w zakresie swych obowiązków zachowania porządku, ale także musieli informować o sprawach domu, w tym regularnie odwiedzać komisariat, przynosząc do wglądu książkę meldunkową kamienicy.

Władzę cywilną nad miastem sprawował prezydent sąsiadujący w ratuszu z oberpolicmajstrem i wyznaczany również przez generał-gubernatora. W 1875 r. gubernator Paweł (Paul) Kotzebue zaproponował tę funkcję Sokratowi Starynkiewiczowi (art. s. 48). Nic nie wskazywało na to, że ten emerytowany wojskowy, wcześniej gubernator w Chersoniu, zapisze się tak dobrze w pamięci Warszawy. Jego uprawnienia były bardzo ograniczone na rzecz oberpolicmajstra, a w zakresie budżetowym na rzecz władz gubernialnych

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Mapa Warszawy i okolic z 1885 r.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Targ koński na Pradze, 1892 r.



❖ Targ na Rynku Starego Miasta, 1890 r.



SKOROWIDZ

ULIC I PLACÓW MIASTA WARSZAWY I PRZEDMIEŚCIA PRAGI.

Litera i liczba oznacza kwadrat na planie, gdzie należy szukać ulicy.

Druk A. Pajewskiego, ulica Niemcewicza Nr. 12.



❖ Ulica Marszałkowska, przed 1906 r.



❖ W Alejach Ujazdowskich;
rysunek Władysława Podkowińskiego, 1891 r.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Widok na Most Kierbedzia, zdjęcie wykonane między 1890 i 1900 r.

i petersburskich. Dlatego starania Starynkiewicza o różne miejskie inwestycje, w tym zwłaszcza o wodociąg, oznaczały szarpiące nerwy spory i negocjacje, w których prezydent odznaczył się wytrwałością, a nadto skłonnością do konsultacji społecznych, tak wyjątkową w mieście żyjącym bez samorządu i pod policyjnym butem. Zwracając się do mieszkańców na łamach prasy i pozyskując opinię publiczną, Starynkiewicz zarobił sobie wśród elit rosyjskich na opinię *opolaczonego*, czyli wyraźnie negatywną. Jego zabiegi o rozwój Warszawy były jednak pozbawione polonofilskich skłonności. Starynkiewicz był wojskowym przyzwyczajonym do dbania o porządek na powierzonym sobie terenie i z tego obowiązku wywiązywał się najlepiej, jak mógł.

Policja potrafiła przymusić dozorców do zamiatania chodników, ale nie miała wpływu na choroby wywoływane przez złą wodę. Warszawa rosła zaś jak na drożdżach i musiała stawić czoła wyzwaniom nowoczesnej techniki sanitarnej. Istniejący wodociąg z lat 50., zaprojektowany przez Henryka Marconiego, był za mały w stosunku do powierzchni miasta, zaopatrywał w wodę niewiele budynków, kilka fontann i kilkanaście zdrojów ulicznych. Kanalizacji zaś nie było wcale i cuchnące ścieki płynęły rynsztokami.

Dzielnice i ich zabudowa. W Paryżu budowano wspaniałe wodociągi od lat 50., w Wiedniu otwarto wodociąg z krystaliczną wodą alpejską w latach 70. Tego typu osiągnięcia trudno było szybko naśladować w innych dużych miastach i np. Budapeszt nie był pod tym względem lepszy od Warszawy. Lecz tamta stolica mogła o sobie samostanowić i kreśliła właśnie wspaniałe plany instalacji oraz gmachów publicznych. Warszawa natomiast zabudowywała się kamienicami, na ogół skromnymi architektonicznie i niezbyt solidnymi. W połowie lat 70. stało w mieście ok. 14 tys. budynków, liczba porównywalna z czeską Pragą, ale tam zaledwie kilka procent budynków było z drewna, a w Warszawie około jednej trzeciej. Drewniane domy było widać także na głównych ulicach, choć szybko usuwały je w cień kamienice.

Ruch budowlany był w czasach Wokulskiego intensywny. W samym 1875 r. wzniesiono ponad 900 domów. Zabudowa gęstniała i zaznaczał się wyraźnie układ dzielnic. Na lewym brzegu rosła szybko tzw. dzielnica północna, zamieszkana głównie przez Żydów od czasu dyskryminacyjnych przepisów z pierwszej połowy XIX w., które zabraniały im osiedlania się w środku miasta. Przepisy zniesiono, ale dzielnica dawała oparcie kolejnym falom migrantów, skupiała ich życie wokół bożnic, pączkowała interesami handlowymi. Jej główna ulica – Nalewki, prowadzące ku wspomnianemu Placowi Broni, z prostymi przecznicami Leszna, Nowolipek czy Gęsiej wiodącymi ku cmentarzom – była już bardzo zwarcie zabudowana. Z dzielnicą północną sąsiadowały sędziwe części Warszawy, czyli Nowe i Stare Miasto. Zdominowane były przez ludność chrześcijańską, rzemieślniczą i kupiecką, ale zbiedniałą, mieszkającą w sypiących się domach. Inteligencja zaczynała doceniać malowniczy i historyczny charakter tej dzielnicy. Odbiło się to na kartach „Lalki", gdy Ignacy Rzecki, który wychował się na Starym Mieście, stwierdza, że zawsze wydawało mu się ono ciasne i brudne i dopiero gdy zobaczył na drzeworycie w „Tygodniku Ilustrowanym" jeden z domów staromiejskich, odkrył, że Stare Miasto jest piękne.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Na tarasie w Łazienkach; drzeworyt Wilhelma Berga według Aleksandra Gierymskiego, 1885 r., pokolorowany.

Poniżej Starego Miasta ciągnęły się wzdłuż Wisły dwa pasma: nad wodą Powiśle i Solec o reputacji dzielnic przemysłu, ale też nędzy i wykluczenia, a na skarpie reprezentacyjne, dawniej arystokratyczne Krakowskie Przedmieście ze sklepem Wokulskiego. Przechodziło ono w Nowy Świat – kupiecki, zabudowany kamieniczkami w latach 20. XIX w., i dalej w zielony ciąg Alej Ujazdowskich biegnących ku Łazienkom i torowi wyścigów konnych. Cały ten szlak stanowił corso towarzyskie Warszawy z rytuałem przejażdżek powozami w alejach i spacerów (art. s. 92), w niedziele zwanych przeglądem katolickim, bo następujących po mszy w Świętym Krzyżu. Piesza publiczność miała skłonność do trzymania się parzystej (wschodniej) strony alej i nieparzystej – Krakowskiego, co stanowiło trudny do wyjaśnienia obyczaj. Dlatego właśnie Wokulski, gdy uznał, że „męczy go ciągłe ustępowanie z drogi", przeszedł na parzystą stronę Krakowskiego.

❖ Zabawa ludowa w podwarszawskim Lasku Bielańskim; akwarela Franciszka Kostrzewskiego, przed 1900 r.



Na zachód od tego ciągu zarysowało się nowe śródmieście warszawskie z sercem w postaci Ogrodu Saskiego i Placu Teatralnego rozłożonego przed klasycystyczną fasadą teatru zaprojektowanego w dobie autonomii. Teatr miał pierwotnie nosić nazwę Narodowego, ale po powstaniu listopadowym wolno go było nazwać tylko Wielkim. Była to zresztą nazwa oddająca istotę rzeczy. W podcieniach teatru znajdowała się znana cukiernia Pod Filarami (art. s. 96), na wprost stał zaś ratusz miejski. Na południe od Ogrodu Saskiego biegła prosta jak strzała Marszałkowska z przecznicami szybko wypełniającymi się kamieniczną zabudową.

Typowa kamienica śródmiejska miała trzy–cztery kondygnacje, ściany z cegieł pokryte tynkiem, drewniane stropy i coraz częściej zamknięte podwórko nazywane studnią. W latach 70. XIX w. kamienice miały spokojne, raczej monotonne fasady ze sztukateriami naśladującymi renesans, jeszcze bez rozbuchanej ozdobności neogotyckiej i neobarokowej, jaka stanie się charakterystyczna pod koniec stulecia. Śródmieście wzdłuż Marszałkowskiej, stanowiące wciąż mieszaninę kamienic i niskich drewnianych domów, nie było uznawane za ozdobę Warszawy,

eprasa.pl 37c4d1858f

przeciwnie – uchodziło za teren dobry dla spekulantów gruntami i nowobogackich. Antysemici zwracali też uwagę na kupowanie w tym rejonie posesji i mieszkań przez rodziny żydowskie. W Śródmieściu znajdował się Dworzec Wiedeński, ale nie było jeszcze rozwidleń kolejowych ani rozległych składów węgla i surowców, które uczynią z zachodniego przedmieścia, czyli Woli, dzielnicę wielkiego przemysłu.

Praga, prawobrzeżna część miasta, podlegała szybkim zmianom w związku z aktywnością dwóch dworców kolejowych, oddaniem w 1864 r. stałego mostu na Wiśle i szybkiemu przyrostowi ludności, głównie migrantów ze wsi i rzemieślników żydowskich. Władze przeprowadziły plan systematyzacji północnej części Pragi, wytyczając sieć regularnych ulic i zarazem rusyfikując jej przestrzeń. Ulice otrzymały nazwy w rodzaju Michajłowska, Konstantynowska czy Namiestnikowska, były proste i szerokie, ale domy stojące przy nich – w większości drewniane i niskie, malowane na żółtawy kolor, co przypominało prowincjonalne miasta rosyjskie. W sercu dzielnicy poświęcono w 1869 r. cerkiew św. Marii Magdaleny, której kopuły zaczęły dominować nad prawym brzegiem Wisły.

Rusyfikacja. Rosyjski był językiem władzy i w tym języku należało z nią rozmawiać. Jeszcze generał-gubernator Kotzebue, sprawujący funkcję w latach 70., godził się na rozmowy po francusku. Josif Hurko w następnej dekadzie odrzucał taką możliwość. Ulica mówiła po polsku, w jidysz i po rosyjsku, ale szyldy złożone były w językach rosyjskim, polskim i francuskim. Na każdym musiał być napis w cyrylicy co najmniej równie okazały jak polski, umieszczony ponad nim lub na lewo. Tylko szyld francuskojęzyczny uwalniał od tego obowiązku, więc wiele firm anonsowało się jako „Restaurant" albo „Coiffeur". Była to też sugestia wyjątkowej, paryskiej jakości. Nie wolno było wypisywać nic po hebrajsku ani w jidysz, więc kupcy żydowscy ograniczali się często do szyldów z malunkami wyobrażającymi sprzedawane towary.

W sklepach płaciło się rublami rosyjskimi, które zastąpiły złote polskie już w latach 40. XIX w., ale wciąż w Warszawie przeliczano je potocznie na złote. 1 kopiejkę liczono jako 2 grosze, a 15 kopiejek jako 1 złoty, ponieważ złoty dzielił się na 30 groszy, inaczej niż rubel dzielący się na 100 kopiejek. Dlatego o 1 rublu mówiono w sklepach polskich: sześć złotych groszy dwadzieścia. Pojawiły się jednak sklepy rosyjskie sprzedające importowane towary przemysłowe i spożywcze, w tym tkaniny, ryby, mocną herbatę i samowary, które rozpowszechniły się w Warszawie. Posługiwano się przy tym rosyjskim systemem miar i wag narzuconym w połowie stulecia. Różniły się one od znanych dotąd i trzeba było się nauczyć, co to sztof, arszyn albo czarka.

Przestrzeń publiczna nasycona była nie tylko rosyjskojęzycznymi szyldami. Program jej rusyfikacji był szeroki, obejmował architekturę, pomniki, nazwy ulic. W Śródmieściu pojawiły się w latach 60. ulice Erywańska (dziś Kredytowa), Włodzimierska (Czackiego), Hrabiego Kotzebue (Fredry) i Hrabiego Berga (Traugutta) czy Rondo Keksholmskie (Plac Unii Lubelskiej). Starą ulicę Kozią przemianowano na Junkierską. W 1870 r. „z woli Monarszej" wzniesiono przy Krakowskim Przedmieściu pomnik Iwana Paskiewicza, który dowodził atakiem na Warszawę w czasie powstania listopadowego. Piedestał pomnika pokryto płaskorzeźbami ukazującymi czyny feldmarszałka, w tym wzięcie podwarszawskiej Woli. W tym miejscu stoi dziś pomnik konny księcia Józefa Poniatowskiego (wówczas znajdował się w dobrach Paskiewicza w Homlu, ponieważ ten zabrał go sobie po podbiciu Warszawy). Były to gesty bardzo wyzywające, mające upokarzać społeczność polską.

Na każdej książce i gazecie publikowanej w Warszawie widniały wypisane po rosyjsku klauzule zgody na druk. Cenzura była niezwykle uciążliwa w dobie wielkiego rozwoju prasy i przyspieszenia obiegu informacji dzięki kolei i telegrafowi. Od lat 50. XIX w. działały linie telegraficzne łączące Wiedeń, Petersburg oraz Berlin, i Warszawa siłą rzeczy znalazła się w tej sieci. W następnych dekadach rozwinięto – dzięki wynalezieniu izolacji kauczukowej – w wodach mórz i oceanów kable telegraficzne. W 1870 r. Europa zyskała połączenie z Indiami, a kabel tego telegrafu przechodził przez Warszawę i miał biuro w Pałacu Brühla przy Ogrodzie Saskim. Podobno angielscy pracownicy tego telegrafu wprowadzili do Warszawy obyczaj gry w tenisa. Słupy telegraficzne dały wkrótce oparcie liniom telefonicznym, a pierwsza rozmowa odbyła się między Dworcem Wiedeńskim a Skierniewicami 7 grudnia 1877 r. Udało się porozumieć i zmówić „Ojcze nasz", ale nie powiodła się próba słuchania muzyki. Ponawiano potem tego rodzaju próby, ekscytujące dla uczestników, a pierwsza prawdziwa centrala systemu Bella powstanie w latach 80.

W mieście ukazywało się 10 dzienników i kilka wielkich magazynów ilustrowanych wspaniałymi drzeworytami, wśród nich „Tygodnik Ilustrowany", „Wędrowiec", „Biesiada Literacka". Najpopularniejszym dziennikiem był „Kurier Warszawski", z którym rywalizował „Kurier Codzienny". W języku innym niż polski ukazywały się cztery czasopisma: trzy w rosyjskim i jedno w hebrajskim („Hacefira"). Wszystkie były surowo cenzurowane, o czym w zawoalowany sposób pisał Prus, przekazując myśli starego subiekta: „Dawniej nie było telegramów i artykułów wstępnych, a przecież świat posuwał się naprzód i każdy człowiek rozsądny mógł zorientować się w sytuacji politycznej. Dziś zaś są telegramy, artykuły wstępne i ostatnie wiadomości, ale wszystko służy do bałamucenia w głowach".

Komitet Cenzury pracował w skrzydle pałacu arcybiskupiego przy ul. Miodowej, zajmując się nie tylko wszelkimi drukami, ale też medalami, rzeźbami czy rysunkami. Wydawnictw żydowskich pilnował osobny Komitet Cenzury Hebrajskiej. Cenzura kontrolowała także krążenie druków obcych – każda przysłana do Warszawy zagraniczna gazeta czy książka trafiały do Komory Celnej obok Dworca Wiedeńskiego, a stamtąd do cenzury. Tam były studiowane i albo dopuszczane do użytku, albo cenzurowane (co polegało na wycinaniu fragmentów lub wyrywaniu stron), albo też odrzucane zupełnie – i wtedy odsyłane za granicę na koszt adresata.

Odcięcie od informacji, zagranicznej prasy i książek silnie wpływało na charakter miasta. Przekonanie o jego zamknięciu i ograniczeniu rozwoju przebijało z „Kronik tygodniowych" Prusa, oczywiście w formie dopuszczalnej przez cenzurę. Zaważyła ona także na formie „Lalki", gdzie wiele jest informacji zawoalowanych i w podtekstach. Znamienne, że nie ma w niej żadnych sugestii o rusyfikacji miasta, a kulturami dostrzeganymi przez narratora są żydowska i niemiecka. Ta największa powieść polska XIX w. także w ten sposób przenosi obraz Warszawy, miasta rosnącego szybko, ale pod kloszem systemu wojskowo-policyjnego i cenzuralnego.

Błażej Brzostek

eprasa.pl 37c4d1858f

Dźwięki miasta

Zamknijmy oczy i wsłuchajmy się w Warszawę lat 70. XIX w.

Za dźwiękiem, który przeminął dawno temu, zawsze stoi słuchająca go osoba. Ludzie mieli różne punkty słyszenia w zależności m.in. od pozycji społecznej i kapitału kulturowego. Dlatego w źródłach – pamiętnikach, listach, prasie – są informacje wykluczające się; dla jednych kataryniarz hałasował, dla innych grał pięknie. Zanurzmy się w z pozoru chaotyczny świat dźwięków starej Warszawy. Co usłyszymy poza ulicznym gwarem, stukotem końskich kopyt i turkotem dorożek?

• Na Tamce jednocześnie gra 10 fortepianów, harmonia, przekrzykują się katarynki, do tego śpiewają pijani przechodnie. Takie dźwięki opisał literat Klemens Junosza, obserwując „to osobliwe plemię, ten lud z Tamki". Wybierał się tam jak do egzotycznej krainy, a tamtejsze dźwięki uważał za strategię zagłuszania biedy.

• Władysław Olędzki hrabia Rawicz, felietonista podpisujący się jako Jacek Soplica, przykładał ucho do warszawskiego bruku i słyszał w nim „chronicznie włoską operę" i „warszawskich żebraków grających na rozstrojonych pozytywkach, wyśpiewujących chrapliwym głosem nabożne piosenki i wystraszających przechodniów". Warszawiak już nie zwraca na te powszechne dźwięki uwagi. Ale gdy ktoś przyjeżdża z zagranicy, dziwi się, słysząc: „»Kości kupuję, kości, kości, kości!« zaharczał głos niewieści tuż pod oknami, z drugiej zaś strony: »handele, handele, handele!«. Za chwilę zjawił się piasek biały wiślany, potem drutowanie garnków, potem pobielanie radli, potem pomarańcze malinowe, następnie węgle do samowara, a na uwieńczenie dzieła – katarynka!".

• Eliza Orzeszkowa słuchała urzędników niższego szczebla grających na skrzypcach, fletach albo chociaż kręcących korbką pozytywki i wywołujących „z tego arcyprostego instrumentu piskliwe i jednostajne tony". Pisarka doszła do wniosku, że jest to dla nich jedyny sposób na urozmaicenie ich szarego, przepracowanego życia.

• Dziennikarz „Gazety Polskiej" pisał, że pod jego oknami gra kataryniarz Włoch. Z „głową rozświdrowaną piskliwymi tonami" żurnalista nie był w stanie napisać felietonu.

• „Gazeta Polska" prosiła władze policyjne, aby wprowadziły regulamin ulicznej gry na katarynce. Sama go zaprojektowała: kataryniarzom nie wolno grać rano i wieczorem, bo wtedy ludzie pracujący umysłowo są zajęci; nie wolno dwóm kataryniarzom grać obok siebie; nie wolno grać na podwórzach, jeśli ktoś wyrazi sprzeciw albo jest chory.

• Bolesław Prus twierdził, że plaga kataryniarzy zniechęca go do pisania o muzyce.

• Jakiś Francuz chodził po podwórzach z tresowaną małpą, która niby grała na skrzypcach.

• W 1879 r. wyprodukowano dla Warszawy 290 fortepianów. Pojawiły się liczne ogłoszenia w stylu „Fortepian w dobrym stanie tanio za rubli 110, Smolna nr 13". Instrumenty były rozmaite, coraz częściej na każdą kieszeń.

Z „Lalki": Z wielu mieszkań odzywały się fortepiany, z wielu podwórek katarynki albo monotonne nawoływania piaskarzy, szczotkarzy, tandeciarzy i im podobnych przedsiębiorców.



❖ Kataryniarz; rysunek Juliana Fałata, 1882 r.

• „Kronika Rodzinna" radziła, żeby dziewczyny zamieniły fortepian na maszynę do szycia. Stukot maszyny do szycia nie przeszkadza aż tak bardzo, stoi za nim przecież pożyteczna robota. Gazeta powoływała się „na powszechną historię sztuk i nauk, w których żadna kobieta nie odznaczyła się duchem syntezy, i dla tego też żadna nie została ani wielkim mężem stanu, ani wielkim uczonym, ani nawet wielkim artystą pomimo zamiłowania w piękności. W tej chwili pewno z pół miliona kobiet gra na pół milionie fortepianów, a rezultat tego wszystkiego... *Prière d'une vierge* Bądarzewskiej". Tekla Bądarzewska-Baranowska skomponowała „Modlitwę dziewicy" w 1851 r. Utwór stał się światowym przebojem, ale polscy krytycy ocenili go jako przesłodzony kicz.

• Ptaki było słychać w restauracyjnych ogródkach i w domach. Trzymane w klatkach kosy, szczygły i czyżyki były tresowane, by umilać ludziom czas. Kosy uczono naśladować dźwięki pozytywek.

• Konkurs na najlepszą i najcichszą maszynę do szycia zorganizował „Kurier Codzienny", porównując te dostępne na rynku. Najciszej pracowała maszyna firmy Pollack, Schmidt & Co.

• Car Aleksander II wizytował Warszawę, ktoś zapamiętał, że jego głos jest „chrypliwy, urywany, tamowany trapiącą go astmą", ale pomimo tego słucha się go „niewolniczo, jakby głosu ze sfer niebiańskich pochodzącego".

• Polacy ostentacyjnie milczeli w tramwaju wobec głośnego zachowywania się Rosjan.

Marta Michalska

eprasa.pl 37c4d1858f

Bolesław Prus

Nie byłoby go bez Warszawy i Warszawy bez niego. Nie byłoby też „Lalki”.

Z „Lalki”: Wpadł do naszego magazynu jakiś jegomość przysadkowaty, spocony (...). Z wytartej surduciny wydobył gruby notes, włożył na nos zatłuszczone binokle i – począł chodzić po pokojach (...). Zdumienie moje było tym większe, że niektórzy z naszych panów kłaniali mu się bardzo uprzejmie i zacierając ręce, jakby co najmniej przed dyrektorem banku, dawali wszelkie objaśnienia. »No – mówię w duchu – jużci chyba ten biedaczysko nie jest z towarzystwa ubezpieczeń. Ludzi tak obdartych tam nie trzymają...« Dopiero Lisiecki szepnął mi, że ten pan jest bardzo znakomitym reporterem i że będzie nas opisywał w gazetach.



❖ Portret pisarza autorstwa Józefa Holewińskiego zamieszczony w „Tygodniku Ilustrowanym”, 1897 r.

Justyna Sobolewska

Niesforny i nieposłuszny. „Prus nie ma biografii” – powiedział kiedyś Tadeusz Boy-Żeleński i rzeczywiście życie pisarza pozostaje w dużej mierze zagadką dla biografów. A to dlatego, że niewiele mówił o sobie, nie prowadził dzienników. W pamięci pozostał jako Dziadzio z Nałęczowa rozdający dzieciom cukierki, ktoś w typie Rzeckiego w binoklach. Stefan Żeromski zastanawiał się, jak taki niepozorny człowieczek mógł napisać takie dzieło jak „Lalka”. Bolesław Prus (1847–1912) chciał być i nadal pozostaje postacią zamaskowaną; Aleksander Głowacki stał się Bolesławem Prusem i ukrył za tym pseudonimem.

Kolejni biografowie spekulowali na temat jego życia intymnego, mnożyli kochanki, tropili nieślubnego syna, szukali śladów jego samego w bohaterach literackich. Bo też życie Prusa, z tego co wiadomo, nie obfitowało w skandale i podróże ani nie było tak bujne jak choćby Henryka Sienkiewicza, z którym zresztą Prus rywalizował. Zazdrościł mu światowości, ogłady oraz powodzenia u kobiet. Nasz bohater całe życie spędził z jedną żoną, kuzynką Oktawią Trembińską (choć biografowie docierali też do innych kobiet).

W tej biografii pełno jest pustych miejsc. Nawet metryka urodzin była przedmiotem sporów: czy rzeczywiście urodził się 20 sierpnia 1847 r. w Hrubieszowie? Pochodził ze zbiedniałej szlachty, jego ojciec Antoni Głowacki, herbu Prus, miał kawałek ziemi w Maszowie na Wołyniu, ale nie gospodarował tam, tylko wynajmował się jako ekonom w majątkach wokół Hrubieszowa. Niewiele o nim wiadomo, nie był obecny w życiu syna. Matka, Apolonia z Trembińskich, też nie była bogata, jej ojciec ponoć przehulał swoje folwarki. Najpierw urodziła im się córka, która szybko zmarła, potem na świecie pojawił się starszy brat Aleksandra – Leon, który odegrał w jego życiu znaczącą rolę. Nastoletni Leon wyprowadził się na czas nauki do wuja i nie utrzymywał kontaktów z ojcem. Kiedy Apolonia znowu zaszła w ciążę, tym razem z Aleksandrem, spakowała się i porzuciła Antoniego; wolała urodzić na plebanii w Hrubieszowie niż w Żabczu, gdzie pracował jej mąż.

Matka Aleksandra zmarła, kiedy miał trzy lata, i wtedy trafił pod opiekę babki. Jego dzieciństwo nie miało nic wspólnego z sielanką, pojawiły się spekulacje, że był bity tak jak postaci z jego książek. Jego własne doświadczenia mogły wpływać na to, jak opisywał dzieciństwo swoich bohaterów. W każdym razie niesforny i nieposłuszny chłopiec był ciężarem dla kolejnych opiekunów. Najważniejsza z nich była ciotka Domicella, siostra Apolonii, która prowadziła pracownię kapeluszy w Lublinie i do której chłopiec był przywiązany. Problemy zaczęły się, kiedy zmarł jego oj-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Oktawia, żona Bolesława, na rysunku Mirosława Gajewskiego.

ciec i pieniędzy na edukację było coraz mniej. Aleksander poszedł do szkoły powiatowej w Lublinie i jak sam się określał: należał do próżniaków i urwisów. Już w drugiej klasie powtarzał rok, ale wyciągnął się na tyle, że zbierał pochwały za pilność. Najwięcej miał problemów z językiem polskim i często za niedbalstwo i nieodrobione prace klęczał w klasie przed tablicą. Zdarzało mu się też grać w karty na pieniądze i za to też obrywał kary cielesne.

Kiedy ciotka z mężem wyprowadzili się do Lubartowa, Aleksander – mający wówczas 14 lat – przeszedł pod opiekę swojego starszego brata Leona, który uczył historii i geografii w gimnazjum w Siedlcach. I tam też zaczął uczęszczać Aleksander. Jak widać na zachowanych świadectwach, radził sobie bardzo dobrze. Nie zajął jednak na zakończenie roku pierwszego miejsca w klasie, i to mu tak dopiekło, że podobno rzucił się na rywala ze scyzorykiem. Zanim jednak zdołał go zaatakować – padł zemdlony. Leon, któremu nie przedłużono etatu w Siedlcach, dostał pracę w gimnazjum w Kielcach. Aleksander pojechał razem z nim i tam zastało go powstanie styczniowe, największa trauma jego życia.

Powstaniec. Kiedy zaczęły krążyć wieści o pierwszych starciach, Głowacki w klasie, gdzie przerabiali właśnie Wergiliusza, zakrzyknął: „Nie czas na Eneidę!" i – jak wspominał jego kolega – zebrał z ławek wszystkie egzemplarze, włożył je do zimnego pieca i zamknął. Uczniowie wtedy masowo uciekali do leśnych oddziałów i wśród nich był też Aleksander. Miał 16 lat i poszedł walczyć. Dołączył do stacjonującego pod Kielcami oddziału Dionizego Czachowskiego. Był odpowiedzialny za dostawę prochu i dzielnie spełniał obowiązki, ale w listach pisał, że jest na granicy wytrzymałości. Przeszedł z czasem do oddziału Aleksandra Czarneckiego zwanego Bończą, a potem do oddziału Dzieci Warszawy. Koledzy nazywali go filozofem, bo imponował im wiedzą.

Omal nie stracił życia w bitwie pod Białką, gdzie został ranny w kark, a proch tak osmalił mu oczy, że niemal stracił wzrok. Przez resztę życia nosił okulary i przyciemniane szkła. Nieprzytomnego koledzy zabrali z pola bitwy i zawieźli do któregoś z okolicznych dworów. Podobno cierpiał na amnezję przez dwa miesiące i nie pamiętał, kim jest. Leżał ponad miesiąc w szpitalu jako jeniec wojenny. Przed egzekucją uratował go wiek, ale traumy pozostały na całe życie.

Historia jego brata Leona była inna: został wysłany z misją do Wilna jako tajny przedstawiciel władz powstańczych. Być może miał coś wspólnego z planowanym zamachem na tamtejszego generał-gubernatora Michaiła Murawjowa, Wieszatiela, który krwawo tłumił powstanie na Litwie. Do zamachu nie doszło i nie wiadomo dokładnie, w czym Leon brał udział, ale wrócił psychicznie zniszczony i zachowywał się jak obłąkany. Rodzina nie chciała go oddać do zakładu dla umysłowo chorych, odesłali go więc na plebanię do Józefowa, do wuja, księdza Seweryna Trembińskiego. Kiedy Aleksander odwiedził brata, ten wpadł w szał. Więc już nie ponawiał wizyt, ale przejął nad nim opiekę po śmierci wuja i przeniósł go do szpitala Jana Bożego w Lublinie, gdzie Leon przebywał aż do śmierci w 1905 r.

Sam Aleksander od czasu walk cierpiał na różne dolegliwości, które dziś nazwalibyśmy stresem pourazowym. On nazywał to rozklekotaną głową. Poniósł konsekwencje udziału w powstaniu – trafił do więzienia na Zamku Lubelskim za przynależność do organizacji wywrotowej. Po kilku miesiącach wyszedł i wrócił do nauki do szkoły w Lublinie, bo w Siedlcach go nie przyjęto.

Ukryty za pseudonimem. Nie pragnął zostać pisarzem, a gatunku powieści w ogóle nie poważał. Jak wspominał w liście do przyjaciela: „Powieść jak ptak, wlatuje oknem i może lada chwila odlecieć". Fascynowały go nauki ścisłe. W szkole okazało się, że ma zdolności matematyczne, zakończył ją z bardzo dobrymi ocenami, i zdecydował się na studia w Szkole Głównej Warszawskiej na wydziale matematyczno-fizycznym. Był to dla niego czas biedy – marne oszczędności, z którymi przyjechał, szybko się wyczerpały i musiał zarobić na utrzymanie. Dorabiał więc korepetycjami, czasem pożyczał pieniądze. „Herbata i suche bułki rano" – opisywał jego menu kolega.

Aleksander marzył o karierze naukowca i wynalazkach, o studiowaniu inżynierii w Petersburgu, ale nic z tego nie wyszło, prawdopodobnie z powodów finansowych. W rezultacie nie skończył żadnych studiów. (Ale np. Stefan Żeromski nie miał nawet matury). Niepowodzenia na egzaminach tzw. środkowych wpędziły go w depresję i Aleksander po prostu rzucił studia, wyjechał uczyć w majątku jako korepetytor. Wtedy właśnie jego przyjaciel Godlewski zaczął namawiać go na twórczość literacką. A dobrą okazją do podreperowania budżetu było pisanie artykułów.

Pierwsze opowiadania zaczął publikować pod pseudonimem Jan w Oleju, potem jako Bolesław Prus. Na łamach „Opiekuna Domowego" w 1872 r. ukazał się pierwszy odcinek „Listów ze starego obozu" podpisany tym nowym pseudonimem. Maria Dąbrowska przypominała po latach: „Prus to herb zubożałej rodziny Głowackich, ostatni błahy strzępek tej szlachetczyzny, tyle właśnie wart, by nim podpisywać błahe – jak sądził autor – pisaniny".

Dziennikarstwo nie było pracą lukratywną, pieniędzy brakowało, więc Prus zatrudnił się też jako robotnik w fabryce firmy Lilpop, Rau i Loewenstein na kilka miesięcy. Wspominał potem, że wywijając młotem, a nie piórem, czuł twardą ziemię pod nogami. Na pisaniu do gazet mógł

eprasa.pl 37c4d1858f

zarobić niewiele, co nie pozwalało mu myśleć początkowo o założeniu rodziny, dlatego cały czas szukał innych sposobów zarobku. Jednak „parobcza robota" pisania felietonów coraz bardziej go wciągała. Pisał do „Kuriera Warszawskiego", podobnie jak Sienkiewicz czy Lucyna Ćwierczakiewiczowa, autorka książek kucharskich. Gazeta była poczytna, Reymont mawiał, że „bez nocnika i »Kuriera Warszawskiego« zasnąć nie może". Nawet jako popularny felietonista Prus nie zarabiał wiele – rocznie 360 rubli, a po podwyżce – 720.

Ożenek. Kiedy otrzymał w „Kurierze" posadę stałego felietonisty w 1875 r., był już żonaty z daleką kuzynką Oktawią Trembińską, z którą znał się od dzieciństwa. Dla tej rodziny nie był wymarzoną partią, więc nie było łatwo doprowadzić do ślubu, ale się w końcu udało. Zamieszkali na ulicy Twardej 6, skąd przenieśli się na Kruczą 13b, a potem jeszcze na Wilczą 46 i dalej na Wilczą 12, gdzie pisarz mieszkał aż do śmierci. Oktawia swoje życie podporządkowała całkowicie pisarzowi i była też pierwszą czytelniczką jego utworów. Słuchał jej uwag, a wśród kolegów nazywał ją naczalstwem lub żandarmem, bo czasem przychodziła do knajpy i zabierała go do domu. Z żoną spędził 37 lat i jej zadedykował „Faraona".



❖ Alina Sacewicz, domniemana kochanka, i jej syn Bogusz.

Traumy. Z czasem coraz mocniej ujawniały się skutki zdrowotne powstania – nadwrażliwość na światło, nasilająca się agorafobia i lęk wysokości. Bał się, że czeka go to samo, co brata Leona, czyli szaleństwo. A więc im bardziej się zapadał w swoje lęki, tym lepiej starał się maskować. Stanisław Stempowski odnotował w „Pamiętnikach": „Spotykałem go często na schodach, jak szedł, biedaczysko, trzymając się ściany i zwrócony do niej twarzą, żeby nie widzieć przestrzeni za poręczą". Unikał szerokich klatek schodowych. Czasem ktoś musiał przeprowadzać Głowackiego przez Plac Teatralny. Kiedy jechał dorożką przez most na Wiśle, zawsze zamykał oczy. Także pociągiem podróżował z zamkniętymi oczyma. Do końca życia zmagał się z nasilającymi się lękami – na dworcu w Zurychu w ataku paniki wpadł pod koła pociągu. Uratował go posługacz kolejowy – to scena prawie jak z „Lalki".



Prus miał też poczucie, że jego pokolenie zostało oszukane przez przywódców i organizatorów powstania. Wielokrotnie krytykował polskie zrywy, przejawy romantycznego ducha, które pochłaniają mnóstwo istnień, ale nie przynoszą niczego dobrego. Nie wierzył w narodowy bunt, tylko w powolne reformy społeczne, w naukę i wynalazki. „Ja wierzę w postęp i wolność ducha, nie opartą na pasach ani na czapkach, ani na procesjach, ale na rozwoju tego, co mamy" – pisał. Jednak – jak zauważył historyk literatury Ryszard Koziołek – w „Lalce" widzimy kryzys tej wiary, rozczarowanie nauką i historią. Ta powieść jest pełna gniewu i resentymentu i przepełnia ją pragnienie odwetu, które nie może się do końca spełnić.

Wszystkie powstańcze wspomnienia, lęki i upokorzenie wróciły do niego 26 marca 1878 r., kiedy to został napadnięty i spoliczkowany. Jak pisał Ryszard Koziołek w POLITYCE: „Tego dnia przed domem pisarza na placu Grzybowskim otoczyło Prusa dziewięciu studentów, a jeden z nich – Jan Sawicki – uderzył go bez ostrzeżenia w twarz. Była to reakcja na felieton, w którym Prus gniewnie szydził ze studentów oklaskujących krytyczne wypowiedzi Spasowicza o Wincentym Polu jako piewcy szlachetczyzny. Na policji Prus stwierdził, że to była pomyłka, ale pobicia nie wybaczył nawet po 20 latach, nie godząc się na przeprosiny: »Nie mogę. Życie mi złamali« – miał powiedzieć".

Pisarz Warszawy. Najlepszy czas w karierze pisarza zaczął się w 1887 r. i trwał osiem lat. Wtedy to „Kurier Codzienny" rozpoczął druk „Lalki" w odcinkach. Sen mu spędzał z oczu tylko fakt, że Sienkiewicz, tak jak on, też pisywał w odcinkach większość powieści, począwszy od Trylogii. I w dodatku kiedy Prus nie dostarczył odcinka, redakcja poprosiła Sienkiewicza o opowiadanie. Prus zazdrościł mu hołdów, podróży, przekładów na obce języki. Jednak dzięki „Lalce" udało mu się dorównać popularnością Sienkiewiczowi. Natomiast dał upust swojej niechęci do kolegi w recenzji „Ogniem i mieczem", która była bardzo zjadliwa. Jego „Lalka" z miejsca zdobyła serca czytelników, ale krytycy nie szczędzili jej ostrych słów. Przede wszystkim ze względu na konstrukcję i głównego bohatera. Na fali popularności opublikował „Emancypantki", a potem „Faraona". Miał jeszcze wiele planów, zapisywał całe notesy, ale z kolejnych wielkich projektów nic nie wyszło.

Spełniał się za to jako kronikarz Warszawy. Codziennie przemierzał miasto z notatnikiem w ręku. Wszystko go interesowało – kanalizacja zaprojektowana przez Williama Lindleya, drzewka, które wyglądały mizernie i brud w Ogrodzie Saskim w części dla dzieci. Mówiono, że potrafi lekko i z humorem pisać o sprawach ważnych. Porównywano jego pisanie do mięsa pod beszamelem, bo dobry felietonista musi mieć przede wszystkim styl lekki i dowcipny, a pod tym beszamelem, który najbardziej czytelnikom smakuje, powinno znaleźć się mięso, czyli ważny temat.

Entuzjasta nowinek technicznych. Prus był entuzjastą nowego wynalazku, czyli tramwajów. Pisał: „Pomiędzy Warszawiakami panuje dość jednomyślna opinia, że tramwaje należą do najpiękniejszych wynalazków XIX wieku. Ja także, który od kilku dni stałem się namiętnym wielbicielem jazdy tramwajami, zupełnie podzielam to zdanie (…). Kiedy pierwszy raz pokazały się olbrzymie, niby meblowe, wozy bez koni, publiczność skupiła się na chodnikach tak gęsto, jak w czasie przejazdu nieboszczyka szacha perskiego. A kiedy pierwszy raz pozwolono dostać się do wnętrza, ludzie pchali się jak po bilety loteryjne. I przez kilka dni należało do szyku, jeżeli mógł kto powiedzieć o sobie: – Jechałem tramwajem elektrycznym! Takich szczęśliwców pokazywano palcami na ulicach".

Prus jako pierwszy pisarz w Polsce zaczął używać maszyny do pisania. Sięgnął po nią przede wszystkim ze względu na kłopoty ze wzrokiem, ale również z powodu bardzo niewyraźnego pisma. Zauważył: „Z przyjemnością myślę o tym, jak zecerzy będą zadowoleni, otrzymawszy zamiast niewyraźnego rękopisu porządny druk". „Lalka", podobnie

eprasa.pl 37c4d1858f

jak „Emancypantki” i „Faron”, była pisana w tradycyjny sposób, bo kupił maszynę dopiero w 1897 r.

W późniejszym wieku odkrył też rower. „A więc, czytelniku i czytelniczko! Jeśli masz pieniądze, kupuj rower – pisał w 1891 r. – Nie wyobrażaj sobie, że w nim siedzi diabeł, nie lękaj się trudów początkowej nauki, nie lekceważ go jako zabawkę, ale naucz się jeździć i wyjeżdżaj jak najczęściej i najdalej za miasto. W krótkim czasie zgrubieją ci muskuły, odzyskasz sen, apetyt i dobry humor, staniesz się człowiekiem zdrowym, dzielnym i podziękujesz niżej podpisanemu, że cię tak gorliwie zachęcał”.

Być może kochanek i ojciec. Odkrył też wtedy uroki Nałęczowa, gdzie wysłał go lekarz na leczenie fobii. „Benni wytłumaczył mi, że za sześć tygodni będę zdrów, ale muszę jechać na wodnistą kurację do Nałęczowa. Więc pojadę” – pisał Prus w liście. Kuracja okazała się nieskuteczna, nie wyleczył się z agorafobii, ale zakochał się w samej miejscowości. Przygrabiony, w ciemnych okularach, wyglądał starzej, więc nazywano go tam Dziadziem, chociaż kiedy przyjechał do Nałęczowa po raz pierwszy, miał dopiero 37 lat.

Działały na niego podobno nie tylko uroki samego miejsca. Ponoć zdarzało mu się zakochać. Tak jak w Oktawii Radziwiłłowiczównie, którą adorował, jak twierdzi kilka biografii. Podobno jej portret możemy odnaleźć w postaci Madzi Brzeskiej z „Emancypantek”. Była ona postacią barwną, malarką, która zakochała się w Stefanie Żeromskim i została jego żoną. Nie była jedyną fascynacją Prusa – zainteresował się też wdową Aliną Sacewicz, którą poznał w Nałęczowie. Najpierw zaprzyjaźnił się z jej mężem, jednym z miejscowych lekarzy, który chorował psychicznie i zmarł w 1901 r. Potem zbliżył się z wdową, kobietą samodzielną i ambitną. Miał wówczas 58 lat.

Podobno z tego związku urodził się jedyny syn Prusa – Jan Bogusz. Sacewicz wyjechała do Finlandii do kuzynki i wróciła z dzieckiem, które, jak twierdziła, adoptowała. Pisarz nigdy nie uznał syna, ale został jego ojcem chrzestnym i oboje z żoną Oktawią chętnie brali go do siebie do domu. Już wcześniej opiekowali się innym chłopcem – Emilem, synem brata Oktawii. Jednak Prus nie był z nim tak zżyty jak z Janem Boguszem. Relacjonował w listach postępy w jego rozwoju, zapisywał nowe słowa, wszystko go zachwycało, nazywał go czule Pameczkiem i starał się, żeby chłopiec jak najczęściej u nich bywał.

Przerwane plany. Od 1900 r. pisarz podupadał na zdrowiu i właśnie wtedy opieka nad chłopcem okazała się największym źródłem jego radości. Kolejny utwór, „Dzieci”, nie znalazł jednak uznania krytyki, pisano, że Prus się starzeje i traci pewność pióra. W ostatnim okresie pracował nad powieścią „Przemiany”, której bohaterem miał być nie kto inny, jak Wokulski. Z wypowiedzi pisarza można wnioskować, że chciał wrócić do losów bohatera „Lalki” i pokazać go jako naukowca, bo właśnie w nauce znajdowałby pocieszenie.

W 1912 r. Prus czuł się już tak źle, że jego myśli krążyły wokół śmierci. Rankiem 12 maja krzyknął do żony „Laluńciu” i umarł. Żegnało go całe miasto – tylko Sienkiewicza nie było. „Dziennik Warszawski” donosił, że ludność Warszawy uczciła pisarza nie tylko udziałem w pogrzebie, ale też „powstrzymaniem się na ten dzień od rabunków, rozpraw krwawych i grabieży cudzej własności”. W czasie ceremonii zatrzymano podobno złodziejkę kieszonkową, która nie mogła się powstrzymać. Prus, przenikliwy obserwator ludzkiej natury, nie byłby tym pewnie zdziwiony.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

REKLAMA

JEDYNE FILMOWE WYDANIE
ZE ZDJĘCIAMI Z EKRANIZACJI



PREMIERA KSIĄŻKI 9.09





Kolekcjonerska edycja najważniejszej polskiej powieści ilustrowana kadrami filmowymi z superprodukcji z Kamilą Urzędowską, Marcinem Dorocińskim i Markiem Kondratem na czele.

Okładka książki:
plakat artystyczny Andrzeja Pągowskiego do filmu „Lalka”

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

eprasa.pl 37c4d1858f



Kronenbergowie

Byli najpotężniejszą rodziną przemysłowców i bankierów drugiej połowy XIX w. nie tylko w Warszawie. Przecierali szlaki postaciom takim jak Stanisław Wokulski, literacki bohater „Lalki”.

Z „Lalki”: – Ja boję się, że nasze srebra mogą naprawdę znaleźć się na jakim bankierskim stole. (...)
– Bankierskie stoły!... – powtórzył. – Srebra naszych przodków bywały już na stołach Tatarów, Kozaków, zbuntowanych chłopów, i nie tylko nam to nie uchybiało, ale nawet przynosiło zaszczyt. Kto walczy, naraża się na straty.
– Tracili przez wojnę i na wojnie – wtrąciła panna Izabela.
– A dziś nie ma wojny?... Zmieniła się tylko broń: zamiast kosą albo jataganem walczą rublem.



❖ Synowie Leopolda Kronenberga, bracia Leopold Julian, Stanisław Leopold i Władysław Edward, 1870 r.

eprasa.pl 37c4d1858f

Andrzej Krajewski

Młody biznesmen. „W dziejowym rozwoju Polski wybitnie szwankował czynnik gospodarczy” – podkreślił w 1922 r. w przedmowie do książki „Leopold Kronenberg: monografia zbiorowa” znakomity historyk Szymon Askenazy. Wskazywał, że nikt inny nie odegrał równie znaczącej roli na tym polu jak Leopold Kronenberg i inni członkowie jego rodu. Zasymilowani Żydzi, którzy stali się w XIX w. królami polskiego kapitalizmu.

Lejzor Hirszowicz do Warszawy przyjechał pod koniec XVIII w. z Wyszogrodu. Jego ojciec Hirsz był najprawdopodobniej tamtejszym rabinem, podobnie jak kilku innych członków rodziny. Ale młodzieniec odciął się od niej i zamiast podjąć naukę w szkole religijnej – jeszywie – wolał otworzyć kantor w wielkim mieście. Odnalazł swe powołanie w pożyczaniu pieniędzy na procent oraz obracaniu wekslami i realnymi towarami. Po przeprowadzce przestał nosić chałat i zaczął ubierać się jak chrześcijańscy mieszkańcy Warszawy. Zmienił też personalia i odtąd nazywał się Samuel Eleazar Kronenberg.

Acz judaizmu nie porzucił i stał się wpływowym członkiem wspólnoty skupionej wokół synagogi otwartej w 1802 r. przy ul. Daniłowiczowskiej. „»Synagoga niemiecka« pełniła przez ponad pół wieku funkcję centralnego ośrodka »oświeconego« kultu żydowskiego w Królestwie Polskim, ale też nieformalnego sztabu i zaplecza polskiej haskali [ruchu oświecenia żydowskiego], gdzie wiele inicjatyw »postępowych« środowisk żydowskich znajdowało swój początek lub wsparcie, również finansowe” – opisał w monografii „Oświecenie żydowskie w Królestwie Polskim wobec chasydyzmu” Marcin Wodziński.

Kolejnym miejscem, w którym młody biznesmen pozyskiwał wpływowych przyjaciół, była jedna z warszawskich lóż masońskich. Tej gruntownej przebudowie tożsamości towarzyszyło pomnażanie źródeł dochodów. Sukces domu bankowego nazwanego S.L. Kronenberg jego twórca oparł na trzech filarach. Do dobrze prosperujących kantorów dorzucił dzierżawę monopoli skarbowych od ministerstwa skarbu Księstwa Warszawskiego, a następnie Królestwa Polskiego. Zawiadujący nim książę Franciszek Drucki-Lubecki nie miał nic przeciwko temu, aby oświecony Żyd kontrolował ściąganie monopolowych opłat od producentów m.in. wyrobów spirytusowych i tytoniowych. Dzieląc się zyskami z państwem. Kronenberg uczestniczył też we wprowadzaniu monopolu koszernego – wziął na siebie ściąganie podatku od Żydów zajmujących się ubojem rytualnym. Ostatnim z filarów firmy Kronenberga stały się zamówienia wojskowe. Te w epoce wojen napoleońskich napływały strumieniami. Obrotny Wyszogrodzianin wyspecjalizował się w dostarczaniu zaopatrzenia dla polowych lazaretów, zarabiając krocie na opatrunkach i medykamentach.

Równie mocno jak o pomnażanie majątku zadbał wówczas o wykształcenie swoich ośmiorga dzieci. Najzdolniejszy z rodzeństwa, Ludwik, wyjechał do Niemiec, by uczyć się na Politechnice w Hamburgu i Uniwersytecie Berlińskim. Młodszy brat, Henryk Andrzej, został doktorem medycyny, kierującym przez lata szpitalem w Moskwie. Podobnie zawodowo medycyną zajął się Stanisław Salomon. Natomiast najstarszy z braci, Ludwik, swą karierę związał z Giełdą Warszawską, pośrednicząc na niej w transakcjach handlowych. Trzy córki –Rozalia, Dorota i Maria – zostały wydane za zamożnych mężów. O to zadbała ich matka Tekla Teras z domu Levy.

Gdy Samuel zmarł w 1826 r., to ona przejęła kontrolę nad firmą, zmieniając jej nazwę na dom bankowy S.L. Kronenberg, wdowa i synowie. Po czym zarządzała nią aż do śmierci w sierpniu 1848 r., skutecznie wymuszając posłuszeństwo u swoich dzieci.

Założyciel imperium przemysłowego. „Taka jest ostatnia wola moja. Kochane dzieci! Wykonajcie święcie, choćby się Wam ona w czymkolwiek uciążliwą zdawała. Majątku dużego Wam nie pozostawiam, sądzę jednak, że ze mnie macie przykład: iż rządnością, pracowitością i oszczędnością majątku dorobić się można” – informowała synów, córki i dalszych krewnych w testamencie Tekla Teras Kronenberg. Posiadane dobra rozdysponowała między dwanaście szpitali, przytułków i instytucji dobroczynnych. Szczególną hojność okazała synagodze niemieckiej przy ul. Daniłowiczowskiej. Obdarowała ją nawet ulubionym żyrandolem oraz tablicą z „Dziesięciorgiem Bożego Przykazania”, podkreślając, iż ma tam pozostać na wieczne czasy. Synom pozostawiła po 10 tys. złotych polskich (czyli ok 1,5 tys. rubli), co starczało wówczas na zakup skromnego domu na przedmieściach Warszawy. „Idźcież więc za moim przykładem, a majątków doczesnych łatwo się dorobicie, ale przede wszystkim starajcie się o dobre imię, o spokojność sumienia, bo to jest największe dobro człowieka” – instruowała ich w testamencie.

Spośród jej dzieci największy talent do pomnażania pieniędzy odziedziczył Leopold, który kilka miesięcy po upadku powstania listopadowego powrócił ze studiów do Warszawy. Pomagał matce w zarządzaniu firmą, a jednocześnie próbował rozwijać własną. „Zaraz po powrocie zapisany do księgi kupców warszawskich (1833), otworzył dom bankowy, z początku skromny, lecz solidnym i sumiennym sposobem prowadzenia wnet zyskujący sobie zaufanie, zwłaszcza w kołach ziemiańskich” – odnotował Askenazy. To jednak nie zadowoliło ambicji syna Samuela Eleazara. „Po kilku już leciech (1840) czuł się dość silny, by stanąć do konkurencji o owładniętą przez starych wygów liwerunkowych [cwanych dzierżawców monopoli] dzierżawę tabaczną” – relacjonował Askenazy.

Leopold w tym czasie zaczął naśladować strategię biznesową ojca. Robił to z nieporównywalnie większym rozmachem oraz imponującą pracowitością. Nie przypadkiem Józef Ignacy Kraszewski określił go mianem najpracowitszego człowieka świata. Kronenberg budował swoją korporację, opierając ją na kilku najbardziej przyszłościowych branżach. Z tego powodu, przygotowując kilkadziesiąt lat później jego biografię, Askenazy musiał podzielić ją na rozdziały poświęcone pięciu oddzielnym dziedzinom gospodarki: przemysłowi, kolejnictwu, bankowości, monopolowi tabacznemu oraz handlowi i kupiectwu. W każdej z nich Kronenberg inwestował z rozmachem i to niemal w tym samym czasie.

Podobnie jak ojciec kapitał na to zdobył głównie dzięki dochodom gwarantowanym przez państwo. Chodziło o wspominany monopol tytoniowy, nazywany wówczas tabacznym, wydzierżawiony od rosyjskich władz Królestwa. Kronenberg zarządzał nim aż do 1866 r., dbając, by powiększał się areał uprawy tytoniu, a produkcja tabaki i papierosów rosła. Do zajmujących się tym zakładów sprowadzał z Zachodu nowoczesne maszyny i inżynierów. Wreszcie w 1860 r. uruchomił w Warszawie własną fabrykę zatrudniającą 700 robotników. Produkowała ona ok. 25 proc. wyrobów tytoniowych w Królestwie Polskim.

Wcześniej dostrzegł biznesowy potencjał innej rośliny – buraka cukrowego. Na początek po 1843 r. zbudował trzy duże cukrownie. Następnie opanowywał coraz większą część rynku, aż wreszcie w 1870 r. powstało znajdujące się pod jego kontrolą Warszawskie Towarzystwo Fabryk Cukru.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Warszawski pałac Kronenbergów, 1871 r.

Zdominowało ono produkcję tego towaru w Królestwie Polskim. Cztery lata później Leopold próbował podporządkować sobie dwie kolejne branże przemysłowe. Służyło temu nowo powstałe Warszawskie Towarzystwo Kopalń Węgla i Zakładów Hutniczych. Spółka wykupiła pięć dużych i całą sieć mniejszych kopalń węgla kamiennego w Zagłębiu Dąbrowskim. Tym razem Kronenberg odniósł sukces połowiczny, bo niemieccy inwestorzy zrobili wszystko, żeby nie udało mu się kupić nawet jednej wielkiej huty. Tę porażkę jakoś przełknął, bo w tym czasie zdominował w Królestwie Polskim rynek kredytowy oraz branżę kolejową.

Król dróg żelaznych i bankowości. Rządowy przetarg na budowę linii kolejowej Warszawa–Terespol Kronenberg wygrał w 1864 r. Realizacja projektu zajęła mu zaledwie dwa lata. Tak rozpoczęły się jego zaciekłe zmagania z Janem Blochem, który również pretendował do tytułu króla dróg żelaznych w Królestwie Polskim. Stało się tak, pomimo że Bloch w 1862 r. poślubił Emilię Kronenberg, córkę Henryka Andrzeja, i został dokooptowany do wpływowego rodu.

Obaj apodyktyczni biznesmeni, nie bacząc na bratanicę Leopolda, walczyli o najważniejsze rządowe kontrakty oraz wypływy na carskim dworze, gdzie zapadały ostateczne decyzje. Chodziło o olbrzymie pieniądze, bo po klęsce poniesionej w wojnie krymskiej Rosja nie szczędziła wydatków na rozbudowę sieci kolejowej. Chciała zyskać możność szybkiego transportu jednostek wojskowych. Kronenberg pokonał Blocha jeszcze dwukrotnie, zdobywając kontrakty na budowy strategicznych linii: Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej oraz Kolei Nadwiślańskiej.

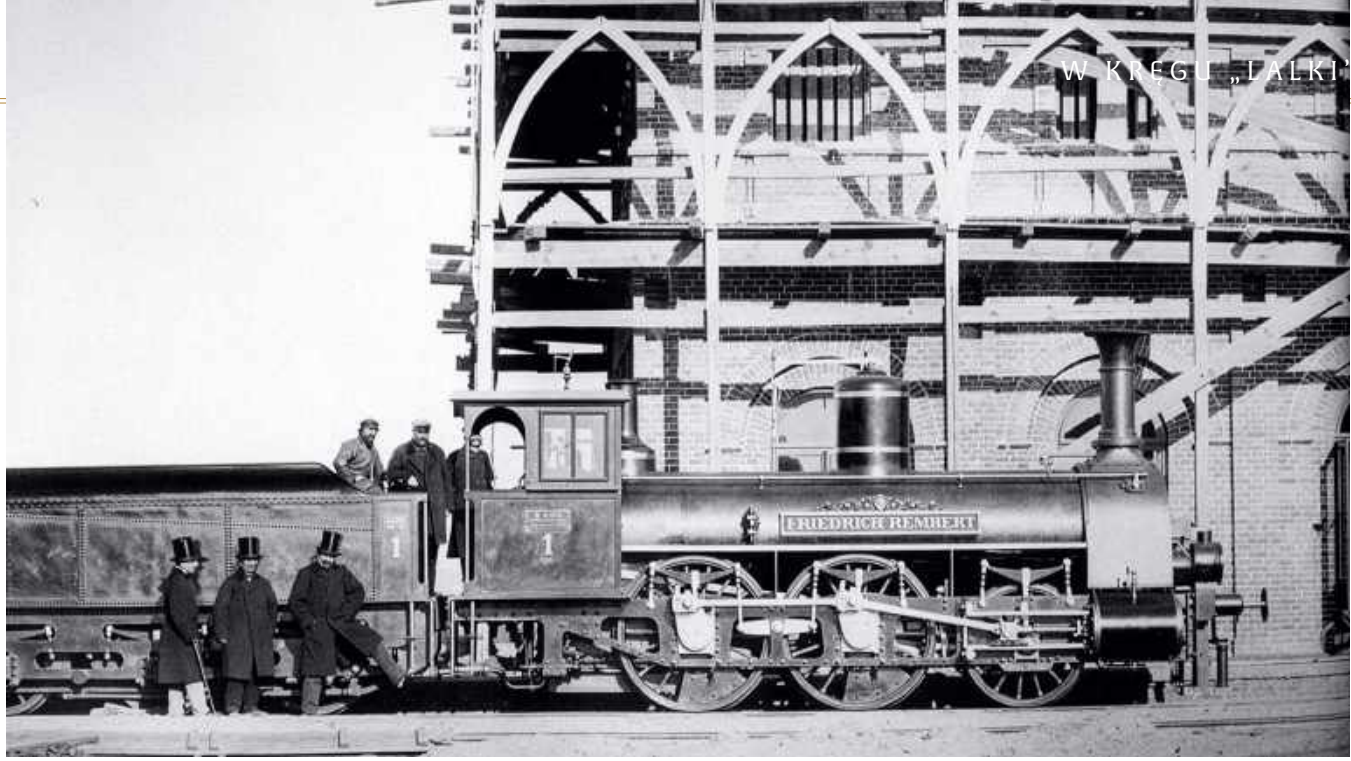
Jego największym sukcesem okazał się jednak bank oplatający imperium Romanowów. Tworzenie tej instytucji zaczął od powołania do życia w 1869 r. Petersburskiego Banku Dyskontowego. „Przez utworzenie banku Kronenberg zajął nader wpływowe stanowisko w Petersburgu i za pośrednictwem Wałujewa [Piotra Wałujewa, ministra spraw wewnętrznych Rosji], Lamańskiego [Piotra Lamańskiego, wybitnego rosyjskiego ekonomisty], dyrektora Banku Państwa Szamszyna, dyrektora kancelarii kredytowej i von Reuterna, ministra finansów, uzyskał zatwierdzenie instytucji, na które kraj nasz czekał od dawna” – opisuje w opracowaniu „Leopold Kronenberg i rozwój kredytu w Królestwie Polskim” Franciszek Doleżal.

Do instytucji tych należały Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń, Bank Handlowy, Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy i Kasa Przemysłowców. Petersburski Bank Dyskontowy był dla finansisty dźwignią, której użył, aby dzięki protekcji łasych na pieniądze dworskich elit skonsolidować swoje biznesowe imperium. Centralnym jego punktem stał się utworzony w 1870 r. w Warszawie potężny Bank Handlowy. Wchłonął on Bank Dyskontowy i inne domy bankowe Kronenberga. Za jego pośrednictwem Leopold zarządzał pozostałymi przedsięwzięciami gospodarczymi i kredytował kolejne. Obroty finansowe, jakie odnotowywał każdego roku, wynosiły ponad 2 mld rubli i były wyższe niż całoroczne wpływy do budżetu Rosji.



❖ Leopold Kronenberg, twórca potęgi rodu; portret pędzla Leopolda Horowitza, XIX w.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Parowóz przed Dworcem Terespolskim w Warszawie; Kolej Warszawsko-Terespolską wybudował Leopold Kronenberg, 1866 r.
Poniżej: Emilia z domu Kronenberg, żona Jana Blocha, 1902 r.



Zasymilowani. Idąc w ślady ojca, Leopold Kronenberg dokonał również transformacji tożsamości. W 1846 r. porzucił nowoczesny judaizm i przyjął chrzest w Kościele ewangelicko-reformowanym. Następnie poślubił Ernestynę Rozalię z domu Leo. Związek z córką znanego warszawskiego okulisty Leopolda Augusta Leo otworzył mu drzwi salonów w stolicy Królestwa Polskiego. A jeszcze skuteczniej robiły to pieniądze. Jego śladem podążyła reszta braci i sióstr, również zostając chrześcijanami. To bardzo ułatwiło im układanie sobie relacji z Polakami, dla których przestawali być ciałem obcym, a zaczęli być pożądanymi partnerami biznesowymi, dobroczyńcami, a nawet politycznymi liderami.

Leopold pod koniec lat 50. XIX w. został jednym z przywódców tzw. Białych – umiarkowanego stronnictwa liberalno-konserwatywnego. Opowiadał się za pracą organiczną oraz usiłował powstrzymać wybuch powstania. W gronie jego bliskich współpracowników znalazł się wówczas kwiat polskiej arystokracji: Andrzej Zamoyski, Aleksander i Władysław Braniccy, Aleksander Przezdziecki, Seweryn Potocki. Gdy nie udało się zapobiec zrywowi narodowemu, Kronenberg został jego głównym sponsorem, wydając na wyposażenie oddziałów powstańczych około miliona rubli. Nie uszło to uwagi władz carskich, więc dla własnego bezpieczeństwa musiał w 1863 r. wyjechać do Francji.

Po upadku powstania styczniowego łatwo kupił sobie przebaczenie u cara i powrócił do Warszawy. Wkrótce zaimponował wszystkim. Tym razem budując dla rodziny w latach 1868–71 przy Placu Ewangelickim (później Małachowskiego) najdroższą rezydencję w Królestwie Polskim. Okazały pałac zaprojektował berliński architekt Friedrich Hitzig. Na tym rozmach bajecznie bogatego rodu się nie kończył. „Wielka fortuna zgromadzona przez Kronenbergów pozwoliła na wspieranie finansowe wielu zamysłów i na objęcie szeroko pojętego mecenatu nad różnymi dziedzinami życia społecznego, kulturalnego i artystycznego” – opisuje Małgorzata Dubrowska w opracowaniu „O znanych i nieznanych Kronenbergianach”, odnosząc się do działalności Leopolda Kronenberga i trzech jego synów: Stanisława Leopolda, Władysława Edwarda i Leopolda Juliana. „Zkładali szkoły przemysłowe; od szkół rzemieślniczych, kolejowych do wyższej Szkoły Handlowej. Łożyli na rozwój Instytutu Politechnicznego, Warszawskiego Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu czy Kasy Przemysłowej Warszawskiej. Duże zapisy majątkowe przekazano też na Kasę Pomocy Naukowej im. Mianowskiego. Pomocą materialną służyli celom dobroczynnym, przeznaczając duże sumy pieniężne na kasy rzemieślnicze, szpitale, przytułki i ochronki” – wylicza Dubrowska.

Inwestowali w prasę, wydając „Gazetę Codzienną”, której redaktorem naczelnym został Józef Ignacy Kraszewski, oraz „Nowiny” redagowane przez Bolesława Prusa i Aleksandra Świętochowskiego. „Dzięki pasjom muzycznym Władysława Edwarda i Leopolda Juliana rozwinęło szeroką działalność Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, którego prezesem w latach 1881–85 był Władysław Edward. Wkrótce powołano do życia Filharmonię Warszawską (1901 r.), jedną z największych instytucji artystycznych tamtych czasów”.

Koniec fortuny. Tak fortuna pomnażana przez dwa pokolenia, w trzecim zaczęła służyć powszechnemu dobru Warszawian. Po czym spotkał ją koniec typowy dla losów Polski. Nie przetrwała dwóch wojen światowych. Ostatni z męskiej linii rodu Leopold Jan Kronenberg, syn Leopolda Juliana i znakomitej śpiewaczki operowej Józefiny Reszke, emigrował z Polski pod koniec 1947 r., by osiąść w Los Angeles. W 1969 r. jego jedyna żyjąca w Polsce krewna Janina Nieniewska otrzymała od niego list. „Opracowuję życie i karierę naszych sławnych rodziców, może z tego będzie scenariusz do filmu. Myślę czasem, w jak pięknym czasie bez wojen była ich kariera. Byli sławni i bogaci. Pomyśl, jak wiele utraciliśmy przez wojnę. Wieniec, Brzezie, Hotel Saski są bezpowrotnie stracone. Może kiedyś nam zwrócą nieprawnie zabrane kamienice przy Krakowskim Przedmieściu? Może kiedyś ustrój się zmieni, chyba nie za naszego życia”. Zmarł na emigracji dwa lata później, zamykając historię najbogatszego z warszawskich rodów.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

eprasa.pl 37c4d1858f



Z „Lalki”: Ten świat (...), gdzie szeleściły jedwabie, rosły tylko rzeźbione drzewa, a glina pokrywała się artystycznymi malowidłami, ten świat miał swoją specjalną ludność. Właściwymi jego mieszkańcami były księżniczki i książęta, hrabianki i hrabiowie tudzież bardzo stara i majętna szlachta.

Lubomirscy

Jedna z gałęzi rozrośniętej arystokratycznej rodziny udzielała się społecznie w Warszawie czasów Prusa, a Jan Tadeusz Lubomirski został pierwowzorem księcia z „Lalki”.







❖ Od lewej: Jan Tadeusz Lubomirski, jego żona Maria z domu Zamoyska i ich syn Zdzisław.

Andrzej Szwarc

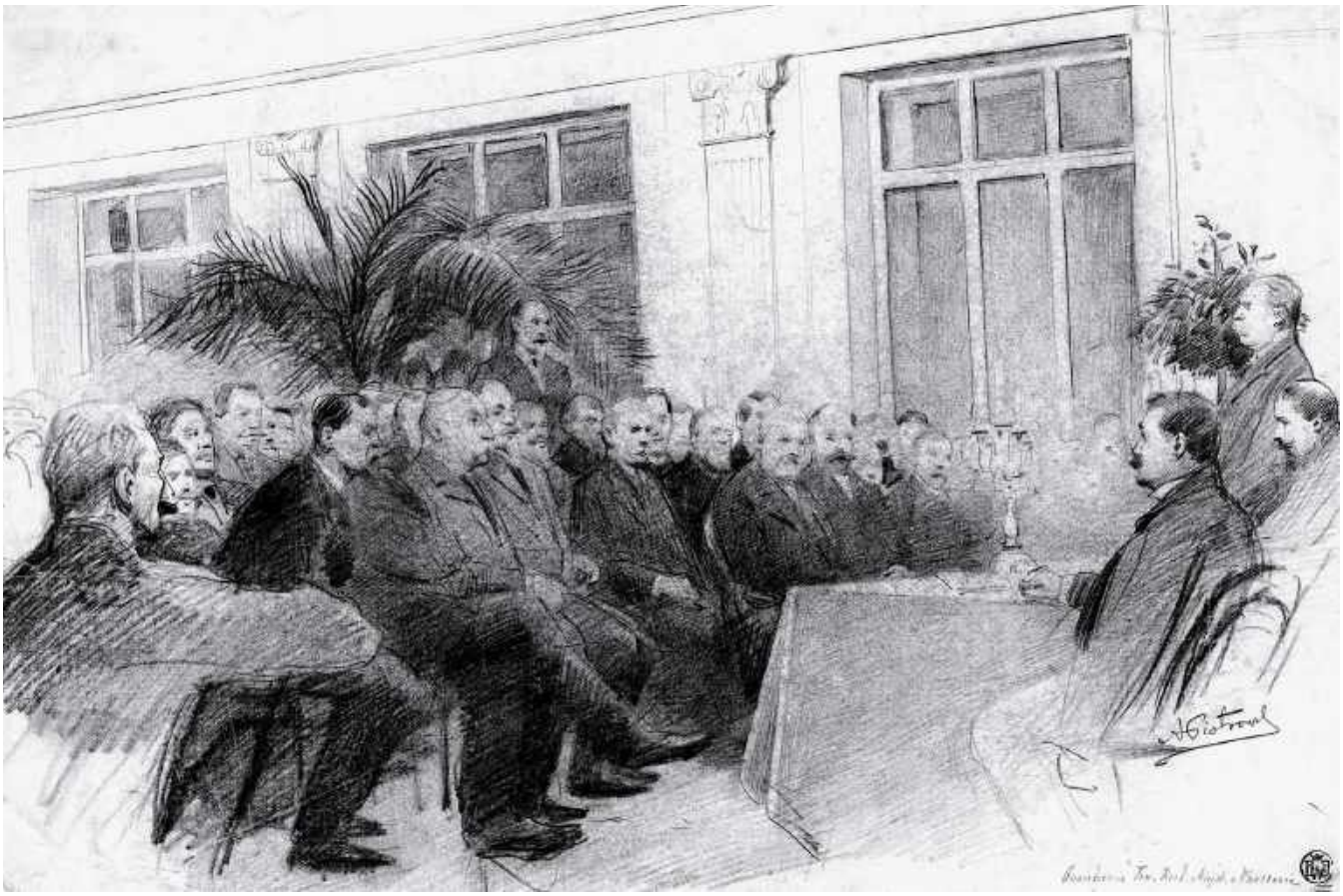
Anonimowy w „Lalce”. „W swoim towarzystwie książę nosił tytuł zagorzałego patrioty, prawie szowinisty; poza towarzystwem cieszył się opinią jednego z najlepszych obywateli (treścią jego rozmów były interesy publiczne). Był arystokratą od włosów do nagniotków (…). Wierzył, że każde społeczeństwo składa się z dwóch modułów: zwykłego tłumu i »klas wyższych«. Równocześnie jednak pragnął współpracy różnych warstw społeczeństwa dla wspólnego dobra i w tym celu nie wahał się nawiązywać kontaktów z ludźmi spoza swojej sfery. Niemal każdą wypowiedź kończył frazesem o »nieszczęsnym kraju«”. W ten sposób Bolesław Prus przedstawił jedną z bardziej wyrazistych drugoplanowych postaci „Lalki”.

Książę zapala się do pomysłu Stanisława Wokulskiego założenia spółki do handlu z Rosją i wciąga do niej innych przedstawicieli arystokracji i zamożnego ziemiaństwa oraz reprezentantów rodzimej finansjery, którzy powinni wnieść stosowny kapitał. Ma to być przedsięwzięcie obliczone na zysk, a nie inicjatywa dobroczynna. Kiedy Wokulski po zawodzie miłosnym wycofuje się z interesów i opuszcza spółkę, książę próbuje odwieść go od tego pomysłu, a potem idzie w jego ślady.

Sięgnijmy do innej jeszcze charakterystyki tej samej osoby pióra Antoniego Zaleskiego, dziennikarza konserwatywnego „Słowa” i przyjaciela Henryka Sienkiewicza. Znalazła się ona w wydanych anonimowo w Krakowie „Listach do przyjaciółki przez Baronową XYZ”, plotkarskim wizerunku Warszawy lat 80. XIX w., któremu towarzyszyło oskarżenie rusyfikatorskiej polityki generał-gubernatora Josifa Hurki i jego współpracowników. Zaleski, nie szczędząc superlatywów, tak pisał o księciu pod nagłówkiem „Praca organiczna i jej wcielenie”: „Zażywa wyjątkowej niemal pozycji (…). Zajęty suchą, żmudną i uciążliwą pracą (…) podjął się owego stanowiska dlatego jedynie, że w nim widział możność służenia społeczeństwu (…). Wykształcenie w nim duże i najróżnorodniejsze, nauka prawdziwa, wszechstronna, oczytanie wielkie, umysł jasny, prosty, żadnymi formułkami nie zasklepiony, umiejętność poznawania i zużytkowania ludzi rzadka (…). Przy tym rozum, bystrość, znajomość ludzi, położenia i warunków kraju (…) czynią go jedną z pierwszych w naszym społeczeństwie powag, dar zaś zdobywania serc i jednania umysłów, przystępność i serdeczność obejścia jednają mu powszechną sympatię i miłość ludzką”.

Był to głos przedstawiciela tej części dziennikarstwa warszawskiego, o której mawiano, że służy piórem ziemiaństwu i arystokracji. Można by się zatem spodziewać, że przywódca pozytywistów Aleksander Świętochowski, publicysta „Prawdy” znany z bezkompromisowej postawy i ciętego języka pogromca wszelkiego konserwatyzmu, narysuje portret utrzymany w ciemnych barwach. Nic z tych rzeczy! Zamiast grzmieć, papież pozytywizmu wyraża się z rzadką u niego atencją: „Przed wyjściem pierwszego numeru »Prawdy« [w 1881 r.] przyszedł do mnie Tadeusz ks. Lubomirski, którego znałem z powszechnego szacunku, jakim go otaczano i na jaki rzeczywiście zasługiwał. (…) Z wielu stron słyszę – rzekł – że »Prawda« ma być organem bojowym, do zwalczania wszystkiego, co naród czci i zachować pragnie, a głównie – religii, moralności, miłości ojczyzny. Nie chcę temu wierzyć, ale proszę, ażeby pan mnie w tym utwierdził”. Po dyskusji książ-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Posiedzenie w gmachu Towarzystwa Kredytowego Miasta Warszawy, szkic Antoniego Piotrowskiego. Twórcą i pierwszym prezesem towarzystwa był Jan Tadeusz Lubomirski.

żę wyszedł uspokojony, a relacjonując ją w swoim środowisku, oświadczył: „Byłbym nawet (…) rozmawiał z nim chętnie dłużej, ale obawiałem się, ażeby mnie nie przekonał”.

Prus i Zaleski nie zdradzili, o kim mowa, pierwszy ze względu na fikcję literacką, drugi – być może z obawy przed rosyjskimi władzami. Natomiast Świętochowski opublikował wspomnienia już w II Rzeczpospolitej, w wiele lat po śmierci swego rozmówcy i ani nie musiał, ani nie chciał, by ten pozostał anonimowy.

Tradycje rodowe. Lubomirscy herbu Szreniawa wywodzą się ze średniowiecznego rycerstwa ziemi krakowskiej i przez stulecia nie odznaczali się niczym szczególnym. Nazwisko wzięli od miejscowości Lubomierz w powiecie bocheńskim. Twórcą potęgi rodu był Sebastian (1546–1613), który wzbogacił się jako żupnik krakowski i jako pierwszy wszedł do senatu Rzeczpospolitej. Później kariera Lubomirskich potoczyła się błyskawicznie: w następnych pokoleniach nie brakowało kasztelanów, wojewodów i biskupów oraz staropolskich ministrów (w tym aż czterech marszałków wielkich koronnych). Od 1649 r. używali dziedzicznego tytułu książęcego nadanego im przez cesarza.

Umiejętnie gospodarując, skutecznie zabiegając o nadania królewskie i prowadząc przemyślną politykę matrymonialną błyskawicznie powiększali swoje dobra, położone głównie w Małopolsce, Ukrainie i historycznej Litwie. Chociaż w kolejnych generacjach rodziło się coraz więcej dzieci (w XIX w. genealodzy doliczyli się aż pięciu linii rodowych), majątków wystarczyło dla wszystkich. W rankingu najbogatszych magnatów zajmowali najprawdopodobniej trzecie miejsce, a za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego dość wcześnie owdowiała marszałkowa Izabela Lubomirska (1736–1816) uchodziła za najzamożniejszą kobietę w kraju.

Jan Tadeusz (1826–1908) wywodził się co prawda z nieco skromniejszej linii, ale i tak jego majątek wykraczał poza krąg średniego ziemiaństwa. Jego bliscy nie stronili od związków z caratem; stryj był nawet rosyjskim generałem. Sam Jan Tadeusz kształcił się w Korpusie Paziów i słynnym elitarnym rosyjskim liceum w Carskim Siole. Potem trochę studiował w Paryżu. Już w pierwszej połowie lat 50. XIX w. osiadł w Warszawie i odkrył, że ma dwie pasje: historię i działalność społeczną. Opublikował kilka specjalistycznych rozpraw, takich jak „Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku” czy „Jurysdykcja patriarchalna w Polsce”. Wydawał też źródła historyczne, pamiętniki i diariusze sejmowe, a przede wszystkim „Kodeks dyplomatyczny Księstwa Mazowieckiego”, rzecz bardzo cenną i wymagającą kompetencji, o czym wie każdy, kto widział (a może nawet próbował bezskutecznie odczytać) średniowieczne dokumenty mazowieckie.

Był pomysłodawcą i realizatorem wielu inicjatyw społecznych. Głównym polem jego działalności pozostawało Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności (WTD), którego był prezesem (1870–95). WTD prowadziło przytułki dla dzieci



❖ Pamiątkowy medal w uznaniu pracy społecznej księcia J.T. Lubomirskiego, 1901 r.

eprasa.pl 37c4d1858f

oraz starców i nieuleczalnie chorych, wydawało bezpłatne posiłki ubogim, udzielało finansowego wsparcia uczącej się niezamożnej młodzieży, rozwijało sieć bezpłatnych czytelni, wieczorowych kursów dla rzemieślników i niedzielnych kursów dla służących, a zorganizowane przy nim tzw. kasy groszowe służyły potrzebującym niskooprocentowanym kredytem.

Lubomirski wciągnął do współpracy zamożnych finansistów i przedsiębiorców, którzy (oraz ich żony) dzięki filantropii mogli nawiązywać kontakty z ekskluzywnymi kołami arystokracji czy ziemiaństwa. I jakby tego było mało, hojnie wspierał Instytut Oftalmiczny, czyli klinikę i przychodnię okulistyczną, był współzałożycielem Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych dla trudnej młodzieży (prowadziło zakład wychowawczy w Studzieńcu), współinicjatorem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (w którego laboratorium pierwsze kroki stawiała Maria Skłodowska), wydawał podręczniki, a w swej rezydencji Mała Wieś pod Grójcem założył żłobek i przedszkole dla chłopskich dzieci. Przyczynił się też do remontu grożącej zawaleniem Kolumny Zygmunta i opiekował się innymi zabytkami.

Widać go było także w przedsięwzięciach obliczonych na zysk, jak rada nadzorcza Banku Handlowego Leopolda Kronenberga (art. s. 20) i Towarzystwo Wzajemnego Kredytu. Skądinąd w przypadku nowych inwestycji, zwłaszcza o formacie spółek akcyjnych, udział arystokratów i zamożnych ziemian leżał w interesie burżuazji zdającej sobie sprawę, że przyciągnie tym dalszych uczestników, którzy biorą sobie do serca słowa z „Pana Tadeusza": „Musi to być rzecz pewna, gdy są z nią panowie".

Powstaniec i zesłaniec. Przed powstaniem styczniowym Jan Tadeusz Lubomirski był związany z Towarzystwem Rolniczym i wraz z wieloma jego członkami zasilił obóz tzw. Białych, umiarkowane stronnictwo polskiego ruchu narodowego. Tak jak i oni wiosną 1863 r. w nadziei na interwencję Anglii i Francji zgłosił akces do insurekcji i w przeciwieństwie do wielu nie uchylał się od głębokiego, a niebezpiecznego zaangażowania. W marcu w ramach dyktatury Mariana Langiewicza miał zostać kierownikiem Wydziału Spraw Zagranicznych. W lipcu wszedł do Komisji Kodyfikacyjnej przy Wydziale Spraw Wewnętrznych Rządu Narodowego. W listopadzie z nominacji Romualda Traugutta miał objąć kierownictwo tego wydziału, wkrótce jednak został aresztowany i wysłany w trybie administracyjnym do Niżnego Nowgorodu nad Wołgą.

Na zesłanie powędrowała wraz z nim żona Maria z Zamoyskich; tam też urodził się ich syn Zdzisław. Położenie było trudne; nierzadko za mniejsze przewinienia groziły surowsze kary. Mimo jednak imperialistycznego i nacjonalistycznego zacietrzewienia, które ogarnęło wówczas Rosję, carat był względnie wyrozumiały wobec przedstawicieli ścisłej arystokratycznej elity skoligaconej z rosyjską i europejską. Już w 1865 r. książę Jan Tadeusz mógł wrócić do Warszawy i rzucić się w wir swych jakże pożytecznych zajęć. Do tych wcześniejszych dodał jeszcze następne. Współredagował i współfinansował „Encyklopedię Rolniczą" i „Encyklopedię Pedagogiczną". Organizował kąpieliska ludowe, w dobie rewolucji 1905 r. pomagał więźniom politycznym oraz polskim (po latach bezwzględnej rusyfikacji) szkołom. Pod koniec życia, w 1906 r., włączył się do grona założycieli Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie. Zgromadził ciekawy zbiór polskich medali, monet i starodruków. Zestawił także obszerną genealogię rodu Lubomirskich, która pozostała jednak w rękopisie.

Człowiek symbol. Przez kilka popowstaniowych dziesięcioleci nie było w Królestwie Polskim miejsca na działalność



❖ Krakowskie Przedmieście. Z lewej kolumnada dawnego odwachu, dalej gmach Resursy Obywatelskiej i Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, gdzie udzielał się Lubomirski, na wprost dom Malcza; obraz Juliana Wyszyńskiego, 1865 r.

polityczną z prawdziwego zdarzenia. Represje doprowadziły do likwidacji niemal wszystkich polskich instytucji. Dawne elity zostały odsunięte od wpływu na władzę. Zlikwidowano nawet samorząd miejski. Nieliczne grono ultrakonserwatywnych na ogół zwolenników ugody z Rosją na czele z Zygmuntem Wielopolskim, synem margrabiego Aleksandra, co pewien czas podpisywało i wysyłało do cara tzw. adresy z zapewnieniami o bezwzględnej lojalności i wierności Polaków, ale nadzieje na zelżenie represji i ucisku były daremne. Chociaż część arystokratów wspierała te inicjatywy, większość, do której należał książę Jan Tadeusz, starała się trzymać na uboczu. Podobnie jak inni byli Biali ograniczał swój udział w deklaracjach lojalności do niezbędnego minimum i starał się o akceptację władz dla pożytecznych inicjatyw o charakterze ekonomicznym, charytatywnym czy oświatowym.

W warunkach braku jawnego życia politycznego znaczenia nabierały osoby, postawy, symboliczne zachowania i działania z pozoru niemające nic wspólnego z polityką. Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności miało kilka tysięcy członków i operowało budżetem idącym w setki tysięcy rubli. Jego prezes piastował stanowisko pochodzące z odnawianego co kilka lat wyboru, jedno z niewielu uznawanych przez opinię publiczną za znaczące i prestiżowe (drugim była prezesura Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego zrzeszającego niemal wszystkich właścicieli ziemskich w Królestwie Polskim). Chociaż nieformalnie książę Lubomirski grał rolę wykraczającą poza funkcje szafarza różnych form pomocy dla ubogich mieszkańców Warszawy.

Bracia. Książę Jan Tadeusz miał dwóch starszych braci: Władysława Emanuela (1824–82) i Eugeniusza (1825–1911). Ten ostatni podczas powstania styczniowego był agentem Rządu Narodowego w Rzymie, a po klęsce wrócił do zaboru rosyjskiego, ale całkowicie odsunął od wszelkich spraw publicznych. Gospodarował z powodzeniem w swoich majątkach na Białorusi, w Małopolsce i na Lubelszczyźnie, chociaż główną jego siedzibą stał się okazały późnorenesansowy pałac w Kruszynie pod Częstochową.

Ciekawszą chyba postacią był Władysław Emanuel. Podobnie jak Jan Tadeusz ukończył liceum w Carskim Siole, poparł powstanie styczniowe i został nawet komisarzem w powstańczym województwie mohylowskim, gdzie wobec przygniatającej przewagi ludności prawosławnej nie pod-

eprasa.pl 37c4d1858f

jęto właściwie żadnych akcji zbrojnych. Pomimo to i jego czekało zesłanie w głąb Rosji, z którego wrócił w 1867 r., by zamieszkać na stałe w Warszawie. Od wczesnej młodości interesował się botaniką i zoologią bezkręgowców; z czasem drogą samokształcenia uzyskał niemałe kompetencje w tym zakresie. Zgromadził pokaźnych rozmiarów zielnik.

W Warszawie założył miniogród botaniczny. Sprowadzał rośliny m.in. z Ameryki Południowej, starając się je aklimatyzować. Korespondował i współpracował z polskimi badaczami Syberii. Zasłużył się jako mecenas Gabinetu Zoologicznego, wspierając finansowo tę placówkę i umożliwiając jej kosztowne zakupy nowych eksponatów. Sam wyspecjalizował się w badaniach nad mięczakami i zgromadził kolekcję ponad 8000 ich muszli. Przy pomocy zawodowych zoologów sporządził jej katalog, opublikował też kilka drobnych specjalistycznych artykułów we francuskich i brytyjskich czasopismach naukowych. Po jego przedwczesnej śmierci przetrwała znaczna część zbiorów i biblioteki, które są dzisiaj własnością Instytutu Zoologicznego PAN.

Syn. Nasz książę Jan Tadeusz miał dziedzica. Jego syn Zdzisław (1865–1943) urodził się, jak wspomnieliśmy, na zesłaniu. Po starzejącym się ojcu przejął prezesurę Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności oraz kuratorstwo Instytutu Oftalmicznego. W czasie pierwszej wojny światowej stanął na czele Komitetu Obywatelskiego Warszawy i budował podwaliny stołecznego samorządu. Wczesną jesienią 1917 r. wszedł do Rady Regencyjnej. Nieco ponad rok później to on właśnie w imieniu rady przekazał władzę Józefowi Piłsudskiemu, co uznano za początek niepodległej Polski.

Opisani przedstawiciele rodziny Lubomirskich zapracowali na uznanie jako zasłużeni społecznicy, filantropi i mecenasi nauki, a przy tym patrioci gotowi na wezwanie ojczyzny narazić się na niebezpieczeństwo i utratę majątku. Czy ich zasługi zostały docenione? Zdzisław Lubomirski ma w Warszawie swoje rondo na skrzyżowaniu Wolskiej i Prymasa Tysiąclecia. Jana Tadeusza upamiętnia tylko tablica w kościele Świętego Krzyża i nagrobek na Powązkach.

Sąd nad arystokracją w „Lalce”. Dla zachowania proporcji należy jednak stwierdzić, że taka prawdziwie obywatelska postawa nie cechowała wszystkich arystokratów ani nawet wszystkich Lubomirskich. Oto np. książę Józef (1838–1911), dziedzic wielkich dóbr na Wołyniu (Dubno i okolice), był typowym utracjuszem, który wyrzucał pieniądze garściami, bawiąc się Paryżu i na Riwierze. Chociaż potępił powstanie styczniowe i aż do przesady demonstrował swój lojalizm, jego lekkomyślność, niechęć carskiej administracji i nieuczciwość zarządców doprowadziły go do całkowitego bankructwa. Mieszkał potem bardzo skromnie w Paryżu, związawszy się trwale z dziewczyną z niższych warstw społecznych, co spowodowało bojkot ze strony jego rodziny i środowiska. Dla zarobku pisywał francuskie powieści o tematyce rosyjskiej; wydał także ciekawe, utrzymane w nieco sensacyjnym duchu, pamiętniki zatytułowane „Historia pewnej ruiny”, których pierwsze zdanie brzmiało: „Głęboko sobą pogardzam”.

Kiedy w popowstaniowej Warszawie ktoś wspominał o hrabim Guciu, wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. August hrabia Potocki (1847–1905), dziedzic Jabłonny i utrapienie swojej dalekiej, bogobojnej ciotki Aleksandry, właścicielki Wilanowa, zasłynął jako birbant i utracjusz. Uwielbiali go kelnerzy i dorożkarze – oczywiście z racji wysokich napiwków. Stefan Kieniewicz w biogramie Potockiego określił go słowami wesoły utracjusz i bożyszcze żeńskiego półświatka. Utrzymywał stajnię wyścigowych koni, a sam został wiceprezesem Towarzystwa Wyścigów Konnych (co było jedyną jego publiczną funkcją). Z różnym powodzeniem oddawał się hazardowi, grając w karty i obstawiając wyniki końskich gonitw.



❖ Baron Józef Weyssenhoff sportretowany razem ze Stanisławem Reymontem przez Stanisława Lentza, ok. 1918 r.

A baron Józef Weyssenhoff? W encyklopediach określany jest jako „powieściopisarz, poeta, krytyk literacki”. Zanim jednak doszedł do niemałych w tej dziedzinie sukcesów, był hulaką i utracjuszem. Swój majątek Samoklęski na Lubelszczyźnie, pełen dzieł sztuki i cennych druków, przegrał w 1894 r. w karty w petersburskim Yacht Clubie do wielkiego księcia Borysa Władimirowicza, stryjecznego brata cara Mikołaja II (co beneficjent miał skwitować słowami: czwarty rozbiór Polski!). Nie zdzierżył tego teść Weyssenhoffa, arcybogaty bankier i właściciel linii kolejowych Jan Bloch, i nakazał swej córce Aleksandrze wystąpić o separację, a następnie rozwód.

Jest na stronicach „Lalki” znamienny spór. Po powrocie z Paryża Wokulski spotyka się z Izabelą i wyraża podziw dla tego wspaniałego miasta, skarbnicy sztuki: „Tak – odpowiedziała panna Izabela. – Arystokracja francuska miała możność i czas tworzyć te arcydzieła”. Wokulski oponuje, zarzucając arystokratom próżniactwo. Na to Izabela:

„Tamci dużo robili. Przede wszystkim stworzyli Francję, byli jej rycerzami, wodzami, ministrami, kapłanami. A nareszcie zgromadzili te skarby sztuki, które pan sam podziwia.

– Niech pani powie: tamci dużo rozkazywali i wydawali pieniądze, stworzył jednak Francję kto inny. Tworzyli ją źle wynagradzani żołnierze i marynarze, przywaleni podatkiem rolnicy i rękodzielnicy, a nareszcie uczeni i artyści (..)

– Pan jest nieprzejednanym wrogiem arystokracji.

– Nie, pani, nie mogę być wrogiem tych, którzy w niczym mnie nie szkodzą. Sądzę tylko, że zajmują uprzywilejowane miejsca bez zasługi i że dla utrzymania się na nich apostołują w społeczeństwach pogardę dla pracy, a cześć dla próżniaczego zbytku”.

Mamy tu wykład jednej z głównych idei warszawskiego pozytywizmu: praca i wiedza w służbie społeczeństwa stanowią najwyższą wartość i pora skasować odziedziczone przywileje. Punktem wyjścia jest bezwzględna krytyka całej bez wyjątku grupy społecznej uznanej za próżniaczą i szkodzącą postępowi. Taka ma być cała arystokracja. Musi to budzić wątpliwości jak każda apodyktyczna generalizacja.

ANDRZEJ SZWARC

eprasa.pl 37c4d1858f



Z „Lalki”: Może bym się zabił z desperacji, gdyby nie ciągłe wiadomości o Ludwiku Napoleonie, który już został prezydentem, a myślał o cesarstwie. Było mi lżej dźwigać nędzę i tłumić wybuchy żalu, kiedym słuchał o triumfach człowieka, który miał wykonać testament Napoleona I i zrobić porządek w świecie. Nie udało mu się wprawdzie, aleć – zostawił syna. Nie od razu Kraków zbudowano!...



❖ Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego w nurtach Elstery; malarz polski według Horacego Verneta, po 1817 r.

Sieroty po Napoleonie

W czasach „Lalki” bonapartyzm był politycznie martwy. Ale mit Napoleona przetrwał w osobach takich jak powieściowy Ignacy Rzecki. A następnie zyskał nowy blask za sprawą pokolenia malarzy, pisarzy i historyków.

Tomasz Targański

Romantycy i mistycy. Legenda napoleońska za każdym razem, gdy tchnięto w nią iskrę życia, wyzwalała wśród Polaków nowe pokłady nadziei. Wybuch powstania listopadowego, masowa emigracja do Paryża po jego klęsce, sprowadzenie prochów cesarza do francuskiej stolicy w 1840 r., Wiosna Ludów czy wreszcie dojście do władzy Ludwika Napoleona w 1848 r. – wszystko to działało elektryzująco na polskich napoleonidów w typie Ignacego Rzeckiego.

W samym Królestwie Polskim jednak – pomimo impulsów płynących z Francji, przede wszystkim wojennych awantur Napoleona III – bonapartyzm pod względem politycznym był ideą martwą. Nie działało żadne zorganizowane pronapoleońskie stronnictwo, a jedynymi, którzy wciąż wiązali jakiekolwiek nadzieje z domem Bonapartych, byli pojedynczy romantycy pokroju starego subiekta z „Lalki”. Ściany ich salonów zdobiły ryciny i litografie cesarza Francuzów, ale świat wokół nich kierował się już zgoła inną logiką, gdzie rozum, chłodna kalkulacja i ponad wszystko kapitał odgrywały kluczową rolę.

Wśród polskiej emigracji we Francji kult Napoleona ożywił w latach 40. i 50. skupiony wokół Andrzeja Towiańskiego ruch Koła Sprawy Bożej. W doktrynie jego uczestników Bonaparte był traktowany jako mistyczny wysłannik, którego zadaniem było zjednoczenie narodów, podniesienie ludzkości na wyższy poziom duchowy oraz przygotowanie świata na nowe Królestwo Boże. Sam Towiański – urodzony na Wileńszczyźnie w 1799 r. – pozostawał pod osobi-

eprasa.pl 37c4d1858f

stym czarem mitu cesarza Francuzów, ponieważ wraz z dorosłymi doświadczył nadziei związanych z kampanią 1812 r. W ślad za Towiańskim w specjalną misję Napoleona wierzył Adam Mickiewicz. Polski wieszcz popierał autokratyczne dążenia Ludwika Napoleona, kiedy ten przybrał tytuł cesarski. Widział w tym znak, że napoleoński wielki duch gotuje się do wypełnienia powierzonej mu misji.

W latach 50. XIX w. umierali ostatni żołnierze Napoleona: Ignacy Prądzyński, Jan Nepomucen Umiński, Józef Chłopicki, Wincenty Krasiński. Bonapartyzm przeszedł do historii. Jednocześnie na ziemiach polskich zaczął odgrywać coraz większą rolę na polu kulturowym, kształtując tożsamość narodową. Wielką rolę na tym polu mieli odegrać malarze, literaci i historycy.

Panoramy i pojedynek. Artystą, który długo przed Matejką zaludnił masową wyobraźnię Polaków obrazami z przeszłości, był January Suchodolski (1797–1875). Z zamiłowania batalista, nigdy nie doczekał się uznania krytyków. Wytykano mu brak akademickiego wykształcenia, ale bez wątpienia wywarł niezatarty wpływ na rozwój nurtu historyczno-batalistycznego w polskiej sztuce. Jego obrazy zaludniali ułani Księstwa Warszawskiego, szwoleżerowie gwardii cesarskiej szturmujący wąwóz Somosierry czy legioniści na San Domingo.

Jako weteran powstania listopadowego Suchodolski mieszkał i tworzył w Warszawie. Aby przeżyć, nie wahał się sięgać po dotacje i stypendia pochodzące ze skarbca ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego Iwana Paskiewicza. Wystarał się też o tytuł członka Imperatorskiej Akademii Sztuk Pięknych, co wiązało się z pewnymi apanażami. Z jednej strony malował zatem obrazy na zamówienie samego cara Mikołaja I, np. sceny z wojny Rosji na Kaukazie, a z drugiej – heroiczne epizody ku pokrzepieniu serc z napoleońskiej epopei Polaków.

Również Wojciech Kossak (1856–1942) czerpał z napoleońskiej legendy pełnymi garściami. Podczas pobytu w Paryżu zafascynował się tradycyjnym malarstwem historyczno-batalistycznym. Po sukcesie „Panoramy Racławickiej” zwrócił się ku tematyce napoleońskiej i namalował ogromną, liczącą 120 m w obwodzie panoramę „Przejście Wielkiej Armii przez Berezynę w 1812 roku”. Dzieło powstało w Berlinie i tam miało swoją premierę w 1896 r., a następnie ruszyło na tournée na wschód: zaprezentowano je w Warszawie, Kijowie i Moskwie. Konflikt o prawa autorskie między Kossakiem a współautorem Julianem Fałatem przybrał na sile na tyle, że artyści wyzwali się na pojedynek. Doszło do niego w grudniu 1900 r. w Warszawie na terenie dzisiejszego Ursynowa. Kossak strzelił, ale chybił. Fałat zaś nie strzelił w ogóle.

Mimo upływu czasu napoleońska legenda w zaborze rosyjskim wciąż była kwestią drażliwą. Dowodem na to były losy kolejnej planowanej przez Kossaka panoramy, mającej przedstawiać bitwę pod Somosierrą. Projekt napotkał opór carskiej cenzury. Sprawa otarła się o generał-gubernatora warszawskiego, księcia Aleksandra Imeretyńskiego, który uznał, że realizacja dzieła może wywołać patriotyczne zamieszki. Kossak udał się bezpośrednio na dwór w Petersburgu, gdzie pokazał swoje szkice bratu cara Aleksandra III, wielkiemu księciu Włodzimierzowi Aleksandrowiczowi, ale i to nie odniosło skutku. Panorama Somosierry nie powstała.

Literaci i historycy. W ostatnich dekadach XIX w. tożsamość narodową Polaków w coraz większym stopniu kształtowały powieści historyczne. Pierwszym popularnym autorem, który świadomie uczynił z epoki napoleońskiej literacki produkt skierowany do dzieci i młodzieży, był Walery Przyborowski (1845–1913). Choć należał do pokolenia powstania styczniowego i brał udział w walkach, po latach zaczął głosić hasła współpracy z Rosją na gruncie panslawizmu. Początkowo próbował zwrócić uwagę opinii publicznej jako historyk powstania styczniowego. Nie odniósł jednak sukcesu. Zwrócił się więc ku powieściom przygodowym dla młodzieży, z których najsłynniejsza była opublikowana w 1881 r. „Bitwa pod Raszynem”. Podobną popularnością cieszyły się kolejne książki: „Na San Domingo”, „Berezyna, czyli córka trzeciego pułku” czy „Szwoleżer Stach”.

Największym piewcą epoki napoleońskiej wśród literatów był Wacław Gąsiorowski (1869–1939). Świadomie wzorując się na Henryku Sienkiewiczu, napisał swoją napoleońską trylogię: „Huragan” (1902 r.), „Rok 1809” (1903 r.) i „Szwoleżerów gwardii” (1910 r.). Każda z nich utrwalała pamięć o cesarzu Francuzów jako symbolu utraconej niepodległości, chwały oręża polskiego oraz romantycznej wiary w odbudowę państwa. Dla Gąsiorowskiego Napoleon był niczym mityczny heros, który – jak pisał w „Szwoleżerach gwardii”: „Krwią zbroczy, kulami zorze, ogniem przepali, a powiedzie swoją armię, gdzie zapragnie: za lasy, za góry najsroższe, za morza”.

Rok po ukazaniu się „Huraganu” Stefan Żeromski opublikował „Popioły”, gdzie dokonał zasadniczej dekonstrukcji napoleońskiej legendy. Ale mimo to – przede wszystkim z racji przystępnej lekkiej formy – dzieło Gąsiorowskiego trafiło pod strzechy, zyskując szerokie grono czytelników zarówno w ostatnim okresie zaborów, jak i w dwudziestoleciu międzywojennym. Podczas drugiej wojny światowej powieści Gąsiorowskiego znalazły się na liście książek zakazanych w Generalnym Gubernatorstwie.

Na przełomie XIX i XX w. z nową wizją roli Napoleona w dziejach Polski wystąpiło młode pokolenie historyków. Dominująca dotąd szkoła krakowska traktowała wiązanie nadziei z cesarzem Francuzów jednoznacznie krytycznie jako naiwność, marzycielstwo i dawanie się wykorzystywać cynicznemu graczowi. Na czele nowego pronapoleońskiego zwrotu stanął Szymon Askenazy (1865–1935), założyciel tzw. szkoły lwowskiej. Pierwsza dekada XX w. stała pod znakiem wzmożenia nastrojów patriotycznych. W obliczu coraz bardziej możliwego starcia mocarstw zaborczych polscy historycy chcieli przypomnieć społeczeństwu o roli czynu zbrojnego w walce o odbudowę państwa.

Najważniejszym dziełem Askenazego była biografia „Książę Józef Poniatowski” (1904 r.). Utrzymana w tonie podziwu dla księcia i poparta jednocześnie rzetelnymi oraz przeprowadzonymi na dużą skalę badaniami źródłowymi, stała się biblią dla całego niepodległościowego pokolenia. (Była m.in. jedną z ulubionych lektur Józefa Piłsudskiego). Dziełem życia Askenazego była (nieukończona) monografia „Napoleon a Polska” (1918–19). Porównywał w niej zawieruchę pierwszej wojny światowej do epoki napoleońskiej, wskazując, że w wyniku konfliktu między zaborcami nastała korzystna dla sprawy polskiej sytuacja międzynarodowa. Szkoła Askenazego stała się kuźnią kolejnego pokolenia historyków – bonapartystów (m.in. Mariana Kukiela, Adama Skałkowskiego, Wacława Tokarza), którzy już w niepodległej Polsce ogromnie spopularyzowali wiedzę o okresie napoleońskim.

Bibliografia: Andrzej Nieuważny „My z Napoleonem”; Andrzej Pochodaj „Legenda Napoleona I Bonaparte w kulturze polskiego romantyzmu”

eprasa.pl 37c4d1858f



Studencka brać

Uprzykrzający życie baronowej studenci są barwnymi bohaterami „Lalki”. Jak wyglądała ich edukacja i życie w Warszawie drugiej połowy XIX w.

Z „Lalki”: Ci studenci, z trzeciego piętra od frontu, byli to istotnie ludzie niespokojnego ducha. Do godziny drugiej po północy śpiewali i krzyczeli, czasami nawet ryczeli i w ogóle starali się wydawać jak najwięcej głosów nieludzkich. W ciągu dnia, gdy choćby jeden z nich był w domu, a zawsze był któryś, jeżeli tylko pani baronowa Krzeszowska wychyliła głowę przez lufcik (robiła to po kilkanaście razy na dzień), zawsze jej ktoś usiłował wylać z góry wodę na głowę. (...) Wieczorami zaś ci młodzi ludzie, nad którymi już nikt nie mieszkał i nikt nie mógł ich oblewać wodą, wieczorami zwoływali do siebie praczki i służące z całej kamienicy.



❖ Profesorowie i studenci Szkoły Głównej w Warszawie, ok. 1865 r.

Andrzej Szwarc

Zamknięty uniwersytet. Jesienią 1831 r., kilka tygodni po zdobyciu Warszawy i zaraz po stłumieniu powstania listopadowego, Uniwersytet Warszawski został zamknięty. Mikołaj I uzasadnił to w słowach skierowanych do feldmarszałka Iwana Paskiewicza, dowódcy zwycięskich wojsk rosyjskich mianowanego namiestnikiem Królestwa Polskiego: „Ponieważ edukacja była zła i jej to zwłaszcza należy przypisać skłonność młodzieży do minionego buntu”. To prawda, że w powstaniu wzięła udział zdecydowana większość studentów warszawskiej Alma Mater. Niektórzy zginęli lub dostali się do niewoli; inni powędrowali na emigrację, przeważnie do Francji, by w wielu przypadkach stać się kontynuatorami niepodległościowej myśli i znakomitymi twórcami narodowej kultury.

Przez kolejne ćwierćwiecze stolica była pozbawiona wyższej uczelni z prawdziwego zdarzenia. Funkcjonowały co prawda jej namiastki, takie jak Szkoła Sztuk Pięknych, Instytut Agronomiczny w Marymoncie, Rzymskokatolicka Akademia Duchowna czy Kursy Prawa. Niektóre starały się przedłużyć tradycje uniwersyteckich wydziałów, zatrudniały dawnych profesorów i wykorzystywały materialną bazę zlikwidowanej wszechnicy. Jak słusznie zauważył historyk idei Jerzy Jedlicki, Mikołajowska polityka likwidacji wyższej oświaty w Królestwie Polskim „nie była i nie mogła być do końca konsekwentna ze względu na potrzebę zarządzania podbitym krajem przy pomocy krajowców”. Preferowano jednak szkolnictwo półwyższe o profilu głównie zawodowym. Niektóre z wymienionych placówek działały tylko kilka lat, nie było też mowy o badaniach naukowych i wymianie z zagranicą. Siłą rzeczy nie przetrwało wtedy w Warszawie studenckie środowisko, które byłoby widoczne w społecznym pejzażu miasta.

Szkoła Główna. Częściowa zmiana nastąpiła w ramach politycznej odwilży po porażce Rosji w wojnie krymskiej. W 1857 r. została otwarta w Warszawie Akademia Medyko-Chirurgiczna, która zresztą przyciągała nie tylko kandydatów na przyszłych lekarzy, lecz także młodych ludzi łaknących jakiego takiego ponadśredniego wykształcenia (jak np. poeta Adam Asnyk). Ale odrodzenie uczelni wyższej z prawdziwego zdarzenia nastąpiło dopiero pięć lat później. Pod nadaną jej nazwą Szkoły Głównej ukrywały się cztery uniwersyteckie wydziały: Lekarski (powstały z przekształce-

eprasa.pl 37c4d1858f

nia Akademii Medyko-Chirurgicznej), Prawa i Administracji, Matematyczno-Fizyczny i Filologiczno-Historyczny. Powstanie uczelni wiązało się z nieudaną próbą rozładowania wznoszącej się fali buntu, która miała doprowadzić do wybuchu powstania styczniowego, i było jednym z przejściowych sukcesów ugodowej polityki margrabiego Aleksandra Wielopolskiego. Dzięki zabiegom jego i jego współpracowników zatrudniono kadrę wykładowców na ogół kompetentnych, rekrutujących się nie tylko z zaboru rosyjskiego, lecz także pruskiego i austriackiego.

Twórcy i profesorowie uczelni starali się przekonać młodzież o potrzebie służenia ojczyźnie nauką i pracą, nie zaś walką zbrojną. Wskazywano m.in., że patriotyczne zaangażowanie uczniów Szkoły Sztuk Pięknych doprowadziło do jej zawieszenia i w praktyce zamknięcia. Podobnie stało się w przypadku Instytutu Rolniczo-Leśnego w Puławach.

Powstańcza epopeja. Zdawało się, że zabiegi te trafiły na podatny grunt. Kilka dni po wybuchu starć powstańczych, w końcu stycznia 1863 r., w trakcie dwóch wieców o dramatycznym przebiegu większość zgromadzonej młodzieży (od 500 do 700 osób z liczącego mniej niż tysiąc kontyngentu uczniów Szkoły Głównej) podjęła uchwałę o sprzeciwieniu się planowi zbiorowego wymarszu na pole walki, co pragnęli narzucić radykałowie. Padły głosy, że byłoby to zbiorowe samobójstwo. Uznano jednak, że indywidualne decyzje kolegów będą respektowane. I w rzeczy samej, gdy okazało się, że powstanie trwa, a nawet się rozwija, liczba ochotników rosła. Wzrastała bowiem presja wywierana na młodych ludzi uważających się za patriotów. „Wyjeżdżaliśmy z Warszawy jak kto mógł – wspominał Henryk Wiercieński. – W tydzień po posiedzeniu Szkoły Głównej, które się oświadczyło przeciw powstaniu, byłem już w obozie Langiewicza”.

Tragiczna epopeja powstańcza pochłonęła prawdopodobnie około stu studentów warszawskiej uczelni. Trudno policzyć tych, którzy odnieśli rany, pokutowali na syberyjskim zesłaniu, zostali zmuszeni do emigracji lub przenieśli się do bardziej liberalnej Galicji. Wielu wróciło do nauki z partyzantki i konspiracji – jak np. Stanisław Krzemiński, członek jednej z ekip Rządu Narodowego, któremu udało się zatrzeć ślady przed carskimi ekipami śledczymi. Dochodzili też nowi, młodsi, często po traumatycznych przeżyciach – jak Aleksander Głowacki, który do powstania poszedł jeszcze przed maturą, po czym poważnie ranny dostał się do więzienia, z którego udało się go wyreklamować ze względu na młody wiek (art. s. 16). Jego rówieśnik, siedemnastoletni Henryk Sienkiewicz, też zgłosił się podobno do partyzantki, lecz nie został przyjęty ze względu na dziecinny wygląd i „nikczemny wzrost”.

W kręgu ziomkostw. Uczelnia jednak przetrwała i miała jeszcze przed sobą kilka lat świetności, aż do wprowadzenia w 1869 r. rosyjskiego języka wykładowego i związanych z tym dobrowolnych lub przymusowych dymisji wielu profesorów. Po klęsce, w atmosferze represji i terroru, w zasadzie zniknęły konspiracyjne formy organizowania się w celach politycznych. Ich miejsce zajęły nieformalne kółka towarzyskie oraz nieco większe, również nieformalne, ziomkostwa złożone z przybyszów z jednego regionu, w praktyce – absolwentów jednego z prowincjonalnych gimnazjów. W tych ramach udzielano sobie informacji i pomocy, pożyczano notatki, goszczono na kwaterach. Dominował krytyczny stosunek do niedawnego zrywu, ale młodsze roczniki przeżywały jeszcze okres patriotycznej ekscytacji.

O nastrojach wśród studentów mówią raporty tajnej policji rosyjskiej, kierowanej przez generała-oberpolicmajstra Fiodora Trepowa i jego następców dysponujących dobrze poinformowaną agenturą. Stwierdzano, że jeśli nawet wśród młodzieży rozmawia się o polityce, to niewiele z tego wynika. Spodziewano się co prawda odnowienia konspiracji, ale były to próżne kalkulacje. W raporcie z 1869 r. następca Trepowa, dowódca Warszawskiego Okręgu Żandarmerii Płaton Fredericks wznosił się na wyżyny policyjnego podwójnego myślenia, pisząc, że „wychowankowie Szkoły Głównej w niczym nie ujawnili swoich destrukcyjnych dążeń politycznych, ale na podstawie niektórych danych nie można wątpić o istnieniu wśród nich takich dążeń”. Ponadto zdaniem szefa żandarmerii niektórzy studenci spoglądali na swoją uczelnię jako na ostoję nadziei narodu polskiego i w związku z tym wielu z nich sprzeciwiało się wszelkiej nielegalnej działalności.

Droga do dyplomu. W drugiej połowie lat 60. XIX w. liczba studentów wzrosła do ok. 1300. Nieco ponad 50 proc. z nich wybrało Wydział Prawa i Administracji. Oprócz sądownictwa i adwokatury dawał on często wstęp do kariery urzędniczej. Taka droga życiowa mieściła się w tradycyjnym szlacheckim systemie wartości, stąd też na wydziale tym studiowała stosunkowo znaczna grupa synów właścicieli ziemskich – chociaż przeważali potomkowie inteligencji. Niektórzy lepiej sytuowani prowadzili wygodne i pełne zabawy życie, a w ich zachowaniu można było dostrzec snobistyczne nawyki – stąd też bywali krytycznie oceniani i izolowali się od kolegów z mniej zamożnych grup społecznych.

W pierwszych popowstaniowych latach nie sposób było jeszcze przewidzieć, że w zbliżającej się dobie rusyfikacji kariera w służbie państwowej stanie się w zasadzie niedostępna dla Polaków. Na Wydziale Lekarskim widoczna była przede wszystkim młodzież pochodzenia mieszczańskiego, w tym także żydowskiego. Podobnie było na Wydziale Matematyczno-Fizycznym. Najmniej młodych ludzi studiowało na Wydziale Filologiczno-Historycznym – w sumie przez siedem lat istnienia Szkoły Głównej przewinęło się przez ten wydział zaledwie 160 studentów.

Jeśli chodzi o tzw. sprawność nauczania, czyli stosunek liczby kończących do zaczynających naukę, sprawa wyglądała fatalnie. Wydział Filologiczno-Historyczny ukończyło pomyślnie – czyli z dyplomem – zaledwie 32 proc. osób. Na prawie było ich ok. 30 proc.; na matematyce i fizyce magisteria uzyskało zaledwie 14 proc. Powody bywały różne: zawirowania polityczne, trudności materialne, kłopoty z nauką (w przypadku Aleksandra Głowackiego rolę odegrały wszystkie te przyczyny i późniejszy znakomity pisarz przestudiował na Wydziale Matematyczno-Fizycznym niecałe trzy lata, licząc od października 1866 r.). Zresztą, inteligenckie kariery z wyjątkiem zawodu lekarza nie były tak bardzo uzależnione od ukończenia studiów. Urzędnikiem, nawet radcą prawnym, nauczycielem gimnazjum można było zostać i bez tego. Nikt też nie pytał o dyplom przyszłych pisarzy i dziennikarzy, a także osób zatrudnianych w sektorze prywatnym.

Studenckie dole i niedole. We wspomnieniach warszawskich studentów, zarówno tych, którzy nauki pobierali w Szkole Głównej, jak i na uniwersytecie z rosyjskim językiem wykładowym, w który przekształciła się ona w 1869 r., bardzo często przewija się motyw życia w ubóstwie, a nawet w nędzy. I znów sięgnijmy po przykład Bolesława Prusa, który zimą 1868/69 r. cierpiał głód, a brak pieniędzy na opał sprawiał, że podobnie jak jego współtowarzysze w tej

eprasa.pl 37c4d1858f

samej stancji musiał w ciągu dnia okrywać się kołdrą. Dzień rozpoczynał od suchej bułki i kubka herbaty. Jak wielu kolegów stołował się głównie w taniej kuchni Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności (art. s. 84).

Bywało nawet gorzej. „Obiadów się nie jadało, w podartych butach się chodziło, z właścicielami kamienic miało się nieustanne spory o komorne" – wspominał czasy studenckie Walery Przyborowski, późniejszy dziennikarz i autor popularnych powieści historycznych. Podobnymi refleksjami dzielił się ze swoimi czytelnikami Aleksander Świętochowski: „Między słuchaczami Szkoły Głównej panowała rzetelna nędza (…). Pewnego razu mieszkało nas trzech: ja miałem 5 rubli miesięcznie, drugi produkty wiejskie z dodatkiem miesięcznym, a trzeci 10 rs kwartalnie".

Młodszy od nich o kilkanaście lat Stefan Żeromski, który studiował w latach 1886–88, co prawda nie na uniwersytecie, lecz w Warszawskim Instytucie Weterynarii (gdzie przyjmowano kandydatów bez świadectwa maturalnego), też głodował. W swoim dzienniku zapisywał na bieżąco: „Raz, czasami dwa razy na tydzień bywam na obiadku w »taniochu«. Dziś nie jadłem nic do czwartej po południu". Kiedy jednak zdarzył się niewielki zastrzyk gotówki, urządzano prawdziwe uczty z niedrogich serdelków. Świadectwem są tu zapiski diariuszowe, bardziej wiarygodne niż niekiedy podkoloryzowane pamiętniki.

Tym, którzy nie mogli liczyć na pomoc rodziny, w ostateczności pomagała koleżeńska solidarność. Nieliczni pobierali stypendia państwowe (w dobie rusyfikacji udzielane właściwie tylko Rosjanom, mimo że ich liczba na warszawskim uniwersytecie nie przekraczała 10 proc.) oraz z fundacji prywatnych. Oczywiście sytuację ratowały często dodatkowe zarobki (szacuje się, że z chwilowego zatrudnienia korzystało od 75 proc. do ponad 80 proc. studentów), niestety z reguły skąpe i nieprzewidywalne. Były to przede wszystkim korepetycje, dające przeważnie od kilku do kilkunastu rubli miesięcznie, co wystarczało na bardzo skromne utrzymanie (cena obiadu w taniej kuchni wynosiła 10 kopiejek, art. s. 96). Przepisywano też akta w kancelariach prawniczych; zdolniejsi i aktywniejsi intelektualnie zaczynali pisywać do gazet i pobierać za to skromne honoraria.

Rząd carski na wszystkich uczelniach wyższych wprowadzał surowe regulaminy, co prawda nie zawsze do końca przestrzegane. Obowiązywał np. zakaz noszenia bród i wąsów. Gdy ktoś chciał wyjechać do domu, nawet na ferie, musiał składać podanie o urlop. Na uniwersytecie rosyjskim trzeba było informować inspektora uczelni o miejscu zamieszkania; miał on nawet prawo dokonywania tam kontroli. Należało oddawać cześć państwowym dygnitarzom, za przerywanie wykładów groziły surowe kary włącznie z zawieszeniem w prawach studenta lub nawet relegacją. Tak samo karano wszelkie przejawy nieposłuszeństwa na tle politycznym.

Umundurowani. Interesująca była kwestia oficjalnych ubiorów. Jak wiadomo, w carskiej Rosji panowała w skrajnej postaci kultura munduru noszonego na co dzień także przez cywilów w służbie rządowej (art. s. 66). Tymczasem w ustawie o wychowaniu publicznym z 1862 r. (czyli z czasów Aleksandra Wielopolskiego, naczelnika rządu cywilnego Królestwa Polskiego) nie narzucano studentom takiego odzienia i oficjalnie to uzasadniono – otóż studenci nie powinni sądzić, że są równi funkcjonariuszom rządowym, cywilnym czy wojskowym.



❖ Dymitri Tołstoj, minister oświaty; portret pędzla Iwana Kramskoja, 1884 r.

Jednak dwa lata później, po spacyfikowaniu powstania, uznano, że należy narzucić zwyczaje obowiązujące w Cesarstwie Rosyjskim i mundury wprowadzić – być może dla lepszego rozpoznawania studentów, a być może także zaznaczenia triumfu rządów silnej ręki. Nietrudno zgadnąć, że takie zarządzenie wywołało opór – podwładni warszawskiego oberpolicmajstra zgarnęli kilkudziesięciu nieumundurowanych spod bramy uczelni, a on sam zgromił ich, a potem łaskawie kazał wypuścić, zapowiadając, że następnym razem nie zostaną tak łagodnie potraktowani. Incydent ten oraz prośby powszechnie szanowanego i lubianego rektora Szkoły Głównej prof. Józefa Mianowskiego skłoniły młodzież do noszenia mundurów.

Z czasem wszyscy do nich przywykli i można je zobaczyć na fotografiach przedstawiających kwiat późniejszej warszawskiej inteligencji w okresie studenckim. Ponadto zdaniem jednego z pamiętnikarzy mundur taki był doskonałą rekomendacją i cieszył się sympatią przeciętnych mieszkańców Warszawy, co dla noszących go było korzystne. Życzliwy stosunek stołecznej społeczności do uczącej się młodzieży (przypomnijmy: wyłącznie męskiej i stosunkowo nielicznej) znalazł odzwierciedlenie w niektórych relacjach z epoki. Wybaczano głośne, a nawet ekscentryczne zachowanie – z którym spotkamy się np. w „Lalce".

W 1882 r. liczono się ze studenckimi zamieszkami i dalej idącymi demonstracjami na wzór tych, które odbywały się na uniwersytetach rosyjskich, m.in. w związku z planami ograniczenia autonomii wyższych uczelni. Ówczesny względnie liberalny generał-gubernator warszawski Piotr Albiedinski uspokajał w tym kontekście ministra oświaty Dymitra Tołstoja, pisząc w poufnym raporcie: „W Warszawie studenci uniwersytetu nie są uważani za całkowicie dojrzałych członków społeczeństwa; opinia publiczna widzi w nich jak gdyby duże dzieci, trochę tylko przewyższające gimnazjalistów, ale bynajmniej nie osoby dorosłe, których takie czy inne czyny zasługiwałyby na szczególne zainteresowanie i warte były poważnej krytyki". Wydaje się, że taka ocena nie do końca była trafna.

Nowe idee. Obowiązkowa nauka, życie towarzyskie i zabawa nie wypełniały całego studenckiego czasu, gdyż wielu ówczesnych żaków miało poważne zainteresowania. Czytywano z zapartym tchem pisma Karola Darwina, liberalnego filozofa Johna Stuarta Milla, twórcy pozytywizmu Augusta Comte'a, francuskiego krytyka Hipolita Taine'a. Nieco później doszli do tego ideolodzy różnych nurtów socjalizmu

eprasa.pl 37c4d1858f

z Karolem Marksem na czele. O lekturach tych namiętnie dyskutowano, przy czym zaznaczały się spory między konserwatystami a postępowcami. Szczególnie teoria ewolucji Darwina była przedmiotem ataków ze strony środowisk konserwatywnych i klerykalnych, które nie mogły znieść myśli, że jak to wówczas ujmowano, człowiek pochodzi od małpy.

Zarówno jednak w kręgu profesorów, jak i studentów Szkoły Głównej przeważały poglądy zgodne z ówczesną naukową awangardą. Wierzono dość powszechnie w charakterystyczną dla pozytywizmu ideę monizmu przyrodniczego – czyli założenie, że podobnie jak w matematyce, fizyce czy chemii, tak i w naukach społecznych działają jakieś powszechnie obowiązujące prawa. Chodzi tylko o to, żeby je odkryć. Marksiści twierdzili, że zostały już odkryte. W latach 70. XIX w. powstały wśród studentów pierwsze kółka socjalistyczne, organizowane m.in. przez Stanisława Krusińskiego. Dość krótko do akademików (jak wówczas nazywano studentów) należał także Ludwik Waryński.

Większość lewicowych rewolucjonistów szybko była namierzana przez policję i zamykana w więzieniach ze słynnym X Pawilonem Cytadeli Warszawskiej na czele (art. s. 66). Trafiali potem przeważnie na syberyjskie zesłanie. Pod koniec stulecia nie mniej, a może nawet więcej bywało studentów o orientacji narodowej. Swój graniczący już wówczas z nacjonalizmem patriotyzm przeciwstawiali socjalistycznemu internacjonalizmowi. W latach 1886–90 ówczesny Wydział Fizyko-Matematyczny Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego ukończył na sekcji nauk przyrodniczych Roman Dmowski, który uzyskał tytuł kandydata nauk (w rosyjskim systemie odpowiadający magistrowi) na podstawie rozprawy „Przyczynek do morfologii wymoczków włoskowatych”.



❖ Bolesław Prus z czasu studiów w Szkole Głównej w Warszawie, lata 60.

Rozrywki. Chyba jeszcze bardziej niż czysta nauka i polityka przyciągały młodzież literatura i teatr (art. s. 103). Kupowano najtańsze bilety na najwyższym balkonie zwanym jaskółką; czasami były to miejsca stojące. Młody Żeromski obejrzał w ten sposób niektóre sztuki Williama Szekspira z „Hamletem” na czele oraz „Zbójców” Fryderyka Schillera; uczęszczał też do opery, m.in. na „Halkę” i „Carmen”. Z rodzimego repertuaru komediowego widywał przedstawienia sztuk Aleksandra Fredry. Do tego dochodziły utwory teatralne wówczas popularne, a dziś zapomniane, jak np. autorstwa francuskiego dramatopisarza Wiktora Sardou. Jeśli chodzi o lektury, zaczytywał się Turgieniewem i Dostojewskim, sięgał także po Goethego. Pilnie śledził bieżącą publicystykę, zwłaszcza tę o tematyce społecznej. Równocześnie zwierzał się swemu dziennikowi z mniej chwalebnych zajęć, jak wizyty u prostytutek i związane z tym dolegliwości weneryczne (jedno i drugie nieobce studentom). Nie przeszkadzało mu to kochać się na zabój w mieszkającej poza Warszawą mężatce. Przed południem natomiast uczęszczał na wykłady w swojej weterynaryjnej wszechnicy.

Z upływem lat wspomnienia studiów w popowstaniowej Warszawie, szczególnie w Szkole Głównej, cieszyły się coraz większą estymą. Dbali o to jej posiwiali wychowankowie, wypowiadając się na łamach prasy, organizując zjazdy rocznicowe w 1903 i 1912 r. Wymieniano przy okazji najbardziej zasłużonych absolwentów – oprócz Sienkiewicza, Prusa i Świętochowskiego zaliczali się do nich wybitny językoznawca Jan Baudouin de Courtenay, prawnik i historyk Aleksander Kraushar, pisarze Wiktor Gomulicki i Adolf Dygasiński. W mowie jubileuszowej w 1903 r. Sienkiewicz wysławiał „pokolenie ludzi, które zajęło opróżnione dotychczas stanowiska społeczne i rozniosło po kraju nie tylko wiedzę zawodową, ale i wyższe poglądy, szlachetne porywy, głębsze myśli”.

Nie tak uroczyście, bo na własny użytek, kwitował swoje studia Żeromski – z perspektywy letnich korepetycji w wiejskim dworze: „Miła jesteś Warszawko! – miła i dobra. Rano nauka, chciwie chwytana chemia, anatomia – wieczorem teatr, przyjaźń, braterstwo, kółko nasze, cudne kobiety z ich jednodniową, najlepszą pono (…) miłością, marzenia szerokie i nieskończone, wolność i wiara, i życie lazarońsko-pańskie – i noce pędzone na rozkosznych snach, na marzeniach twórczych, i mnóstwo ludzi, i nowość codzienna, i nieczułość na gorzkie jutro, na smutne wczoraj!”.

We wszystkich tych wspomnieniach i fetowaniach nie ma słowa o tym, że niektóre z kobiet też miały poważne zainteresowania, działały na rzecz emancypacji (art. s. 34) i – niedopuszczone do wyższych studiów w Rosji – uczęszczały na półtajny Uniwersytet Latający.

Andrzej Szwarc



❖ Kurtka mundurowa studenta Instytutu Politechnicznego w Warszawie, 1902 r.

Wykorzystano fragmenty "Dziejow Uniwersytetu Warszawskiego 1816–1915" (Warszawa 2016) autorstwa Artura Markowskiego i Andrzeja Szwarca

eprasa.pl/7c4d1858f



Z „Lalki”: Jeżeli mężczyzna pod względem duchowym jest muchą, to kobieta jest jeszcze gorszą muchą, gdyż pozbawioną łap i skrzydeł. Wychowanie, tradycja, a może nawet dziedziczność, pod pozorem zrobienia jej istotą wyższą, robią z niej istotę potworną. I ten próżnujący dziwoląg, ze skrzywionymi stopami, ze ściśniętym tułowiem, czczym mózgiem, ma jeszcze obowiązek wychowywać przyszłe pokolenia ludzkości!...



Energia kobiet

Emancypacja w Warszawie Bolesława Prusa nie zaczęła się od głośnych politycznych deklaracji, lecz od większej widoczności kobiet w przestrzeni publicznej po 1864 r.

Agata Zawiszewska-Semeniuk

(R)ewolucja w gorsecie. Bolesław Prus komentując przejawy emancypacji w „Kronikach tygodniowych” jako pozytywista był nastawiony pozytywnie: „Ukształcić kobiety fachowo znaczy podwoić siły społeczne (…) podnieść ogólną pomyślność kraju. Kto tego nie rozumie, z tym dłużej rozmawiać nie warto (…) dzisiejszy ruch kobiecy, tak zwana kwestia emancypacji, jest zjawiskiem najzupełniej normalnym”. Opowiadał się za dostępem kobiet do edukacji sprofilowanej stosownie do ich klasy i statusu materialnego, do pracy zarobkowej, szczególnie w dziedzinie rzemiosł, za zakładaniem i prowadzeniem przez nie własnych warsztatów, sklepów, za stowarzyszaniem się w różnych spółkach i kasach pożyczkowo-samopomocowych, braniem udziału w pracach organizacyjnych instytucji społecznych nie tylko filantropijnych. Pierwszą dekadę postyczniową Prus podsumował z zadowoleniem: „Widzimy więc, że początki zrobiono już, pożądanym jest jednak, aby się dzielniej rozwijały na przyszłość”.

O ile jednak Prus jako felietonista miał aprobatywny stosunek do zjawiska, które uważał za nieuchronne i korzystne dla społeczeństwa, o tyle jako powieściopisarz stworzył obraz ruchu kobiecego jednostronny, niemal krzywdzący. Jego „Emancypantki” były – obok „Placówki” i „Lalki” – trzecią powieścią dotyczącą wielkich pytań epoki, jak to określił w liście do Erazma Piltza, redaktora petersburskiego „Kraju”. Ta rozbieżność pozwala prześledzić zmianę, jaka

❖ Uczennice pensji Leontyny Vacqueret; 1899 r. Poniżej: Zajęcia w szkole ogrodniczej dla kobiet, 1897 r.



eprasa.pl 37c4d1858f

dokonała się w poglądach jego – i sporej części inteligencji – w ciągu trzech ostatnich dekad XIX stulecia.

Opatrzony znamiennym tytułem „Energia kobiet i męskie niedołęstwo” pierwszy rozdział „Emancypantek” ujawnia, że pensja pani Latter była instytucją tradycyjną, szkołą „najlepszych matek, wzorowych obywatelek i szczęśliwych żon”. Nie jest to powieść z kluczem, choć legenda literacka mówi, że pierwowzorem głównej bohaterki, Madzi Brzeskiej, była Oktawia z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczowa, późniejsza żona Stefana Żeromskiego. Pensja pani Latter nie odsyła wprost do żadnej rzeczywiście funkcjonującej w postyczniowej Warszawie renomowanej szkoły żeńskiej (np. Pauliny Krakowowej, Jadwigi Sikorskiej czy Jadwigi Papi, których absolwentki rozpoznawały siebie w powieści). Nawiązuje raczej do ogólnego modelu szkoły żeńskiej tamtego czasu. Przecinały się w nim trajektorie przedstawicielek różnych klas społecznych, widać było zalążki różnych projektów emancypacyjnych: zamożnych panien na wydaniu i ich zatroskanych rodziców, przedsiębiorczych wdów, nauczycielek po rublu za godzinę, guwernantek, służących. Kobiet uczących się, zakładających własne rodziny i biznesy, pracujących na swoim lub dla innych, podróżujących – zawsze szukających niezależności.



❖ Oktawia z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczowa.

Prus umieścił akcję „około 1870 roku” nieprzypadkowo, ponieważ w pierwszej dekadzie po klęsce powstania styczniowego w warunkach carskich ograniczeń życia publicznego i cenzury krystalizował się pozytywistyczny program pracy organicznej (art. s. 57), rozwoju oświaty wśród niższych warstw społecznych, asymilacji Żydów, a także równego dostępu kobiet do edukacji, pracy zawodowej i działalności społecznej. Pierwsze emancypantki były więc wytworem tych samych wydarzeń dziejowych co postszlachecka inteligencja (art. s. 61). Ok. 1870 r. wiele kobiet i mężczyzn z klasy wysadzonej z siodła szukało nowych pomysłów na siebie i sposobów zarabiania.



❖ Waleria Marrené-Morzkowska.

Budzenie świadomości. Lata 70. były dekadą budzenia świadomości literaturą społeczną, omawiania w prasie projektów unowocześnienia edukacji dziewcząt i poszerzania pola ich ekonomicznej samodzielności – czemu w przestrzeni miasta odpowiadały pensje żeńskie, inteligenckie mieszkania czy salony dyskusyjne.

Na ziemiach polskich pod zaborami sprawa kobieca powinna być inaczej postawiona niż w krajach cieszących się polityczną autonomią – twierdziła liderka polskich sufrażystek Paulina Kuczalska-Reinschmit. Chodziło o uwzględnienie faktu, że pod zaborami całe polskie społeczeństwo było wyjęte spod praw, więc nie należało go antagonizować sporami o równe prawa bez różnicy płci, lecz jednoczyć we wspólnym – lecz różnym ze względu na płeć – wysiłku ocalenia tożsamości narodowej.

Program wyznaczyła Eliza Orzeszkowa w artykule „Kilka słów o kobietach” opublikowanym w 1870 r. na łamach warszawskiego „Tygodnika Mód”. Uważała, że płeć piękna powinna emancypować się nie tyle od mężczyzn i od tradycyjnych obowiązków żony, matki i wychowawczyni, ile od zależności od mężczyzn. Czyli od własnej nieporadności życiowej. Drogą do tego miały być rzetelna edukacja, praca zarobkowa (głównie w zawodach rzemieślniczych, a nie intelektualnych, by unikać konkurencji z mężczyznami) i działalność społeczna.

Pionierki równouprawnienia, które weszły do przestrzeni publicznej na przełomie lat 60. i 70. XIX w., od razu stały się widoczne w mieście, choć nie było ich zbyt wiele. Kobiety nowe – jak je określano w krajach anglosaskich – mieszkały w mieście, próbowały je współorganizować, przekształcać, dostosować do własnych aspiracji i potrzeb.

Sztab feminizmu. W latach 80. kwestia stawała się coraz bardziej paląca. Emancypantek warszawskich przybywało i zaczęły organizować się w legalnych placówkach. Były zjawiskiem klasowo niejednorodnym; inaczej przeżywały swą sytuację intelektualistki i bywalczynie literackich salonów, np. Waleria Marrené-Morzkowska, która w połowie dekady przejęła po Marii Konopnickiej redakcję tygodnika „Świt”. Inaczej myślały o emancypacji pensjonarki pragnące iść na studia, a skłaniane przez rodziców do szybkiego zamążpójścia. Jeszcze inaczej emancypowały się kobiety pracujące w handlu i biurowości czy krawcowe, tyleż ekscytujące się możliwościami podnoszenia kwalifikacji, ile sfrustrowane brakiem dostępu do organizacji zawodowych, a gdy go już uzyskiwały – brakiem równych praw w dostępie do zapomóg i szkoleń.

Wszystkie one szukały pracy adekwatnej do swojego wykształcenia i aspiracji, konfrontując marzenia z możliwościami, doświadczając też egzystencjalnej samotności, finansowej zależności od rodziców i pracodawców oraz podejrzliwości otoczenia. Ich liczebność, a zatem stopień widoczności w mieście, rosła z dekady na dekadę, choć nie przekładało się to jeszcze na sprawczość.

W latach 80. zaczęła działalność publiczną hetmanka polskich sufrażystek Paulina Kuczalska-Reinschmit, aż do odzyskania przez Polskę niepodległości skupiająca wokół siebie „najdzielniejsze, najsamorzutniejsze żywioły siły kobiece” – jak ją określiła Cecylia Walewska w syntezie „Nasze bojownice. W walce o równe prawa”, wydanej w 1930 r. Biografia Kuczalskiej-Reinschmit zawiera najważniejsze elementy modelowego życiorysu emancypantki postyczniowej: córka zubożałej rodziny szlacheckiej z terenów dzisiejszej Ukrainy, kształcona głównie w domu, wydana w Warszawie za mąż za dużo od niej starszego pracownika Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zarażona przez męża (jak głosiła plotka) sekretną chorobą, wskutek której straciła widzenie w jednym oku. Przeprowadziła separację na przełomie lat 70. i 80. XIX w., tracąc prawo do wychowywania syna Leona, studiowała przez chwilę w Paryżu i wróciła do Warszawy, by uczyć tkactwa w Szkole Rzemiosł dla Kobiet Aleksandry Korycińskiej. Jej współpracowniczka Romana Pachucka napisała: „Osobiste przeżycia, krzywda, jaką wyrządził jej małżonek, kalectwo,



❖ Paulina Kuczalska-Reinschmit.

eprasa.pl 37c4d1858f

wreszcie prądy pozytywizmu w Warszawie, wszystko to spowodowało, że Kuczalska podjęła na nowo i z gruntu sprawę emancypacji kobiet, pojętej szeroko jako sprawa ludzkości".

W latach 80. XIX w. wszystkie one – redaktorki, nauczycielki, rzemieślniczki, właścicielki małych biznesów, filantropki, przyszłe studentki zagranicznych uczelni i młode naukowczynie – spotykały się w saloniku Kuczalskiej-Reinschmit przy Marszałkowskiej. To był sztab młodego polskiego feminizmu.

Emancypantki warszawskie tworzyły instytucje całkiem nowe oraz przybudówki do organizacji już istniejących zarządzanych przez mężczyzn: Komitet Społeczny III Szwalni przy Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, Bazar Wyrobów Kobiecych, Komitet Damski przy Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami, Spółkę Pracy Kobiet, Szkołę Rzemiosł Aleksandry Korycińskiej, Wystawę Pracy Kobiet i Delegację Pracy Kobiet przy Towarzystwie Popierania Przemysłu i Handlu. Tym inicjatywom – pisania programów edukacji dla ubogich dziewcząt, organizowania miejsc zbytu wytworów rzemieślniczek, zbierania skórek pomarańczowych, by dochód z ich sprzedaży przeznaczyć na organizację prelekcji, zakładania kas zapomogowych i protozawodowych związków szwaczek czy kwiaciarek – towarzyszyła publicystyka Kuczalskiej-Reinschmit na łamach „Świtu", „Przeglądu Tygodniowego", „Bluszczu", „Tygodnika Ilustrowanego" czy „Tygodnika Mód i Powieści".

Fachowe, więc podejrzane. Obok tego nurtu aktywizmu społecznego i zawodowego krystalizował się drugi nurt – zainteresowań naukowych i karier akademickich – którego reprezentantki staną się lepiej widoczne w dekadzie następnej, choć nie zawsze na ziemiach polskich: Justyna Budzińska-Tylicka po studiach w Paryżu tam prowadziła pulmonologiczną praktykę lekarską i wróciła do Królestwa po rewolucji 1905 r., podobnie jak fizjolożka Michalina Stefanowska, która ukończyła studia w Genewie i Paryżu. Maria Skłodowska-Curie po Sorbonie nie wróciła już do Warszawy, gdzie jej siostra Helena prowadziła działalność oświatową. Psycholożka Józefa Joteyko po studiach w Genewie, Brukseli i Paryżu zajęła się pracą akademicką w Brukseli i wróciła do Polski dopiero w latach 20. XX w., podobnie jak Antonina Leśniewska – pionierka farmacji, która po studiach w Petersburgu założyła tam pierwszą aptekę prowadzoną przez kobiety.



❖ Tygodnik dla kobiet, 1875 r.

Dawały one przykład wielu dziewczętom, które od początku lat 80. XIX w. uczyły się na tajnym Uniwersytecie Latającym, zwanym babskim, założonym przez Jadwigę Szczawińską-Dawidową – do rewolucji 1905 r. studiowało na nim kilka tysięcy kobiet. Część z nich od końca lat 90. XIX w. decydowała się na kontynuację nauki nieco bliżej niż Francja czy Szwajcaria – w Galicji. W 1897 r. otworzono tam kobietom dostęp do szkół wyższych.

Inicjatywy zawodowe i społeczne oraz ambicje intelektualne i artystyczne kobiet aktywnych, a także towarzyszący im dyskurs prasowy w latach 80. XIX w. przesunęły figurę emancypantki z rejestru obyczajowego skandalu czy towarzyskiego kuriozum do rejestru kompetencji w pracy społecznej oraz profesjonalizmu w pracy zawodowej i naukowej. I właśnie dlatego, że stała się organizatorką, ekspertką, pracownicą, przedsiębiorczynią, artystką, naukowczynią, stała się podejrzana: zbyt aktywna, zbyt autonomiczna, zbyt widoczna w przestrzeni publicznej.

Unia Powszechna Kobiet. Emancypantki warszawskie odczuwały potrzebę posiadania własnej bezpiecznej przestrzeni. Ta powstała dzięki inspiracjom przywiezionym przez Korycińską i Kuczalską-Reinschmit w 1889 r. z Paryża. Wzięły tam udział w kongresie kobiecym na zaproszenie lewicującej pisarki Marii Szeligi, która uciekła do Francji przed konsekwencjami działalności w środowisku robotniczym i z powodu przedłużającego się procesu o unieważnienie pierwszego małżeństwa. W wydanej w tym samym roku powieści o studentkach pionierkach „Na przebój", która cieszyła się wielkim powodzeniem, Szeliga wkłada w usta jednej z bohaterek słowa: „Choć jest wielka między nami rozmaitość (…), ujemnych typów mało". Tymczasem Prus, komentując obrady kongresu paryskiego, pisał, że było to „zgromadzenie dość krzykliwe i niesforne" wysuwające „desiderata wprost piramidalne", a w postulacie równouprawnienia seksualnego słyszał wyłącznie „zachwalanie prostytucji".

Korycińska i Kuczalska-Reinschmit przywiozły jednak z kongresu paryskiego coś, czego Prus nie zauważył: nadzieję, że takich jak one kobiet jest więcej, strategię małych kroków i wykorzystywania luk w systemie administracji carskiej, pozwalających poszerzyć zakres wpływu kobiet na rzeczywistość. W Warszawie po pierwszym spotkaniu sprawozdawczym dołączyła do nich zubożała szlachcianka introligatorka Józefa Bojanowska, nosząca do końca życia pierścionek z turkusem po zmarłym narzeczonym – te trzy kobiety założyły nielegalną filię międzynarodowej Unii Powszechnej Kobiet. Ruszyła lawina.

Boduenki. Powieść Prusa powstała, gdy figura emancypantki była już w Warszawie rozpoznana i oswojona, lecz samo określenie budziło nieporozumienia, co widać w prasowych karykaturach i literackich satyrach. Warszawa mówiła o emancypantkach, komentowała ich wygląd, plotkowała na temat ich życia prywatnego. One same dostarczały pretekstów choćby dlatego, że najbardziej widoczne były wybryki ekscentryczek. Liderki ruchu emancypacyjnego miały świadomość, że nieoględne wypowiedzi i wyzywające zachowania szkodzą idei emancypacji, więc dyskretnie pacyfikowały co bardziej ekscentryczne członkinie.

Aby się chronić przed wścibskimi spojrzeniami i plotkami, pod koniec XIX w. Bojanowska i Kuczalska-Reinschmit odkupiły od Marii Chojeckiej czytelnię przy Wareckiej, którą nazwały Czytelnią dla Kobiet. Mieściła się następnie przy Boduena, dlatego jej bywalczynie nazywano boduenkami. Aż do odzyskania niepodległości Czytelnia dla Kobiet pełniła wiele funkcji: wypożyczalni beletrystyki, czytelni książek i czasopism naukowych, z której mogły korzystać na miejscu wyłącznie kobiety, centrum kultury i rozrywki nieuwłaczającej czci niewieściej, siedziby władz Delegacji Pracy Kobiet (przemianowanej na początku XX w. na Koło Pracy Kobiet), Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich i redakcji feministycznego czasopisma „Ster" (wydawanego w latach 90. XIX w. we Lwowie, a przed Wielką Wojną w Warszawie).

eprasa.pl 37c4d1858f





❖ Maria Konopnicka i Maria Dulębianka.

Lokal pełnił jednocześnie funkcję mieszkania prywatnego Kuczalskiej-Reinschmit, Bojanowskiej i jej matki.

Tego rodzaju kluby kobiece powstawały pod koniec XIX w. w wielu stolicach europejskich, o czym Warszawiankom donosił najczęściej „Bluszcz”. Emancypantki mogły tam spokojnie omawiać zagadnienia określane zbiorczym mianem kwestii kobiecej, organizować kongresy, zebrania, uroczystości, pisać programy, listy otwarte do prasy, petycje do władz itp. Mężczyzn zapraszano jedynie w charakterze prelegentów. Połączenie emancypacyjnej ideowości, intelektualnego ekskluzywizmu i płciowego separatyzmu sprawiało, że Czytelnię otaczała aura pewnego rodzaju niesamowitości, o czym wspominały po latach ich bywalczynie, m.in. Jadwiga Klemensiewiczowa i Jadwiga Weydel-Dmochowska.

Fundament: przyjaźń. Fundamentem większości instytucji kobiecych i ukrytym motorem warszawskiej emancypacji były przyjaźnie (niekiedy przypominająca tzw. bostońskie małżeństwa, jak w przypadku Kuczalskiej-Reinschmit i Bojanowskiej, Marii Konopnickiej i Marii Dulębianki czy Marii Rodziewiczówny i Heleny Weychert). Kiedy Jan Hulewicz pisał w połowie XX w. wstęp do wspomnień Pachuckiej, zwrócił uwagę, że liderki polskiego dziewiętnastowiecznego ruchu kobiecego nie pozostawiły po sobie zbyt wielu wspomnień, pamiętników czy korespondencji. Wynikało to z „konieczność konspirowania pewnych robót ze względu na zaborców”. Ale nie tylko. Także z ukrywania niewygodnych faktów biograficznych, takich jak przemoc domowa, nieudane małżeństwo, odmowa macierzyństwa, odmowa pójścia za mężem na zesłanie, romans, zdrada, separacja, rozwód, choroba weneryczna, kłopoty z dziećmi przynoszącymi wstyd, życie w związku niesakramentalnym czy nieheteronormatywnym itp.

Emancypantka jako kobieta wchodząca do domeny publicznej musiała kontrolować swój wizerunek, ponieważ każdy szczegół jej życia prywatnego mógł zostać użyty przeciwko sprawie, którą reprezentowała. Niemal każda nieprzeciętna kobieta doby postyczniowej zaangażowana w ruch emancypacyjny miała w swojej biografii epizody, z których nie była dumna i które wolała ukryć przed światem. Eliza Orzeszkowa nie poszła za pierwszym mężem na zesłanie, a po unieważnieniu małżeństwa przez pewien czas żyła w związku z mężczyzną żonatym, którego poślubiła dopiero po śmierci jego pierwszej żony.

Maria Konopnicka również nie została przy mężu, z którym miała ośmioro dzieci, lecz związała się dozgonną przyjaźnią z Marią Dulębianką. Do tego niektóre z jej dzieci przysparzały kłopotów: Heleny wstydziła się za kradzieże, Laury za wybór kariery aktorskiej. Kuczalska-Reinschmit ukrywała istnienie drugiego syna, a pierworodny Leon jako reprezentant złotej młodzieży paradujący po Warszawie z rewolwerem nie wzbudzał sympatii postępowej inteligencji.

Zofia Daszyńska-Golińska pisała w młodości płomienne listy do Tadeusza Micińskiego, który skorzystał z okazji romansu, ale nie był zainteresowany małżeństwem. Izabela Moszczeńska-Rzepecka sama utrzymywała całą rodzinę z belferki, dziennikarstwa i przekładów, ponieważ mąż – człowiek ideowy i dobry – miał beztroski stosunek do pieniędzy, a ponadto za kołnierz nie wylewał. Wymówienia wynajmu i komornicze licytacje sprzętów skończyły się wraz z jego śmiercią. Te i inne wstydliwe fakty nie unieważniają ideowości emancypantek, przeciwnie – przydają ich aktywności społecznej i spuściźnie intelektualnej autentyzmu i ciężaru doświadczenia.

Przyjaźń i lojalność kobiet o podobnej biografii stanowiła ponadto wsparcie w trwaniu przy feministycznej pracy organicznej wykonywanej bez gwarancji sukcesu. Zebrania, odczyty, kwesty, prowadzenie ochronek dla dzieci, szkół niedzielnych dla robotnic, kursów letnich dla włościanek, wakacji na wsi dla robotnic, wydawanie niszowych czasopism nie dawały natychmiastowych rezultatów, a wyłącznie nadzieję, że z tworzonego w ten mozolny sposób kapitału społecznego skorzystają następne pokolenia. W tym kontekście widać wyraźnie, że jednym z najważniejszych doświadczeń warszawskich emancypantek był brak bilansu. Pracowały przez wiele lat na tym samym wąskim poletku, mierząc się z niechęcią otoczenia, bez pewności, że ich wysiłek przyniesie efekty.

Kobiety te działały w szczelinach między represyjną władzą rosyjską a konserwatyzmem polskiego społeczeństwa. Czytały statuty oficjalnych instytucji, szukały w nich luk, zakładały komitety damskie często pod tematami pozornie bezpiecznymi, takimi jak dobroczynność, rzemiosło, opieka nad zwierzętami, wiedza gospodarcza, nieustannie negocjując jednocześnie z cenzurą carską, niechętnymi im mężczyznami kierującymi polskimi instytucjami, zachowawczą opinią publiczną i własnym coraz bardziej podzielonym środowiskiem. Tam, gdzie mogły, korzystały z legalnych struktur zaborczego państwa, jeśli dawały one kobietom większą możliwość działania niż polskie instytucje społeczne: w praktyce wybierały więc nie między „narodową czystością” a „zdradą”, lecz między różnymi stopniami skuteczności w sytuacji politycznego zniewolenia kobiet.

Użyteczność tak, autonomia nie. Prus potrafił docenić praktyczny program edukacji i pracy kobiet, ale niepokoił się, gdy zaczynały mówić własnym głosem jako odrębna grupa interesów. W recenzji programowej broszury Kuczalskiej-Reinschmit „Nasze drogi i cele” opublikowanej w 1897 r. poparł jej program praktyczny, ale skrytykował emancypacyjną politykę pamięci, czyli odwoływanie się do dawnych Polek jako dowodu historycznego współudziału kobiet w tworzeniu narodowej kultury i życia publicznego. Niechętnie przyjmował sugestię, że kobiety mogą tworzyć osobne stronnictwo złączone poczuciem krzywd i walką o równe prawa.

Zestawienie głosu Prusa jako kronikarza Warszawy oraz głosu Prusa jako pisarza syntetyzującego na początku lat 90. XIX w. swoje obserwacje i przemyślenia na temat emancypacji pozwala zobaczyć, że nie był ani jej apologetą, ani zdecydowanym krytykiem. Nie był w tym odosobniony. Spora część społeczeństwa u progu XX w. zgadzała się, że kobiety powinny się uczyć, pracować i być pożyteczne, ale niechętnie przyjmowała pomysł, że mogą i powinny reprezentować także same siebie. Reformę można było zaakceptować, zaakceptować kobiecą autonomię było trudniej.

AGATA ZAWISZEWSKA-SEMENIUK

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Szedł z wolna i przypatrywał się jadącym. Wielu spomiędzy nich znał osobiście. Oto rymarz, który dostarcza mu wyrobów skórzanych, jedzie na spacer z żoną, grubą jak beczka cukru, i wcale ładną córką, z którą chciano go swatać. Oto syn rzeźnika, który do sklepu, niegdyś Hopfera, dostarczał wędlin. Oto bogaty cieśla z liczną rodziną. Wdowa po dystylatorze, również mająca duży majątek (...). Tu garbarz, tam dwaj subiekci bławatni, dalej krawiec męski, mularz, jubiler, piekarz – a oto – jego współzawodnik, kupiec galanteryjny, w zwykłej dorożce.

Stanisław Eugeniusz Hiszpański

Szewc, który dorobił się własnego sklepu, był jednym z najlepszych rzemieślników warszawskich drugiej połowy XIX w.



❖ Na zdjęciu z 1861 r.

Andrzej Chwalba

Rzemieślnik, nie bohater. Stanisław Eugeniusz Hiszpański (1815–90) nie jest tak sławny jak inny warszawski szewc Jan Kiliński, zapamiętany jako bohater ludowej insurekcji. Producent dobrej jakości obuwia nie ma pomnika ani stosownego miejsca w podręcznikach. Jest tylko ulica Hiszpańskich w Warszawie niedaleko Galerii Mokotów, a na Cmentarzu Powązkowskim posadowiono głaz informujący o miejscu jego pochówku. Gdyby walczył w powstaniu styczniowym i się odznaczył lub zginął, z pewnością miałby inne, znaczniejsze miejsce w historii, a tak to jego nazwisko kojarzy się tylko z eleganckimi, szytymi na miarę butami.

Był właścicielem renomowanego warsztatu, a jego spadkobiercy uchodzili za mistrzów w swoim fachu i artystów sztuki szewskiej. Potrafili wyczarować niezwykłe modele obuwia idealnie dopasowane do sylwetki, oczekiwań i osobowości użytkownika. Nie znamy nazwiska innego mistrza szewskiego, który cieszyłby się tak znakomitą opinią wśród klientów. Nie musiał się reklamować w prasie, gdyż ci, którzy chcieli mieć najelegantsze i najwygodniejsze buty – i których na nie było stać – wiedzieli, jak do niego trafić. Dla jeszcze niezorientowanych musiał wystarczyć szyld sklepowy i napis: „Jak buty, to tylko od Hiszpańskiego”.

Do warsztatu Stanisława Eugeniusza przyjeżdżali eleganci i elegantki z Królestwa Polskiego, a także z zagranicy: Poznania, Krakowa, Lwowa. Trafiali do niego oficerowie i generałowie, bo najlepsze buty wojskowe były od Hiszpańskiego. Przyjeżdżały damy z Cesarstwa Rosyjskiego, gdyż jego sława sięgała Petersburga, Moskwy, Kijowa, Odessy, Rygi.

Aktywny politycznie. Rosyjskie elegantki nie słyszały o Kilińskim, ale wiedziały, czego mogą się spodziewać po Hiszpańskim. I zapewne nie były też ciekawe przedpowstaniowej aktywności niepodległościowej Hiszpańskiego. Kiedy na fali ożywienia patriotycznego końcowych lat 50. XIX w. powstały w Warszawie pierwsze organizacje konspiracyjne, to jak się okazało, nie mogło w nich zabraknąć warszawskiego szewca. Współpracował m.in. z Szymonem Tokarzewskim i Edwardem Jürgensem. Politycznie zatem związał się z tzw. millenerami, których nazwano tak złośliwie, zarzucając im, że odkładają kwestię niepodległości na tysiąc lat. W ich programie najważniejsza była długofalowa praca organiczna.

eprasa.pl 37c4d1858f

O pozycji Hiszpańskiego w Warszawie świadczył udział w składzie delegacji miejskiej, która 27 lutego 1861 r. udała się do generał-gubernatora Michaiła Gorczakowa z prośbą o zgodę na godny pochówek pięciu osób zabitych w pokojowej manifestacji. Byli w niej m.in. Leopold Kronenberg (art. s. 20), Tytus Chałubiński, Józef Ignacy Kraszewski. Hiszpański był jednym z tych, którzy zabrali głos w odpowiedzi na twierdzenie Gorczakowa, że strzały padły przez pomyłkę. Miał odpowiedzieć: „Jeśli z mego warsztatu wyjdą złe buty, nikt nie zapyta, który to niezręczny czeladnik towar zepsuł, ale powie partacz Hiszpański”. Ta riposta uczyniła go sławnym.

Przywrócenie samorządu w Warszawie z inicjatywy margrabiego Aleksandra Wielopolskiego spowodowało uaktywnienie się środowisk mieszczańskich. Do najaktywniejszych należał Hiszpański, który zarysował wizję samorządu prowadzącego modernizację miasta, upowszechniającego oświetlenie gazowe, brukowanie ulic, budowę szpitali, szkół, dbającego o tereny zielone. Dlatego nie mogło Hiszpańskiego zabraknąć w Wydziale Obywatelskim, Tymczasowej Radzie Miejskiej, Komitecie Przedwyborczym i ostatecznie w Radzie Miejskiej w charakterze radnego z II cyrkułu.

Jego aktywność społeczna i działalność niepodległościowa nie mogły się spodobać carskim władzom. Po ogłoszeniu stanu wojennego 14 października 1861 r. został aresztowany. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono druki antyrosyjskie i niepodległościowe. Został zesłany do syberyjskiej Wiatki, ale niebawem, w maju 1862 r., powrócił dzięki amnestii. Za szybą w jego sklepie zawisła dużego formatu fotografia przedstawiająca trzech zesłańców, w tym Stanisława Eugeniusza w towarzystwie dwóch rosyjskich sołdatów. Odbitki tej fotografii wkrótce można było kupić na warszawskich targowiskach.

Tradycje rodzinne. Hiszpański po powrocie z zesłania już nie brał aktywnego udziału w życiu publicznym. Nie uczestniczył w powstaniu styczniowym i zapewne przesądziło to o tym, że nie kojarzy się z kosą i myśliwską dubeltówką, lecz z butami. Nie widział szans na zwycięstwo, w czym zresztą nie był odosobniony. Szansę dla polskiej wspólnoty widział natomiast w szeroko zakrojonych pracach na rzecz wzmocnienia atrakcyjności polskiej kultury i umocnienia potencjału gospodarczego Warszawy. Popowstaniowa wizja Hiszpańskiego była bliska warszawskim liberałom, w tym autorowi „Lalki”. Niechętnie wracał do syberyjskiej „przygody”, podobnie jak i Wokulski. Uważał ją za rozdział zamknięty. Swój rosnący kapitał popularności budował nie na heroicznym epizodzie, lecz na trudzie i pracy. Od siebie i innych wymagał sumienności, solidności, punktualności, szacunku do klientów.

Znane są imiona i dokonania jego spadkobierców, w tym zwłaszcza jego wnuka Stanisława Feliksa oraz prawnuków Marii Hiszpańskiej-Neumann, artystki, i Stanisława, malarza i grafika. Imię Stanisław jest zatem przynależne do męskiej części rodziny, a talenty artystyczne prawnuków świadczą o sile rodzinnych genów.

Natomiast nie są znane imiona i nazwiska jego rodziców, gdyż jako sierota trafił do Szpitala Dzieciątka Jezus. Opiekowała się nim dama z otoczenia księżnej Heleny Lubomirskiej, która nigdy nie ujawniła jego tajemnicy. Zatem Stanisław Eugeniusz był pierwszym z kilkupokoleniowej rodziny Hiszpańskich. Wybrał – albo też za niego wybrano – popularny fach: szewstwo. Trafił do terminu, gdzie zapewne spędził pięć lat i został czeladnikiem. Następnie po trzech latach mógł stanąć przed komisją i dzięki zdanemu egzaminowi zostać mistrzem, a następnie starszym zgromadzenia szewców. Cechy formalnie już nie istniały, tylko zgromadzenia rzemieślników danego fachu. W krótkim czasie dał się poznać jako wybitnie utalentowany mistrz. Skrupulatnie pomnażał majątek, jednocześnie dbając o własną edukację. Książki z różnych dziedzin były jego najwierniejszymi przyjaciółkami. Dbał również o edukowanie potomstwa. Ciesząc się renomą, uzyskał zgodę zacnej rodziny Wróblewskich i 28 stycznia 1838 r. ożenił się z Zofią Wróblewską. Byli rówieśnikami urodzonymi w 1815 r. Stanisław Eugeniusz odszedł w 1890 r., Zofia rok później.

Arystokracja szewstwa. Hiszpańscy kilkakrotnie zmieniali siedzibę warsztatu, przenosząc się do coraz lepszych dzielnic i tworząc coraz większy zakład. Ojciec rodu zatrudnił sporą gromadę czeladników, uczniów, pomocników, służbę. Miał duży sklep w jednym z prestiżowych punktów stolicy, przy Krakowskim Przedmieściu 7, tam gdzie obecnie mieści się Księgarnia Prusa. Z tym adresem wiąże się też kupiecka historia powieściowego bohatera „Lalki”. Jedynie nieliczni rzemieślnicy dorabiali się własnego sklepu.

Spośród profesji szewstwo i krawiectwo zatrudniały najwięcej osób. W liczącej nieco ponad 100 tys. Warszawie w 1824 r. było zarejestrowanych 2427 członków cechu szewskiego. Kolejne setki szewców wytwarzały obuwie poza cechem. Zwano ich fuszerami. Po 1815 r. władze państwowe ograniczyły monopol na produkcję mistrzów cechowych. Stopniowo kapitalizm i wolna konkurencja pukały do drzwi, które coraz szerzej otwierały się dla każdego, kto podejmował ryzyko i rozpoczynał produkcję.

O sukcesie w szewstwie i w ogóle w rzemiośle zaczynały decydować talent, praca i szczęście, a nie przynależność organizacyjna do cechów czy zgromadzeń. Po 1864 r. zakazano m.in. stosowania kar cielesnych wobec czeladników. Liberalizacja przyspieszyła ekspansję warszawskiego rzemiosła szewskiego, podobnie jak i nowinki technologiczne, takie jak wprowadzenie maszyn do szycia skóry. W 1897 r. w branży obuwniczej znalazło zatrudnienie już 14 967 mężczyzn i 227 kobiet, a licząc wraz z rodzinami – ponad 40 tys. osób. Branża miała charakter zdecydowanie ponadregionalny.

Szewcy nie stworzyli środowiska jednorodnego pod względem wyznaniowym. Żydowscy mieli własne struktury organizacyjne, podobnie jak polscy i niemieccy. Co najmniej do lat 60. w zgromadzeniach szewców rywalizowali mistrzowie polscy i niemieccy (ewangeliccy). Polscy szewcy gromadzili się w niedziele i święta w Kościele św. Jana, a niemieccy w ewangelickim. Nawet druki zgromadzenia szewców przez wiele lat publikowano w językach polskim i niemieckim. Stopniowo we władzach zgromadzenia rosła przewaga szewców polskich.

Świat szewski był zróżnicowany także pod względem pozycji socjalnej, prestiżu, majątku. Z jednej strony proletariat szewski, a z drugiej – rzemieślnicza arystokracja, a wśród niej Hiszpańscy. Stąd trafność wiersza Wojciecha Bogusławskiego: „A trudno poznać, szewc czy wojewoda./ Oba we fraki, bo dziś taka moda”.

Warszawa była znana z rzemiosła silnego ekonomicznie. W 1882 r. było w nim zatrudnionych 29 177 osób. Pod koniec XIX w. rzemiosło zatrudniało więcej osób niż silnie rozwijający się przemysł. Również wartość produkcji rzemiosła była większa niż przemysłu. Wśród zatrudnionych dominowało rzemiosło produkcyjne. Hiszpańscy należeli do kilkunastu najznamienitszych firm rzemieślniczych. Byli symbolem awansu społecznego rzemiosła oraz jego gospodarczego i kulturowego znaczenia w stolicy. ■

eprasa.pl 37c4d1858f



Z „Lalki”: Ach, czym ja się nie zajmuję!... – odparł Ochocki. – Fizyką, chemią i technologią... Przecież skończyłem wydział przyrodniczy w uniwersytecie i mechaniczny w politechnice... Zajmuję się wszystkim; czytam i pracuję od rana do nocy, ale – nie robię nic. Udało mi się trochę ulepszyć mikroskop, zbudować jakiś nowy stos elektryczny, jakąś tam lampę.



❖ W swojej pracowni w Wiśle, 1901 r.

Julian Ochorowicz

Naukowiec, eksperymentator, wynalazca, którego cechy ma Julian Ochocki z „Lalki”.

Andrzej Krajewski

Kontrowersyjny eksperymentator. Współcześni mu polscy uczeni mieli go za szarlatana, bo Julian Ochorowicz (1850–1917) usiłował badać zjawiska uznawane za nadprzyrodzone. Bolesław Prus brał więc w obronę przyjaciela, który przeszedł do historii jako genialny prekursor psychologii i pomysłodawca telewizji.

„Ochorowicza zmieszano tu z błotem tak, że nie wiem, czy dłużej żyć potrafi w Warszawie” – zapisał w swoim dzienniku Stefan Żeromski. Zaczęło się od tego, że sławny naukowiec wygłosił na początku marca 1888 r. odczyt w Sali Aleksandryjskiej warszawskiego ratusza poświęcony hipnozie oraz magnetyzmowi. Obecny na nim Żeromski odnotował, że przybyły tłumy, a prelegent kilkakrotnie pozwalał sobie na złośliwe aluzje pod adresem lekarzy „z subtelnym, zamaskowanym, a drapieżnym szyderstwem”.

Ci wzięli sobie to do serca i zaczęli bywać w Szpitalu św. Ducha w Warszawie na pokazach Ochorowicza, który prezentował zbudowany przez siebie hipnoskop, urządzenie przeznaczone do wykrywania wrażliwości hipnotycznej u ludzi. „Te doświadczenia stały się pretekstem do generalnego ataku na niego i na jego metody. W miesięczniku »Zdrowie« wystąpił najpierw dr Władysław Szumlański z krytyką kompromitującą szpitalne próby terapeutyczne Ochorowicza” – opisuje w opracowaniu „Julian Ochorowicz w historycznej panoramie Warszawy” Janusz Krajewski. Po czym kolejni naukowcy chwytali za pióra, dołączając do ataku na eksperymentatora. „Krytyka była miażdżąca, choć daleka od obiektywizmu, nie mówiąc już o jej brutalnej formie” – zauważa Krajewski. Podchwyciły ją codzienne gazety. Wówczas w obronie kolegi z czasów gimnazjalnych stanął Bolesław Prus. Wkrótce dołączyli do niego Żeromski i Eliza Orzeszkowa. Spory o Ochorowicza i jego wynalazki na łamach warszawskiej prasy toczyły się jeszcze długo. A przy tej okazji Prus uwiecznił przyjaciela na kartach „Lalki”, przydając jego cechy Julianowi Ochockiemu.

Młody geniusz. Od początku swego życia urodzony 23 lutego 1850 r. w Radzyminie pod Warszawą Ochorowicz zmagał się przeciwnościami. Jego ojciec (również Julian) osierocił syna, gdy ten miał pięć lat. Samotnie wychowywała go matka, Jadwiga z Sumińskich, emancypantka i autorka poradników pedagogicznych. Po upadku powstania styczniowego musiała przenieść się z synem do Lublina. Tam Julian kończył gimnazjum i przy tej okazji zakolegował się z Aleksandrem Głowackim. „Zaprzyjaźnieni ze sobą koledzy tworzyli – jak wspomina Ochorowicz – dwie partie: »trzeźwych« i »idealnych«. Na czele pierwszych stanął Głowacki, drugich – Ochorowicz” – opisuje Jadwiga Miękina-Pindur w opracowaniu „Dojrzewanie w czasie. Wokół przyjaźni Bolesława Prusa z Julianem Ochorowiczem”.

Pasjonujący się naukami przyrodniczymi i matematyką Julian początkowo kpił z kolegów marzących o naprawieniu społeczeństwa. Ale jednocześnie fascynowały go spirytyzm oraz seanse hipnotyczne i nawet sam zaczął je organizować. Z czasem pod wpływem Głowackiego oraz Aleksandra Świętochowskiego zaczął deklarować, iż jest pozytywistą. Ostatecznie od zajmowania się zjawiskami paranormalnymi odciągnęły go studia, które rozpoczął w 1866 r. na Wydziale Filologiczno-Historycznym Szkoły Głównej Warszawskiej. Acz szybko zmienił wydział na przyrodniczy.

Dwa lata później warszawska uczelnia ogłosiła konkurs na najlepszą pracę naukową poświęconą psychologii. Zupełnie nowa dziedzina wiedzy zainteresowała Ochorowicza. Zaczął czytać książki jej poświęcone i wysnuł od razu rewolucyjne wnioski. „Psychologia nie jest częścią filozofii, lecz nauką spostrzegawczą, podobnie jak fizjologia. Jako nauka spostrzegawcza, potrzebuje przede wszystkiem obserwatorów, a potem dopiero teoretyków” – zapisał w dzienniku. Postulował zatem prowadzenie doświadczeń i obserwacji, aby empirycznie poszerzać wiedzę o psychologii ludzkich zachowań. Zachwycona takim podejściem komisja konkursowa nagrodziła studenta złotym medalem należnym zwycięzcy. Ochorowicz swój postulat uczynienia z psychologii nauki empirycznej rozwinął w wydanej w 1872 r. książce „Duch i mózg: studyjum psycho-fizyjologiczne”.

eprasa.pl 37c4d1858f





❖ Małżonkowie Julian i Maria z Leszczyńskich.

Zdobyło ona sobie z czasem status dzieła wytyczającego nowe ścieżki w nauce.

Rok później kontynuował dobrą passę rozprawą „Wstęp i pogląd ogólny na filozofię pozytywną”. Rozwijał w niej główne idee pozytywizmu, a że potrafił świetnie pisać, wyrósł obok Świętochowskiego na jednego z ideowych przywódców ruchu. Rozpierała go energia. Współredagował dwutygodnik „Niwa” i tygodnik „Opiekun Domowy”, pisywał artykuły do innych gazet. Jeździł też po kraju z odczytami i znalazł nawet czas, by ukończyć studia w Głównej Szkole przemianowanej już na Cesarski Uniwersytet Warszawski. Zaraz po nich zdecydował się dokształcić w Lipsku, gdzie po roku studiowania filozofii, nauk przyrodniczych i psychologii obronił pracę doktorską.

Na paryskim bruku. Po powrocie do kraju Ochorowicz habilitował się na Uniwersytecie Lwowskim, gdzie jako prywatny docent przyciągał swymi wykładami z psychologii tłumy słuchaczy. Wciąż był ciekawy świata i wraz z Brunonem Abakanowiczem zaczął badać zjawisko elektryczności. W 1878 r. opublikował na łamach pisma „Kosmos” koncepcję przenoszenia obrazów na odległość. Pomysł opierał się na wykorzystaniu fotoelektrycznej komórki selenowej, której oporność na przepływ prądu zmieniała się pod wpływem światła. Ochorowicz zaproponował przekształcanie obrazu punkt po punkcie na impulsy elektryczne, a następnie przesyłanie go na odległość zakodowanego w zmianach natężenia prądu. Ta rewolucyjna koncepcja spotkała się z nikłym zainteresowaniem. Sześć lat później w Berlinie młody inżynier Paul Julius Nipkow opatentował dziejący na tej zasadzie dysk Nipkowa, uznawany za pierwsze urządzenie do skanowania obrazu. Jego wynalazca zyskał sławę prekursora telewizji.

Tymczasem Ochorowicz zmagał się z władzami Uniwersytetu Lwowskiego, które niespodziewanie odmówiły mu etatu oraz profesury. „Pojawiały się (…) opinie o tym, że Ochorowicz nie otrzymał nominacji, gdyż nie był podanym austriackim. Według innego przekazu, władze uczelni zarzucały mu brak sumienności w przygotowaniu do zajęć” – opisuje w książce „Julian Ochorowicz – wynalazca, psycholog, polihistor wiedzy tajemnej” Katarzyna Cedro-Abramczyk. „Zgodnie z zupełnie inną teorią, Ochorowicz z uwagi na szeroki zakres zainteresowań uważanych za kontrowersyjne, naraził się środowiskom klerykalnym, które postanowiły usunąć go z uniwersytetu, co nie było łatwe ze względu na popularność wśród młodzieży. Jedna z hipotez głosi, że do Ministerstwa Oświaty złożono na niego donos, jakoby miał inklinacje socjalistyczne” – uzupełnia autorka. Sprawę ucięło oświadczenie władz uczelni, iż dokumenty habilitacyjne Ochorowicza zaginęły, co uniemożliwia przeprowadzenie nadania profesury.



❖ Podczas seansu z medium Marią Tomczykówną, 1909 r.

Urażony takim traktowaniem uczony zdecydował się wyjechać. Wystarał się więc na Krakowskiej Akademii Umiejętności o stypendium finansujące mu naukowy pobyt w Paryżu. Nowe życie we Francji zaczął jednak fatalnie. Obiecane stypendium nie zostało zatwierdzone i Ochorowicz znalazł się w obcym mieście bez grosza. Z pomocą przyszedł mu wówczas stary znajomy Brunon Abakanowicz, który wcześniej przeprowadził się do stolicy Francji. Udostępnił koledze własną pracownię oraz kontakty, jakie nawiązał z francuskimi przemysłowcami.

Przyciśnięty biedą Ochorowicz postanowił zacząć zarabiać, konstruując wynalazki. Zaczął od ulepszenia telefonu Grahama Bella. Urządzenie Amerykanina przenosiło zniekształcony dźwięk na niewielkie odległości. Polak zbudował słuchawkę mającą nie jedną, lecz dwie metalowe membrany tworzące tzw. pudło akustyczne i dodał generator pola magnetycznego. Po tych ulepszeniach żaden inny telefon nie przekazywał równie czystego dźwięku. Stał się on w 1885 r. sensacją na Międzynarodowej Wystawie Elektryczności w Paryżu. Wynalazcy gratulacje złożył osobiście prezydent Francji Jules Greévy. Zasłużone, bo telefon Ochorowicza pobił światowy rekord przesyłania czytelnego głosu na odległość. Ten ustanowiony przez telefon Polaka wynosił 320 km. Wkrótce produkcją urządzenia zajęła się spółka Appareils Telephoniques du Docteur Ochorowicz, zapewniając swemu głównemu udziałowcowi niezależność finansową.

Nierozumiany w ojczyźnie. Zdobywszy fortunę, Ochorowicz bez żalu porzucił karierę wynalazcy i powrócił do psychologii. Jego badania nad zastosowaniem hipnozy w leczeniu depresji i nerwic przyniosły mu międzynarodową sławę. Znakomity fizjolog prof. Charles Richet (późniejszy laureat Nagrody Nobla) zaprosił go do francuskiego Towarzystwa Biologicznego. Choć Polak nie był lekarzem, pozwolono mu na prowadzenie praktyki psychiatrycznej w Paryżu. Wkrótce zapracował na opinię największego we Francji autorytetu w dziedzinie hipnozy. Sporządzone przez niego opisy stanów hipnotycznych stały się kanonem światowej psychiatrii.

Uczony dowiódł, że po odpowiednim przeszkoleniu prawie każdy może zostać hipnotyzerem. Natomiast nie każdy jest podatny na sugestie. Żeby to dokładnie określić zbudował urządzenie, które nazwał – jak już wspomnieliśmy – hipnoskopem. Te sukcesy powodowały, że coraz mocniej zaczynał wierzyć we własną nieomylność. Ignorował

eprasa.pl 37c4d1858f

głosy krytyki nasilające się, odkąd zaczął propagować stare teorie Franza Mesmera o istnieniu niewidzialnego fluidu energetycznego, który przenika wszystko we wszechświecie. Żywe stworzenia miały emitować go, tworząc wokół siebie magnetyczną aurę. Atak, jakiego doświadczył ze strony francuskich środowisk naukowych, skłonił go, by częściej bywać w Warszawie. Tam usiłował propagować swoje teorie. Czym podsycał nienawiść okazywaną mu przez środowisko lekarskie.

Jej początku należy szukać jeszcze w 1884 r., gdy przez Europę przetaczała się epidemia cholery. Ochorowicz na łamach „Kuriera Warszawskiego" ogłosił wówczas, że podejrzewa, iż Stary Kontynent po prostu ogarnęła zbiorowa histeria. Rewanż lekarzy nastąpił cztery lata później, gdy uczony postanowił rozpropagować w Warszawie wiedzę o hipnozie. Atak był masowy i zaciekły. Poczytna gazeta „Głos" nazwała światowej sławy psychologa szarlatanem i maniakiem. Ochorowicza bronili nieliczni.

Wtedy to znajomość odnowił z nim Aleksander Głowacki, znany już jako Bolesław Prus. „Ich przyjaźń przetrwała, mimo upływu lat, a najlepszym jej świadectwem jest powszechnie znana charakterystyka Ochorowicza na kartach »Lalki«. Julian zachował w niej swoje imię, nazwisko uległo niewielkiej modyfikacji" – podkreśla Jadwiga Miękina-Pindur. Nie przypadkiem pojawił się w odcinkach „Lalki" publikowanych na łamach „Kuriera Codziennego" właśnie wtedy, kiedy nagonka na niego osiągała apogeum. „Odtąd przez kilka kolejnych dziesięcioleci Aleksandrowi [Głowackiemu] częściej przyjdzie bronić szalonych pomysłów Juliana, także tych związanych z mediumizmem, które przysporzyły mu największej liczby wrogów i negatywnej opinii wśród ludzi nauki" – zauważa Miękina-Pindur.

Pomimo takiego przyjęcia w ojczyźnie uczony nie uciekł do Francji. Spory wpływ na to miała o 16 lat młodsza, 22-letnia Maria Leszczyńska. Znajomość z bardzo inteligentną dziewczyną, która w przyszłości została autorką popularnych poradników i książek kucharskich, przyniosła w 1888 r. szybki ślub. Zamieszkali w Warszawie przy ul. Wilczej. Ale dobre relacje między małżonkami nie trwały długo, bo zrozumienie dla Juliana i jego nowych pomysłów coraz częściej okazywał już tylko Bolesław Prus.

Od pozytywisty do okultysty. Ostatnią dekadę XIX w. Ochorowicz rozpoczął od podejmowania decyzji, które sukcesywnie przekreślały jego wcześniejszy dorobek. Choć telefoniczna spółka przynosiła mu pokaźne dochody, znudzony biznesem sprzedał udziały i firma zmieniała nazwę na Chateau Pere et Fils. Zajął się za to duchami, po tym jak moda na ich wywoływanie opanowała Europę. Zaczął jak za młodu bywać na seansach spirytystycznych, co opisał w 1893 r. na łamach „Tygodnika Ilustrowanego", twierdząc, iż: „w zjawiskach tych nie ma niczego nadnaturalnego, a są tylko nadnormalne objawy fizjologiczne, które prędzej czy później sprowadzone zostaną do praw psychofizycznych". Chcąc pogłębić swą wiedzę, zaprosił do Warszawy najsławniejsze w Europie medium – Eusapię Palladino. Jej seanse dokumentował na zdjęciach robionych przy oświetleniu lamp magnezowych, które sam zaprojektował.

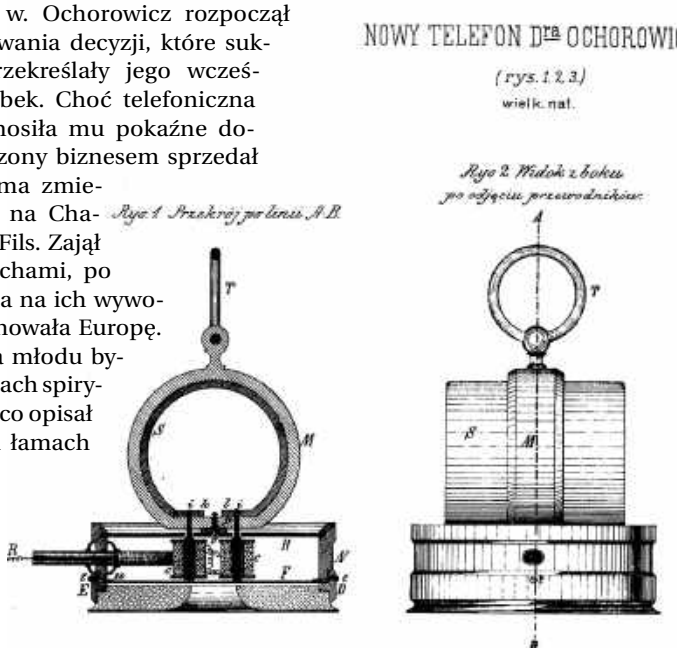
Prowadzone obserwacje niczego nie wyjaśniły, natomiast przyniosły nową falę krytyki ze strony środowisk naukowych. Co gorsza, Maria Leszczyńska miała już dość takiego życia i wybrała separację, a w 1899 r. uzyskała rozwód. To ostatecznie przesądziło o tym, że uczony porzucił Warszawę i przeniósł się do Wisły. Tam z miejscowym działaczem społecznym Bogdanem Hoffem zainwestował w budowę osiedla domków letniskowych, dając początek bardzo modnemu uzdrowisku. Zdobywszy nowe źródło finansowania, znów mógł zająć się tym, co kochał najbardziej, czyli badaniem zjawisk paranormalnych. Dla polskich środowisk naukowych stał się ostatecznie odszczepieńcem, natomiast w Europie Zachodniej nie zapomniano o jego dawnym dorobku. W 1906 r. został wybrany sekretarzem generalnym Międzynarodowego Instytutu Psychologii w Paryżu.

W następnym roku powierzono mu kierowanie instytutowym laboratorium psychologicznym. Za prowadzone tam badania nad zjawiskami hipnozy i magnetyzmu w 1909 r. otrzymał nagrodę paryskiej Akademii Nauk. Ale gdy w 1910 r. pojawił się we Lwowie z referatem na zjeździe neurologów, większość obecnych na sali wykładowej demonstracyjnie ją opuściła. Niezrażony tym zdecydował się wrócić z Paryża do Warszawy. Postanowił bowiem zaprezentować naukowcom odkryte przez siebie niezwykłe – jak mniemał – medium w osobie Stanisławy Tomczykówny. Następne lata poświęcił przekonywaniu wszystkich, że ma ona wrodzone zdolności do psychokinezy, przesuwając i zmuszając do lewitacji nawet bardzo ciężkie przedmioty. Eksperymenty z nią opisał w wielkim dziele „Zjawiska mediumiczne".

Co ciekawe, wówczas to zakończył swój długoletni konflikt ze środowiskiem naukowym, skłonnym po wybuchu pierwszej wojny światowej do ugody. Dawni wrogowie wybrali w 1915 r. Ochorowicza na wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Psychologicznego.

Uznaniem wśród swoich nie cieszył się długo. Nasilały się u niego objawy dusznicy bolesnej. Z jej powodu zmarł nagle 1 maja 1917 r. Nie pozostawił wielkiego majątku, ponieważ niemal wszystko wydał na badanie zjawisk uznawanych za nadprzyrodzone.

Andrzej Krajewski



❖ Projekt ulepszonego telefonu Ochorowicza.

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Widywała (...) duże fury ciągnione przez chudą szkapę – roznosicieli owoców i jarzyn – starca, który tłukł kamienie na szosie – posłańców idących gdzieś z pośpiechem – ładne i natrętne kwiaciarki (...). I mówiła sobie, że tamten świat, choć niższy, jest ładny; jest nawet ładniejszy od obrazów rodzajowych, gdyż porusza się i zmienia co chwilę.

Aleksander Gierymski

Na wielu jego obrazach możemy zobaczyć Warszawę czasów Prusa i „Lalki”.

Marek Sołtysik

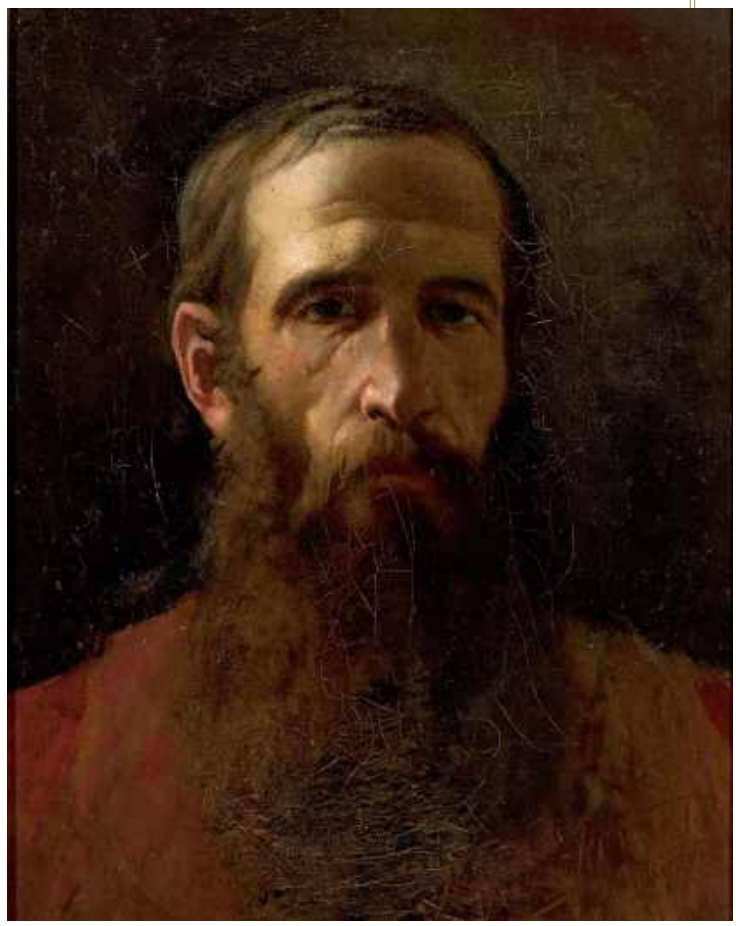
W cieniu brata. Do pewnego momentu trudno mówić o Aleksandrze Gierymskim (1850–1901) bez przywoływania jego starszego brata Maksymiliana. Młodszy najwyraźniej szedł jego śladami. A później wielokrotnie powtarzał: „Od śmierci brata zostałem człowiekiem”. Syndrom młodszego i gorszego? Najpewniej.

Aleksander, urodzony w 1850 r. w Warszawie, nie był w domu faworyzowany. Ojciec, Józef Gierymski, intendent Koszar Mirowskich i Szpitala Ujazdowskiego, umundurowany urzędnik w służbie cara, trzymał krótko dwóch synów i dwie córki. On, który przemoc fizyczną stosował nawet wobec córeczki, był zamiłowanym melomanem. W prywatnych apartamentach często urządzał koncerty muzyki poważnej z prawdziwego zdarzenia. Jako że pianista bywał często niedysponowany, pan domu wchodził do sypialni chłopców, budził ze snu Maksymiliana, ośmioletniego, muzykalnego, pomagał mu się odświętnie ubrać. Niebawem w domowej sali koncertowej pierworodny akompaniował na fortepianie solistce lub uzupełniał kwartet. Aleksander, podobnie jak starszy brat, intensywnie uczył się muzyki, jego jednak nie wybierano... To pierwsza zadra.

A druga? 17-letni Maksymilian w 1863 r. ruszył do powstania, a potem, po krwawej jatce i po rozwiązaniu oddziału wrócił do domu, gdzie kurowano go w tajemnicy, Aleksander pozostawał w cieniu bohatera.

Obydwaj wykazywali się talentem rysunkowym, ale w tamtym czasie tylko akwarela starszego (portret ojca z autoportretem przy pianinie) została oprawiona. Maksymilian został uczniem warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, a gdy jego talent rozwinął się błyskawicznie, wyjechał do Monachium na studia w Akademii. Aleksander w Warszawie poszedł śladami brata, a po latach – zachęcany przez Maksymiliana, który jako malarz robił oszałamiającą karierę – dołączył doń, przywiózł nuty i samowar, zapisał się na studia w Akademii i zaczął w środowisku funkcjonować jako Oleś, brat Maksa.

Maksymilian w krótkim czasie stał się ważną postacią w kręgu kilkudziesięciu Monachijczyków, polskich artystów, którzy po studiach pozostali w stolicy Bawarii. Było wśród nich wielu uczestników powstania styczniowego, co nie przeszkadzało im przyjąć do towarzystwa młodego Henryka Siemiradzkiego, syna carskiego generała. I to właśnie Siemiradzki, zafascynowany osiągnięciami artystycznymi nieco starszych kolegów nazwał najbardziej utalentowanych Sztabem. Po wojskowemu, ale szczerze.



❖ Portret Aleksandra Gierymskiego pędzla Witolda Pruszkowskiego, ok. 1899 r.

Do członków Sztabu zaliczono dwudziestoparoletniego Maksymiliana, którego obrazy – z grymasem oceniane na wystawach w Warszawie – cieszyły się wzięciem w Europie Zachodniej i na Wyspach Brytyjskich. Artysta zarabiał dużo, dzięki czemu Aleksander mógł studiować. Wieczorami bracia czytali, grali na fortepianie, spraszali kolegów i przyjaciół. Starali się nie poruszać najsmutniejszego tematu: śmierci Bini, siostry. Smętne pasmo snuło się jednak, bo niespodziewanie zmarła też Julianna z Kilichowskich, ich matka.

„A mówiłem durniowi, żeby zielonego nie dawał!” – westchnął rozdrażniony Maksymilian, wskazując na obraz malowany przez Aleksandra w ich pracowni – i to w obecności Adama Chmielowskiego (późniejszego św. Brata Alberta), malarza z kręgu Monachijczyków. Takie traktowanie zabolało Aleksandra. Bo starszy brat odnosił oszałamiające sukcesy, podczas gdy on studiował pilnie i nawet nie marzył o wystawianiu obrazów, nie mówiąc o ich sprzedaży. Ożywił się, gdy wygrał akademicki konkurs na szkic kompozycji wielofiguralnej. Za scenę z „Kupca weneckiego” Williama Szekspira otrzymał 350 guldenów (równowartość rocznego wynagrodzenia urzędnika niższego szczebla) – z zaszczytnym obowiązkiem namalowania dużego obrazu przeznaczonego na wystawę wiedeńską. Taki debiut! Na płótnie szerokości 2,5 m powstawał obraz inspirowany malarstwem mistrzów

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Obrazy Aleksandra Gierymskiego, od lewej: Przystań na Solcu, 1883 r., Wisła pod Warszawą, 1880–83, poniżej: Brama na Starym Mieście, 1883 r.

włoskiego renesansu, których obrazy bracia studiowali tygodniami w muzeach weneckich, z wyraźnymi nawiązaniami do Carpaccia.

„Oleś jutro wystawia swój obraz w Kunstvereinie: »Kupca weneckiego«. Słaby jestem i nie powinienem wychodzić, ale muszę jednak pójść i przed wystawieniem zobaczyć" – napisał Maksymilian 14 marca 1873 r. w monachijskiej pracowni. Od czterech miesięcy był bardzo chory. Leczony w sanatoriach w Alpach, w przerwach między kuracjami przebywając w Rzymie, w klimacie łagodniejszym niż w Monachium, wysiłkiem woli zdołał dokończyć kilka dużych obrazów zadatkowanych na olbrzymie honoraria. Wszędzie towarzyszył mu i posługiwał Aleksander – i to on w grupce żałobników, z Adamem Chmielowskim, który był przy chorym do końca, pochował zgasłego na gruźlicę Maksymiliana we wrześniu 1874 r. w kuracyjnym Bad Reichenhall.

Wolny i sławny. Po bracie pozostał niebagatelny spadek, pozwalający Aleksandrowi korzystać ze swobody po odłożeniu na posag dla młodszej siostry. Ale także to, co okaże się dla jego własnej twórczości chyba najistotniejsze: rysunki, akwarele i gwasze Maksymiliana, przedstawiające warszawskie nadwiślańskie motywy, przystań na Solcu, ulicę Rybaki, ponadto motywy staromiejskie. Tematy warszawskie każą Aleksandrowi jeszcze na siebie czekać, podejmie je po latach, kiedy już będzie ukształtowanym artystą.

„Gra w mora" oraz „Siesta włoska" to jego samodzielne – więcej: mistrzowskie – płótna. Powstawały wprawdzie w Rzymie w rok po śmierci Maksymiliana, ale ich geneza sięga miesięcy, gdy bracia mieszkali wspólnie. Nie malowali w jednej pracowni, sprawdziło się wynajęcie dwóch oddzielnych w tym samym domu. Pod koniec życia Maksymiliana Aleksander wymykał się do miasta i w traktierii, z rozłożonymi na blacie papierami i atramentem (*padrone* zawsze miał papeterię i pióro na podorędziu), udając, że pisze listy, szkicował bywalców lokalu. Na podstawie tych szkiców i korzystając z pamięci, komponował obrazy.



eprasa.pl 37c4d1858f



Kiedy ruszyły w tournée artystyczne, najpierw bardzo się spodobały w Monachium. Potem w Warszawie. W styczniu 1875 r., kiedy wieszano je w Zachęcie, Aleksander przybył do rodzinnego miasta w związku ze śmiercią ojca. Zatrzymał się na krótko, ale wywarł na rodakach piorunujące wrażenie nie tylko nadspodziewanie wytwornym strojem, ale przede wszystkim obrazami... Po tym, jak chłodno przyjmowano dzieła jego wielkiego brata, takiego aplauzu się nie spodziewał. Dwa realistyczne płótna, sceny rodzajowe z życia parweniuszy, nad Wisłą stały się wydarzeniem sezonu. Aleksandra Gierymskiego obwołano nowym mistrzem.

24-letni, zakochany był bezgranicznie, ale platonicznie, w Helenie Modrzejewskiej. Miał świadomość, że sławna gwiazda, o 11 lat starsza, jest dlań nie do zdobycia. Nigdy nie byli sam na sam, zawsze w salonach, gdzie ona królowała w towarzystwie pań.

Przygoda z impresjonizmem. Kiedy pracował nad rozsłonecznionym obrazem „W altanie” – wiosną 1875 r. wyszedł poza fazę projektów – zdobył się na odważny krok: będzie malował w plenerze. Zaledwie 300 m od pracowni. Za niewielką opłatą uiszczaną dozorcy codziennie od szóstej rano do pierwszej korzystał z fragmentu parku otaczającego willę, która oczekiwała na remont. Tam kilku modeli (każdego z nich osobno) malował w altanie, od razu farbami olejnymi, od razu na oddzielnych płótnach. Na innych płótnach utrwalał z ogromną precyzją kwiaty w doniczkach, fontannę, drewniane, ażurowe ścianki. Gromadził płótna w pracowni, zamierzał z tych fragmentów skleić kompozycję.

Wiedział, że efektu, który zamierzał osiągnąć, a który miał przewyższyć dokonania francuskich impresjonistów, nie mógłby osiągnąć, malując tylko w pracowni. „Do każdej rzeczy, choćby to był kamień, muszę osobne studia robić” – pisał. Ubierał modeli w rokokowe stroje wypożyczone z teatru, zaprosił fotografa, żeby utrwalić postacie w nieco innych ujęciach niż w namalowanych studiach przygotowawczych. Twarze kobiet siedzących „W altanie” to portrety Heleny Modrzejewskiej. Odmłodzonej, malowanej z wyobraźni i zdjęć. Prace nad tym jednym obrazem trwały ponad sześć lat.

Aleksander uważał się za nieszczególnego malarza. Od dawna nie sprzedał ani jednego obrazu. Nie wierzył, że powstaje dzieło wybitne. Z płótnem „W altanie” zainstalował się w pracowni w Warszawie. Od 1879 do 1884 r. nie udzielał się towarzysko, nocami grał w bilard jako pan G. we włoskim lokalu Tambosiego, gdzie z kelnerami rozmawiał płynnie w ich języku, za dnia nie pokazywał się i malował. Wtedy powstały realistyczne arcydzieła ze światłem nabytym od impresjonistów. „Żydówkę z pomarańczami” i „Żydówkę z cytrynami” szkicował z natury, a gdy modelka-handlarka wzdragała się wejść z koszem na piąte piętro, by mu pozować, zamówił jej zdjęcia u fotografa Konrada Brandla. Posługiwał się nimi w trakcie malowania, a niebawem sam nie rozstawał się z wynalazkiem Brandla – zawieszonym na szyi sekundowym fotorewolwerem umożliwiającym szybkie fotografowanie z ręki.

Tematy pospolite. Jaka była droga do samookreślenia się artysty? Po przygodzie z impresjonizmem, po latach znów w Warszawie, poszedł śladami zmarłego brata. Po wyczerpaniu odziedziczonych środków na utrzymanie podjął się pracy ilustratora. Rysował na klocku drzeworytniczym sceny rodzajowe w najbardziej malowniczych, a zarazem biednych dzielnicach Warszawy: na Starym Mieście, na Powiślu, na Solcu, na ulicy Rybaki. Narysował dla prasy setki malowniczych zaułków. Także Wisłę, piaskarzy, motywy rodzajowe. Brzeg nadwiślański nie dawał mu spokoju. Malował krajobrazy olejne ze sztafażem: ze służącymi z konwią, rybakami, odpoczywającymi tragarzami. Wreszcie wprowadził coś nieporównanie ważniejszego niż sztafaż – modlitwy Żydów o zachodzie słońca. Święto Roszha-Szana. Żydowski Nowy Rok, przypomnienie o sądzie bożym, strząsanie grzechów w połyskliwą taflę rzeki. Znakomici fachowcy, drzeworytnicy reprodukcyjni, finezyjnie wycinali kreski artysty i metodą sztorcową, z zastosowaniem szrafowania, uzyskiwali efekty malarskie. I takie ukazywały się w druku w warszawskich czasopismach.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ W altanie, 1882 r.

Dzięki wsparciu mecenasa sztuki Ignacego Korwin-Milewskiego mógł znowu malować bez kłopotów finansowych. Wystawił pierwszą wersję „Święta Trąbek", stojącą w rzędzie arcydzieł malarstwa luministycznego. To płótno wciąga. A jednak Jan Matejko miał za złe Gierymskiemu tę mistrzowską jednolitość wizji malarskiej. W mowie inauguracyjnej jako dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie w 1888 r. w ostrych słowach wyraził żal, że twórca rzuca wielki talent na pastwę pospolitych tematów.

Bronił go Bolesław Prus, który w 1888 r. w „Kronikach Tygodniowych" napisał: „Gierymski nie jest ani malarzem rodzajowym, ani »fotografem«, ale raczej kapłanem światła, którego tajemnice śledzi i wykłada nam jego piękności". Gierymskiego frapował ten motyw? Wielokrotnie powtarzał go – z istotnymi zmianami topografii – z innymi grupami postaci drugoplanowych, to z Mostem Kierbedzia (wówczas Aleksandryjskim), to z przystanią na Solcu, zawsze hipnotyzuje klimatem pierwszego kwadransa zapadającego zmierzchu, ową godziną Leonarda, ujawniającą prawdę o dziele.

Gierymski, rzecz jasna, nie myślał wyłącznie o sztuce. Temat „Święta Trąbek" miał amatorów i był to dodatkowy powód do malowania nie tyle replik, ile kolejnych, oryginalnych wersji. Zdarzały się sytuacje zabawne, jak ta, gdy pewien miłośnik sztuki, odurzony siłą wyrazu „Święta Trąbek", wyraził chęć zamówienia u artysty identycznej sceny, lecz bez Żydów. Z korespondencji wynika, że Gierymski przyjął obstalunek. Możemy się nawet domyślać, jak wyglądał ten obraz, zachowała się bowiem fotografia szybkiego szkicu olejnego, w którym w pejzażu identycznym jak w pierwszej wersji stoi wpatrzony w tratwy i płaskodenne berlinki tylko jeden człowiek.

Choroba i praca. Gierymskiego, mizantropa, zaniedbanego w stroju, z trudem rozpoznał na ulicy Stanisław Witkiewicz. Próbował wyciągnąć go z marazmu i z przyjaciółmi z założonego pisma „Wędrowiec" rozpoczął prace nad albumem „Maksymilian i Aleksander Gierymscy". Jednak załamanie nerwowe i halucynacje wyczerpywały siły malarza. Z pomocą kolegów wyjechał do Wiednia. Miał się leczyć w tamtejszym Steinhofie, ale zrezygnował z kuracji. Starał się leczyć sam, głównie muzyką; był stałym gościem Filharmonii Wiedeńskiej. Nie próżnował, robił ilustracje dla prasy wiedeńskiej i warszawskiej. Pół roku wystarczyło, żeby poczuł się zdrowszy. Wyjechał do Włoch, ponownie zamieszkał w Rzymie.

Latem 1887 r. przyjechał do Warszawy głównie po to, żeby namalować „Piaskarzy". Tym razem tworzył w pracowni wynajmowanej przez Józefa Pankiewicza i Władysława Podkowińskiego, młodzieńców zafascynowanych impresjonizmem. Wrócili z Francji. On w Warszawie był dla nich mistrzem. Już nie malował w plenerze; najął tragarzy, którzy wnieśli mu do pracowni kilkaset kilogramów wiślanego piasku. Przez okno wpadało światło. Za modela do postaci kilku piaskarzy posłużył artyście jeden silny człowiek: dozorca kamienicy.

Pół roku później był już w Monachium, poświęcając się malowaniu nokturnów. Te obrazy, arcydzieła luminizmu, a także kolejne wersje „Święta Trąbek", zamawiał Ignacy Korwin-Milewski. Podczas nocnych seansów na ulicach Monachium towarzyszył artyście zaprzyjaźniony Ludwik de Laveaux, młody malarz (dziś znany wszystkim jako pierwowzór Widma w „Weselu" Wyspiańskiego). Nękany bólami newralgicznymi, znerwicowany, Gierymski często zmieniał miejsce pobytu. Jesienią 1890 r. osiadł na trzy lata w Paryżu. Subsydiowany nadal przez Korwin-Milewskiego, oprócz obrazów o tematyce dyktowanej przez mecenasa (niezrównane nokturny paryskie na wzór monachijskich stimmungów, dwie wersje „Anioła Pańskiego" inspirowane Millletem), namalował „Wieczór nad Sekwaną" i (do dziś nieodnaleziony) „Most na Sekwanie" – duże obrazy wyprzedzające o ćwierćwiecze dokonania kapistów. Poznał Brunona Abdank-Abakanowicza, matematyka, elektronika, wynalazcę i milionera, który stał się jego drugim, hojnym i bezinteresownym mecenasem.

Wolny od trosk materialnych i w Paryżu bezpieczny, udał się jednak do Krakowa. W Bronowicach Wielkich w gościnnej pracowni Włodzimierza Tetmajera namalował „Chłopca niosącego snop" i wstrząsającą „Trumnę chłopską". Myślał o zainstalowaniu się w Krakowie. Rozmawiał o swojej planowanej profesurze z Henrykiem Rodakowskim, który tuż po śmierci Matejki podjął się reorganizować Szkołę Sztuk Pięknych. Rodakowski jednak umarł, pisząc mowę rektorską.

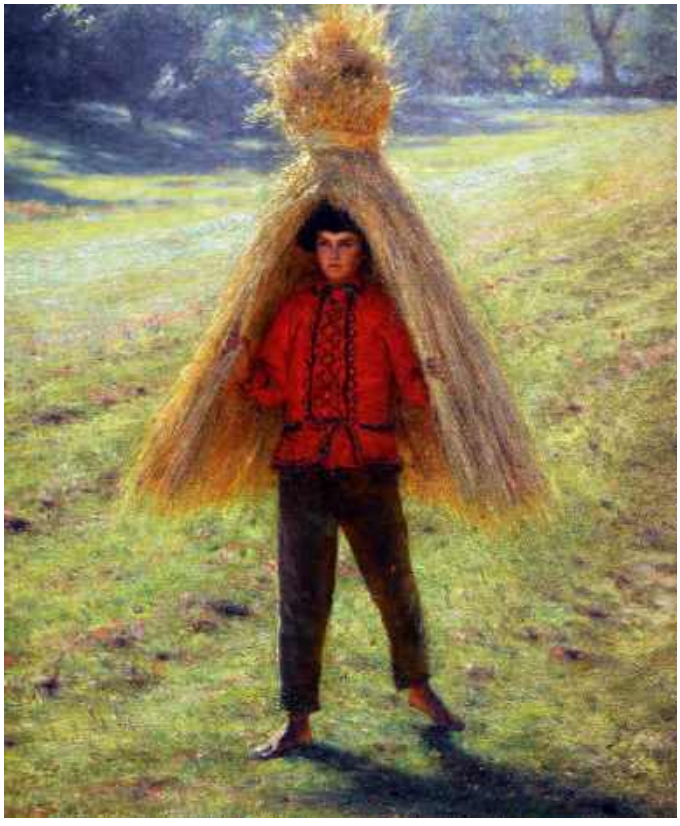
Wegetacja w ruinie. Gierymski miał prawie 45 lat, rozdział krakowski definitywnie zamknął. Szukał ukojenia w pejzażu bawarskiej prowincji. Na plenery wyruszał z Monachium, gdzie mieszkał ponad dwa lata. Potem znowu Italia: Wenecja, Palermo i Amalfi. Z Rzymu robił wypady także do Sieny i Ravello. Latem 1900 r. przybył do Paryża na Wystawę Światową pooglądać impresjonistów. Zamierzał zamieszkać w nowej stolicy sztuki. W podparyskiej willi Abdank-Abakanowicza oprócz pracowni miał dla siebie przytulny pokój. Wytchnienie nie trwało długo; jego mecenas zmarł nagle 29 sierpnia podczas przyjęcia. Z tym dniem zakończyła się swoboda ekonomiczna artysty. Wrócił do Włoch. W Weronie tworzył precyzyjne, niemal hiperrealistyczne weduty.

Ostatnie miesiące życia spędził w Rzymie. Malował pejzaże. Tworzone z maniacką dociekliwością pokrywał kolorami niczym niezłomny impresjonista. Jaskrawe, przykre w wyrazie, ale o znamionach wielkości. Był najstarszym pośród polskich artystów w Wiecznym Mieście, znanym jako milczek, nieuprzejmy dla wścibskich, świeżo z kraju przy-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Trumna chłopska, 1894 r.



❖ Chłopiec niosący snop, 1893–94

byłych rodaków. „A idź pan do cholery!” – ofuknął młodziana próbującego go wciągnąć do dyskusji o sztuce. O sztuce? Przecież on do kawiarni uciekał z pracowni właśnie od sztuki. Czy to w Cafe Greco, czy w restauracji Fiorellego – jak zauważył świadek wydarzeń, Marian Trzebiński – „raziła obecność tego schorowanego starca wśród grona dwudziestokilkoletnich młodzików”. Mieszkał na odludziu w ponurym pałacu Papa Giulio przy błotnistej via Flaminia – w miejscu licznych samobójstw samotnych artystów wegetujących w tej ruinie.

Pod koniec życia pozornie złagodniał. Zachorował, znalazł się w szpitalu, zobaczył z bliska bezmiar cierpienia i obojętność personelu wobec chorych nędzarzy. 51-letni, wrócił do siebie, oszołomiony natrętną myślą: zarobić tyle, żeby nie umierać na sali ogólnej. Separatkę w szpitalu psychiatrycznym zapewnił mu jednak dopiero rzeźbiarz Antoni Madeyski, który opiekował się Gierymskim do końca – po tym, jak ten w nagłym ataku szału po wyjściu z Cafe Greco podrzucił wysoko monetę, obserwował jej lot, po czym w spazmach i konwulsjach upadł na bruk. Po kilku dniach odzyskał przytomność, rozejrzał się i bardzo wyraźnie powiedział: „To dobrze, że ja umrę”.

Przez dwa dni nikt nie zaglądał do separatki Gierymskiego w rzymskim zakładzie przy via Lungara. Dopiero w sobotę 9 marca 1901 r. powiadomiono opiekuna o śmierci pacjenta (8 marca odnotowano jako dzień zgonu). Nazajutrz, choć to niedziela, był już najwyższy czas i Aleksander Gierymski został pochowany na cmentarzu Campo Verano w koszuli rzeźbiarza Madeyskiego.

Marek Sołtysik

eprasa.pl 37c4d1858f



Z „Lalki”: Chaos! – mówił Wokulski. – Zresztą nie może być inaczej tam, gdzie zbiegają się miliony usiłowań. Wielkie miasto jest jak obłok kurzu; ma przypadkowe kontury, lecz nie może mieć logiki. Gdyby ją miało, już od dawna wykryliby ten fakt autorowie przewodników; bo i od czegóż oni są?...”. I przyglądał się planowi miasta [Paryża], wyśmiewając własne wysiłki. „Tylko jeden człowiek, i w dodatku genialny człowiek, może wytworzyć jakiś styl, jakiś plan – myślał.

Sokrat Starynkiewicz

Ten prezydent Warszawy był Rosjaninem i lojalnym sługą cara, ale dzięki jego zabiegom miasto, choć pozostawało częścią wschodniego imperium, pod koniec XIX w. cywilizacyjnie przesunęło się na Zachód.



❖ Sokrat Starynkiewicz na portrecie Adama Badowskiego, 1895 r.

Tomasz Targański

W służbie cara. 26 sierpnia 1902 r. od Placu Krasińskich, poprzez Plac Zamkowy, aż po cmentarz prawosławny na Woli ciągnął się wielotysięczny kondukt pogrzebowy. Na jego czele jechał powóz z trumną, nad którą rozpięto baldachim, ciągnięty przez sześć koni okrytych żałobnymi derkami. Wraz z tłumami mieszkańców za konduktem kroczyli pracownicy magistratu i służb miejskich, przedstawiciele cechów z chorągwiami przepasanymi czarnymi wstęgami, oddziały honorowe warszawskiego garnizonu, a nawet dzieci z warszawskich ochronek. W całym mieście od rana paliły się latarnie owinięte czarną krepą, a gmach ratusza udekorowano czarno-białymi barwami. Tak Warszawa żegnała prezydenta miasta w latach 1875–92 i jednego z nielicznych rosyjskich urzędników, który zapisał się ciepło w pamięci Polaków.

Sokrat (Sokrates) Iwanowicz Starynkiewicz (1820–1902) wywodził się ze średniej rosyjskiej szlachty, której celem życia była służba w carskiej administracji bądź wojsku. Urodził się w Taganrogu nad Morzem Azowskim. Jego ojciec jako nauczyciel filologii klasycznej w gimnazjum nadał swoim dzieciom imiona nawiązujące do spuścizny starożytnej Grecji, jak Sokrates czy Olimp. Sokrates wybrał karierę wojskową. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Artylerii w Petersburgu, w 1849 r. wziął udział w tłumieniu Wiosny Ludów na Węgrzech, gdzie za udział w bitwie otrzymał Order św. Anny. Później walczył z wojskami anglo-francuskimi podczas wojny krymskiej. Od 1855 r. służył w sztabie I Armii w Warszawie, a w 1861 r. uczestniczył w pacyfikowaniu chłopskich wystąpień na Lubelszczyźnie. Za swe zasługi otrzymał od cara majątki na Podlasiu. Następnie awansował i pełnił urząd gubernatora chersońskiego. Nabył też doświadczenie w biznesie, zarządzając majątkami księcia Anatola Demidow San-Donato na terenie guberni podolskiej i kijowskiej.

Na tym etapie nic nie wskazywało, że Starynkiewicz stanie się uwielbianym przez Polaków carskim urzędnikiem. Gdy przyjechał do Warszawy w 1875 r., przedstawiciele rosyjskiej administracji traktowali miasto jak zesłanie dla ludzi o niedostatecznych kwalifikacjach. Generał-gubernator warszawski Paweł Kotzebue, który zaproponował Starynkiewicza na urząd prezydenta, miał o Warszawie i jej mieszkańcach jak najgorsze zdanie – w rozmowie z angielskim konsulem Charlesem Edwardem Mansfieldem powiedział: „Dla uspokojenia kraju należałoby unicestwić to miasto”. Stanowisko prezydenta było bardziej reprezentacyjne niż wiążące się z realną władzą. Zakres obowiązków ograniczono do funkcji administracyjnych, bez realnego wpływu na budżet czy prawo decydowania o inwestycjach.

Modernizator. Już na samym początku urzędowania Starynkiewicz podjął się wielkiego zadania modernizacji i rozbudowy kanalizacji miejskiej. W połowie lat 70. XIX w. stan sanitarny Warszawy był godny pożałowania, a wody pitnej często brakowało. Projekt zamówił u Williama Lindleya, angielskiego inżyniera, który wcześniej zbudował kanalizację Hamburga i Frankfurtu. Największym wyzwaniem było jednak przekonanie odpowiednich czynników w Petersburgu,

eprasa.pl 37c4d1858f

że taka inwestycja ma sens. Starynkiewicz wielokrotnie jeździł w tej sprawie do carskiej stolicy.

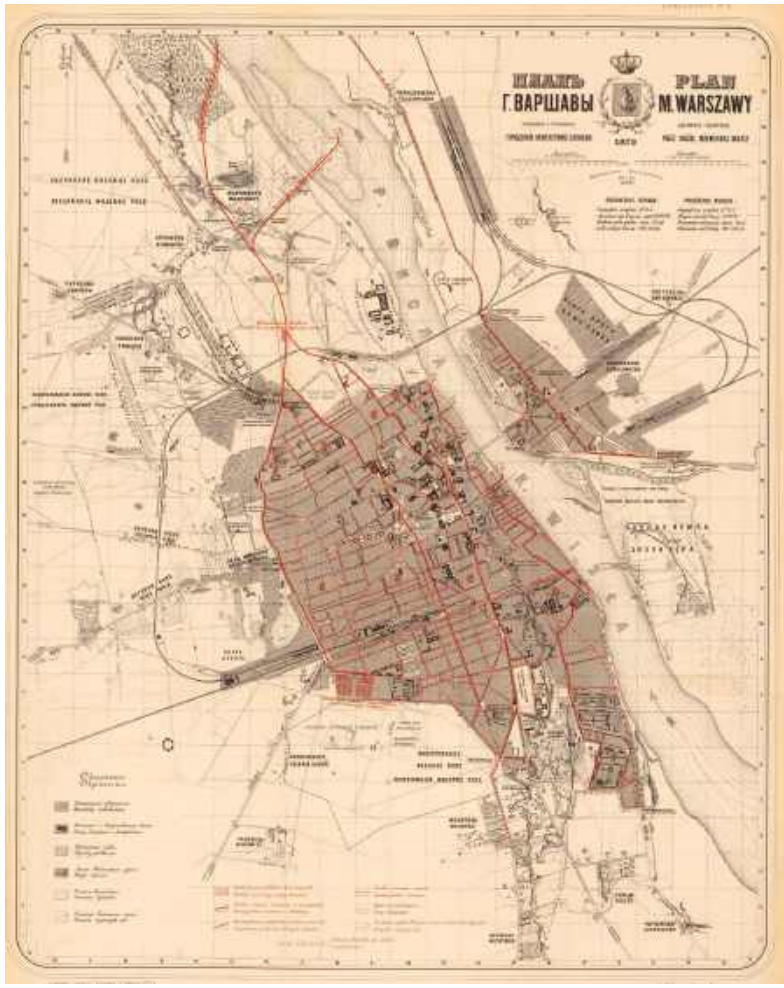
W końcu udało mu się uzyskać zgodę na opłacenie części robót z pożyczek, a pozostałą (większą) część pieniędzy zdobył, wypuszczając obligacje miejskie. Zabiegi o finansowanie na różne projekty, jakie Starynkiewicz podejmował w stolicy imperium, były powodem konfliktu z wszechwładnym dyrektorem departamentu policji carskiej Wiaczesławem Plehwe. W swoim dzienniku prezydent często odnotowywał, że Plehwe robi mu wymówki, iż rujnuje Warszawę.

Niezwykłą jak na tamte czasu inicjatywą było przedstawienie projektu budowy sieci kanalizacyjnej na łamach warszawskiej prasy i poddanie go szerokiej dyskusji. Ale jeśli Starynkiewicz liczył na twórczą wymianę poglądów, to gorzko się rozczarował. Aleksander Świętochowski napisał w swoich „Wspomnieniach”, że prezydent niechcący skomplikował sobie życie. Rozpętał bowiem dyskusję, „w której ostro ścierały się interesy rozmaitych koterii i środowisk; były one wręcz nie do pogodzenia”. Samo w sobie obywatelskie podejście Starynkiewicza do tak ważnej publicznej inwestycji, umożliwiające nieskrępowaną wymianę opinii, było wśród carskich urzędników tamtych czasów niespotykane. Bolesław Prus dał wyraz szacunku wobec takiej postawy, zapisując w swoich „Kronikach”: „Z niemałą przyjemnością zauważyliśmy, że szanowny pan prezydent naszego miasta w niektórych sprawach ogół obchodzących odwołuje się do opinii i poparcia obywateli”.

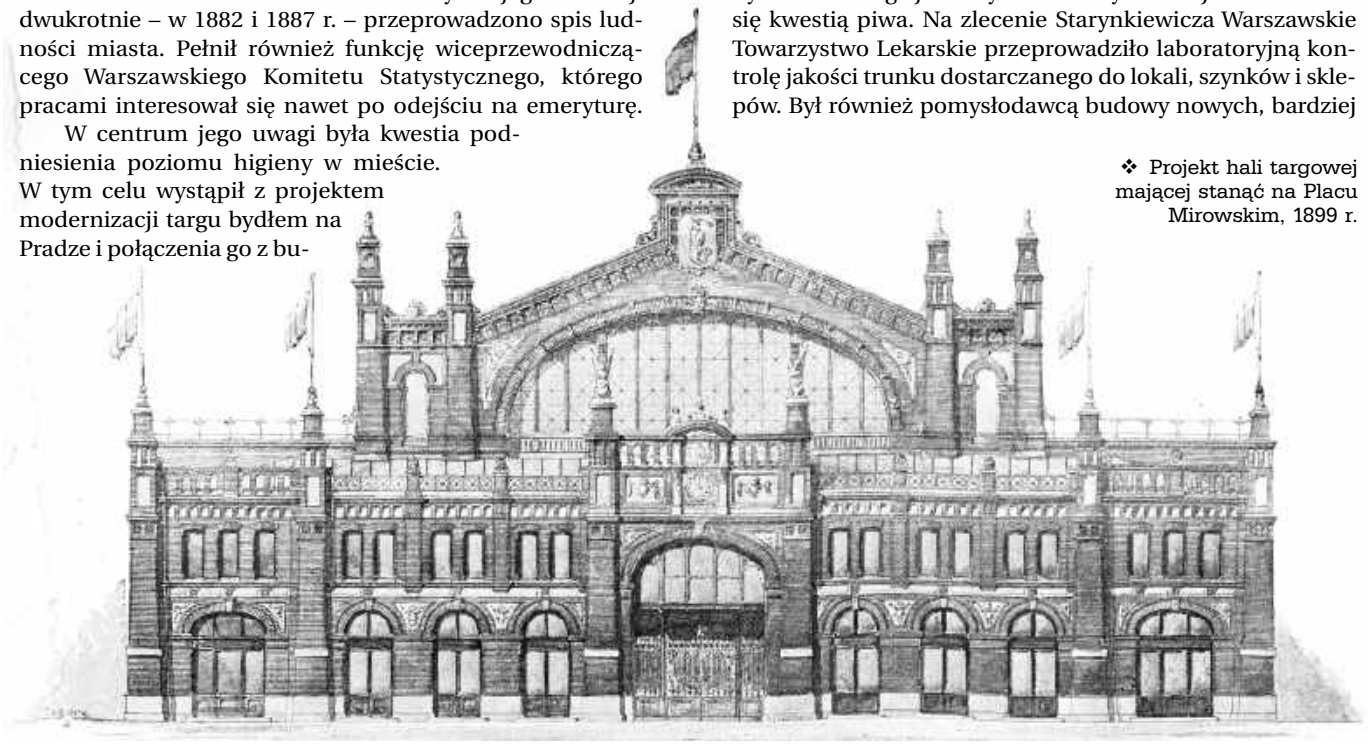
Poza wodociągami Starynkiewicz dał się poznać jako wielki zwolennik powołania do życia regularnego transportu publicznego. Od 1866 r. działała linia tramwajów konnych łącząca Dworzec Wiedeński z Petersburskim. Starynkiewicz dzięki kontraktowi z belgijską firmą Société Générale de Tramways Varsoviens w ciągu zaledwie dwóch lat błyskawicznie rozbudował sieć tramwajową – do 1883 r. po Warszawie kursowały wagoniki jeżdżące na 11 liniach.

Był modernizatorem, wierzył, że aby zmienić coś na lepsze, trzeba to najpierw dogłębnie poznać. Z tego powodu kazał powołać Sekcję Statystyczną Magistratu, która zbierała dane o mieszkańcach Warszawy. Za jego kadencji dwukrotnie – w 1882 i 1887 r. – przeprowadzono spis ludności miasta. Pełnił również funkcję wiceprzewodniczącego Warszawskiego Komitetu Statystycznego, którego pracami interesował się nawet po odejściu na emeryturę.

W centrum jego uwagi była kwestia podniesienia poziomu higieny w mieście. W tym celu wystąpił z projektem modernizacji targu bydłem na Pradze i połączenia go z budową nowoczesnej rzeźni. Niestety, pomysł został odrzucony w Petersburgu jako zbyt kosztowny. Później zainteresował się kwestią piwa. Na zlecenie Starynkiewicza Warszawskie Towarzystwo Lekarskie przeprowadziło laboratoryjną kontrolę jakości trunku dostarczanego do lokali, szynków i sklepów. Był również pomysłodawcą budowy nowych, bardziej



❖ Projekt kanalizacji i wodociągu Williama Lindleya, 1879 r.



❖ Projekt hali targowej mającej stanąć na Placu Mirowskim, 1899 r.

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Tramwaje konne na Krakowskim Przedmieściu, 1888 r.

higienicznych hal targowych, jak Mirowska. Z jego inicjatywy magistrat wykupił tereny po starych koszarach kawaleryjskich na Placu Mirowskim i rozpisał konkurs na projekt wzniesienia tam krytego targu. Innym niezrealizowanym projektem Starynkiewicza był plan wybudowania miejskiej gazowni. Został on zarzucony, m.in. wskutek opozycji właścicieli kamienic, którzy bali się obciążania ich dodatkowymi kosztami.

Starynkiewicz żywo interesował się nowatorskimi wynalazkami i dobrze czuł się w towarzystwie naukowców. To on zdecydował o zatrudnianiu inżyniera Kajetana Kazimierza Mościckiego na stanowisku inżyniera miasta i naczelnika wydziału budowlanego. Obaj poświęcali długie godziny na dyskusje nad nowymi projektami, m.in. uruchomieniem miejskiej fabryki wyrobów betonowych w 1892 r., gdzie prefabrykowano płyty chodnikowe (czy, jak je wówczas nazywano, tafle betonowe). Aby badać właściwości tych wyrobów i utrzymać wymaganą jakość, powołano miejskie laboratorium mechaniczne. Zachęcany przez prezydenta Mościcki podjął też – ostatecznie nieudaną – próbę wprowadzenia w Warszawie nawierzchni ulic z użyciem asfaltu (okazał się on zbyt drogi).

Przyjaciel Polaków. Jego poglądy na sposób zarządzania imperium były liberalne. W kwestii języka i szeroko pojętej kultury był zwolennikiem autonomii Królestwa Polskiego. Wielokrotnie wyrażał się krytycznie o carskim aparacie administracyjnym. „Rozsierdziło mnie przemianowanie ulic warszawskich na modłę rosyjską" – zapisał w swoim dzienniku w 1888 r. Kiedy Polacy zabiegali o budowę pomnika Adama Mickiewicza, Starynkiewicz był zdania, że jest to inicjatywa prywatna i carskiemu rządowi nic do tego. Opowiedział się więc za umieszczeniem na nim tablicy w języku polskim, stwierdzając niedwuznacznie: „Wszak język rosyjski jest tutaj wyłącznie językiem urzędowym". Choć sam nie mówił po polsku, świetnie ten język rozumiał i prosił, aby Polacy rozmawiali przy nim w ojczystym języku.

Jako wyznawca prawosławia nie miał też oporów przed dofinansowaniem z kasy miejskiej renowacji Katedry św. Jana i Kościoła św. Anny. Na budowę kaplicy na Cmentarzu Bródnowskim przeznaczył drewno z rusztowań z Kolumny Zygmunta.

To dzięki jego przychylności powstało w Warszawie wiele instytucji kultury, m.in. Teatr Mały i chór Lutnia. Na niwie prywatnej Starynkiewicz uczynił wiele, by przełamać izolację rosyjskiej społeczności w Warszawie. Był zapraszany na organizowane przez Polaków uroczystości i wydarzenia kulturalne, utrzymywał przyjacielskie kontakty z elitą warszawskiego mieszczaństwa.

Jego przyjazna Polakom postawa nie wynikała jednak z abstrakcyjnego uwielbienia dla naszej kultury – jako lojalny sługa cara prezydent był pragmatykiem i uważał antypolski kurs za politykę nieskuteczną, która szkodzi rosyjskim interesom nad Wisłą. Bez wątpienia był Starynkiewicz rosyjskim patriotą. Nie rozumiał na przykład krytycznego stosunku Polaków do budowy na Placu Saskim soboru prawosławnego. W 1894 r. potępił warszawskie demonstracje przypominające setną rocznicę powstania kościuszkowskiego.

Z powodu swojego stosunku do Polaków szybko znalazł się na kursie kolizyjnym z konserwatywną częścią carskiego aparatu administracyjnego, szczególnie wojskowymi. Jego relacje z kolejnymi generał-gubernatorami warszawskimi były więcej niż napięte. W swoim „Dzienniku" krytycznie komentował decyzję zastępcy dowódcy okręgu z listopada 1894 r. o zwołaniu cechów rzemieślniczych i jak największej liczby mieszkańców miasta, aby oddali hołd zmarłemu Aleksandrowi III. Pisał: „Są zadowoleni z tego, że widzą niechęć Polaków i mogą potępiać ich za to; byliby widać zadowoleni jedynie z decyzji powieszenia wszystkich Polaków, zresztą nawet wtedy irytowałoby ich to, że nie mają kogo potępiać".

Starynkiewicz stał się też celem ataków reakcyjnie nastawionych rosyjskich publicystów. Korespondent peters-

eprasa.pl 37c4d1858f

burskiej gazety „Nowoje Wremia” napisał o nim: „Jako człowiek o przytępionym narodowym poczuciu rosyjskim nie potrafił w Warszawie zachować równowagi między interesami narodowości polskiej i rosyjskiej, nieraz skłaniał się na stronę Polaków i mało dbał o zachowanie pamiątek rosyjskich w Warszawie”.

Skrupulatny w finansach. Jeśli chodzi o pieniądze – nie tylko publiczne, ale też jego własne – Starynkiewicz był nad wyraz oszczędny. Otrzymując okrągłe sumy w ramach delegacji na wyjazdy do Petersburga, zawsze zwracał pozostałość do kasy miejskiej. Przysługiwał mu również – jak wielu rosyjskim urzędnikom – dodatek na wychowanie dzieci. Mimo to prezydent przez cały okres urzędowania go nie pobierał, choć uzbierała się z tego całkiem spora suma 22 tys. rubli. Kiedy któryś z urzędników pracujących w kasie magistratu dopuścił się nadużyć, prezydent czuł się w obowiązku spłacić te sumy z własnej kieszeni. Jego stosunek do pieniędzy najtrafniej ujął publicysta Antoni Zaleski: „Człowiek to uczciwy, porządny (…). Czysty, nieposzlakowany, grosza miejskiego jak Cerber strzeże i trwonić go nie pozwala”.

Starynkiewicz znany był z tego, że na wiele publicznych projektów łożył z własnej kieszeni, co było powodem kłótni z żoną i córką. W listopadzie 1888 r. zapisał: „Taniczka i Masza protestują przeciwko wpłacaniu do kasy miejskiej pieniędzy na pogłębiarkę [do Wisły] twierdząc, że pieniądze obiecano Maszy”. Jednocześnie bał się, że „na bieżące wydatki domowe nie starcza pieniędzy”. Aby załatać dziury w budżecie, sprzedawał rodzinne posiadłości. Tak było z folwarkiem Wiedeniec, który sprzedał wraz z lasem za kwotę 22 tys. rubli. Część tej kwoty od razu jednak wpłacił na uzupełnienie ubytku w Kasie Oszczędności.

Życie prywatne. Nie tylko z powodu pieniędzy życie prywatne prezydenta Warszawy było naznaczone konfliktami. Zapiski w jego „Dzienniku” ujawniły głęboki konflikt z żoną i córką. Powodem nieporozumień była jego przyjazna Polakom postawa. Starynkiewicz miał wrażenie, że on i żona z córką żyją w odrębnych, często wrogich sobie światach: „Chwilami chce mi się płakać: one są we dwójkę, a ja sam, obcy im, choć są mi tak bliskie”. Powodem jeszcze większego rozgoryczenia był fakt, że obie zaczęły cenzurować jego pamiętnik: „Taniczka i Masza wyrwały z mojego notatnika cztery kartki” – zanotował. Wszelkie próby nawiązania bliższego kontaktu z córką kończyły się niepowodzeniem: „Moje róże czasami podobają się Maszy. Moja osoba nigdy”.

Ponieważ nie mógł porozumieć się z córką, Starynkiewicz pielęgnował bardzo bliskie kontakty z synami: Aleksandrem, Konstantym, Dymitrem i Pawłem. Pisał o nich czule i zdrobniale – Sasza, Kostia, Mitia, Pawłusza. Ze względu na przedwczesną śmierć Aleksandra w 1887 r., bardzo martwił się o zdrowie pozostałych synów. Jego dziennik przepełniony jest wpisami o chorobach i operacjach, jakie przechodzili. Starynkiewicz interesował się przebiegiem ich pracy zawodowej i wspierał finansowo.

Otwarty na nowości. Interesowała go filozofia i (zgodnie z modą ówczesnych wyższych sfer) okultyzm. Uczestniczył w seansach spirytystycznych u psychologa i pioniera parapsychologii Juliana Ochorowicza (art. s. 40). Jeden z nich, w którym udział jako medium wzięła słynna spirytualistka Eusadia Palladino, opisał na kartach swojego „Dziennika”. Początkowo sceptyczny, gdy Palladino ujęła jego rękę, poczuł jednak nagłe szarpnięcie, jakby dotyk czyjejś dłoni, po czym ujrzał „jasne kółeczko wielkości źrenicy, ze złotą, świecącą się w nim spiralą”. Seans z całą pewnością nie uczynił zeń spirytualisty (zapisał: „o działającej poprzez medium sile nie wyrobiłem sobie żadnego zdania”), ale jednocześnie uczciwie przyznał, że nie zauważył żadnych oznak oszustwa. Po spotkaniu Starynkiewicz wraz z innymi uczestnikami podpisał oświadczenie, że „zjawiska, jakie miały miejsce, nie mogą być zbiorową halucynacją i wymagają dogłębnego naukowego zbadania”.

Z czasem, szczególnie na emeryturze, uciekał w świat religijnych i filozoficznych rozważań. 18 grudnia 1889 r. zanotował: „Coraz głębiej wnikam w istotne znaczenie życia, coraz mocniej poddaję się woli Bożej i znajduję ukojenie”. Czytał książki z zakresu medycyny i matematyki. Nawiązał bliższe znajomości z przedstawicielami świata techniki, m.in. z Klemensem Dziewulskim, fizykiem, inspektorem oświetlenia gazowego w Warszawie. Lubił grać w winta i oglądać wyścigi konne. Uwielbiał malarstwo rosyjskiego marynisty Iwana Ajwazowskiego.

Epoka Starynkiewicza. Ustąpił ze stanowiska we wrześniu 1892 r. Oficjalnie z powodu złego stanu zdrowia. W rzeczywistości na jego decyzji zaważyły nasilające się oskarżenia o zbyt liberalny stosunek do Polaków płynące z najwyższych kręgów imperialnej administracji. Nie było tajemnicą, że ówczesny generał-gubernator warszawski Josif Hurko był jego zaciekłym wrogiem. Na otarcie łez przyznano Starynkiewiczowi stopień generała artylerii i emeryturę w wysokości 2 tys. rubli rocznie. Jego budżet domowy był wówczas wydrenowany na tyle, że musiał prosić Hurkę o zaliczkę w wysokości 500 rubli na poczet emerytury.

Żegnając Starynkiewicza, „Tygodnik Ilustrowany” zamieścił tekst, w którym Józef Kenig napisał: „O tak zwaną popularność nie starał się nigdy. Przystępny dla wszystkich (…), prezydent nasz prowadził życie dość zamknięte, głównie oddane pracy, której nigdy nie brakowało”.

Opuściwszy urząd nie wrócił – jak większość rosyjskich urzędników – do Moskwy czy Petersburga. Został w Warszawie i nadal angażował się w sprawy publiczne. Jego mieszkanie przy ul. Rysiej nazywano gabinetem prezydenta bez urzędu. Właśnie tam regularnie spotykał się z byłymi współpracownikami (m.in. Lindleyem), którzy na bieżąco informowali go o sprawach miasta. Został prezesem Wydziału Tanich Kuchni, wydającego posiłki dla najuboższych, był wiceprzewodniczącym Warszawskiego Komitetu Statystycznego, a także członkiem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Cały czas łożył na cele publiczne, konsekwentnie wyprzedając odziedziczone po ojcu dobra.

Opisując jego rządy w mieście, historycy Warszawy piszą o epoce Starynkiewicza, co samo w sobie pokazuje znaczenie tych kilkunastu lat dla rozwoju polskiej stolicy. Podwoiła się liczba ludności. Miasto zyskało europejską infrastrukturę techniczną. Choć znajdowało się w orbicie wschodniego imperium, to cywilizacyjnie przybliżyło się do Zachodu. Jeszcze za życia Starynkiewicza Warszawiacy dawali mu liczne wyrazy szacunku. W 1893 r. przylegający do Stacji Filtrów plac na Ochocie nazwano jego imieniem. W dniach po pogrzebie Bolesław Prus zapisał w „Kronikach”: „Nazwisko p. Starynkiewicza znajdzie się jeszcze i na innej, trwalszej tablicy: w pamięci społeczeństwa, które uczy się wszystkiego, a niczego nie zapomina”.

Tomasz Targański

Bibliografia: Anna Słoniowa „Sokrates Starynkiewicz”; Sokrates Starynkiewicz „Dziennik 1887–1897”.

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim, wyborem nowego papieża albo szansami europejskiej wojny, warszawscy kupcy tudzież inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia niemniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokulski.



❖ Wiosna Ludów we Francji, barykada na Rue Soufflot; obraz Horacego Verneta, XIX w.

Zamorskie diabły

W jakiej Europie żyli Rzecki i Wokulski, co działo się wtedy w świecie i dlaczego elity mówiły po angielsku.

Andrzej Chwalba

Wiosna Ludów. W Europie połowy XIX w. zwaśnione strony – strażnicy Świętego Przymierza i zwolennicy rewolucyjnych zmian – zbierały siły i przygotowywały się do decydującego starcia. Rozpoczęło się ono we Francji, gdzie kultura protestu była silnie zakorzeniona. W lutym 1848 r. definitywnie pożegnano tam dynastię Burbonów i ostatniego jej przedstawiciela na tronie Ludwika Filipa Orleańskiego (pan. od 1830 r.). Będący w awangardzie europejskiej rewolty Francuzi utworzyli republikę, która przeszła do historii pod nazwą drugiej. Nie zdążyła się jednak umocnić, gdyż jej pierwszy prezydent Ludwik Napoleon z rodu Bonaparte, postępując w ślad za wielkim stryjem, dokonał zamachu stanu, przejął pełnię władzy i ogłosił się, jakby inaczej, cesarzem Napoleonem z numerem III (pan. 1852–70).

Francuska rewolucja lutowa okazała się iskrą, od której kontynent dosłownie detonował, pokrywając się barykadami walczących narodów. Pierwsza ogólnoeuropejska rewolucja przeszła do historii pod nazwą Wiosny Ludów (nie narodów, gdyż naród najczęściej utożsamiano wówczas z ludem). Nie objęła jedynie Rosji i imperium Osmanów. Choć wojska rewolucyjne nigdzie nie zwyciężyły, to jednak nie znaczyło, że rewolucję należy uważać za pokonaną. Tam, gdzie jeszcze nie było porządku konstytucyjnego, decyzją monarchów albo ciał prawodawczych go wprowadzano; gdzie chłopi nie byli jeszcze uwłaszczeni,

eprasa.pl 37c4d1858f

uwłaszczenie przeprowadzono – wraz z likwidacją ciężarów wobec panów, w tym pańszczyzny. Dzięki tym zmianom zaczęła się szybko rozwijać gospodarka. Rosła sieć powiązań handlowych. Kształtował się ogólnoeuropejski rynek wewnętrzny. Stopniowo poprawiał się standard życia milionów. Zaistniały też polityczne i ekonomiczne warunki przeprowadzenia zjednoczenia Włoch, a następnie Niemiec i powstania w 1871 r. Cesarstwa Niemieckiego, czyli II Rzeszy.

Pęknięte Stany Zjednoczone Ameryki. W tym samym czasie doszło do wybuchu wojny domowej w Stanach Zjednoczonych Ameryki (państwie istniejącym od 1776 r.). Choć ci z południa kraju i ci z północy byli Amerykanami, to jednak różnili się pod względem mentalnym i mieli poczucie kulturowej odrębności. Ci pierwsi siebie nazywali po prostu Południowcami, a tych z Północy coraz częściej Jankesami. Obie części Ameryki charakteryzowała odmienna struktura wytwarzania bogactwa. Na Północy były to przemysł i górnictwo. Tam znajdowały się liczne i bogate miasta. Na Południu przeważało rolnictwo. Obok niewielkich gospodarstw farmerskich powstały wielkie własności rolne i hodowlane. Największe znaczenie miały uprawy bawełny, tytoniu, trzciny cukrowej i to przede wszystkim na rozległych plantacjach.

Plantatorzy zatrudniali niewolników. Co prawda już od kilku dziesiątek lat nie wolno ich było przywozić z Afryki, niemniej niewolnice rodziły kolejne generacje niewolnej ludności. Południowcy uważali istnienie niewolnictwa za coś zgodnego z naturą, porządkiem świata i Biblią. Było podstawą ich egzystencji i wysokiej dochodowości plantacji. Z oburzeniem przyjmowali więc pomysł likwidacji niewolnictwa, mający na Północy licznych zwolenników nazywanych abolicjonistami (od łac. *abolitio* – zniesienie, umorzenie). Ci ostatni kierowali się racjami religijnymi, moralnymi, ale i interesem, gdyż uwolnieni pracownicy mogli być zatrudnieni w górnictwie i przemyśle.

Wojna secesyjna. W 1860 r. prezydentem Stanów Zjednoczonych został Abraham Lincoln, zwolennik zachowania jedności państwa i przeciwnik niewolnictwa. Dla Południa był to sygnał do rozpoczęcia walki w obronie sytemu niewolniczego i odrębnej tożsamości. W grudniu 1860 r. USA opuściła Karolina Południowa; jej liderzy argumentowali, że zgodnie z konstytucją obecność w federacyjnym państwie jest dobrowolna, więc w każdej chwili można je opuścić. W ślad za Karoliną Południową secesji dokonało dziesięć kolejnych stanów niewolniczych. Jednak niektóre z Południa pozostały wierne idei jedności państwa. Te zbuntowane utworzyły nowe państwo: Skonfederowane Stany Ameryki (stąd też nazwa obywateli: Konfederaci). Uchwaliły one nową konstytucję. Prezydent miał być wybierany tylko na jedną kadencję, ale na lat sześć. Tymczasową stolicę ulokowano w mieście Richmond w stanie Wirginia.

W 1861 r. rozpoczęła się krwawa i bezwzględna wojna nazwana secesyjną. Zwyciężyła Północ, ale z rąk zamachowca z Południa zginął w 1865 r. prezydent Lincoln. Śmierć uczyniła go nieśmiertelnym w pamięci Amerykanów jako bojownika o wolność i prawa ludzkie. Na mocy 13. poprawki do konstytucji została zniesiona niewola i niewolnictwo, a w rok później 14. poprawka przyznała wszystkim urodzonym w Ameryce lub naturalizowanym pełne prawa polityczne. Południowcy nie pogodzili się jednak ani z klęską w wojnie z Jankesami, ani z prawami dla byłych niewolników i wprowadzali w szkołach, sądach, urzędach, w restauracjach, parkach segregację rasową. Byłych niewolników, którzy upominali się



Śmierć Napoleona III i jego syna

Po upokarzającej porażce w wojnie z Prusami cesarz Napoleon III został zdetronizowany (1871) i już jako Karol Ludwik Napoleon Bonaparte udał się na emigrację do Wielkiej Brytanii. Wraz z żoną Eugenią i synem Napoleonem Eugeniuszem zamieszkali w pałacyku Camden House w hrabstwie Kent. W ostatnich latach życia były cesarz oddał się m.in. majsterkowaniu (projektował piecyk żeliwny). Jego zdrowie drastycznie pogorszyło się w wyniku nawracających ataków kamicy nerkowej. Zmarł 9 stycznia 1873 r. w wyniku powikłań po zabiegu kruszenia kamieni. Od tego momentu bonapartystycznym pretendentem do tronu Francji był jego syn. Niedoszły Napoleon IV ukończył szkołę wojskową w Anglii i w 1879 r. jako obserwator wziął udział w brytyjskiej kampanii przeciwko południowoafrykańskim Zulusom, podczas której zginął. Ojciec i syn ostatecznie spoczęli w ufundowanym przez cesarzową Eugenię opactwie św. Michała w Farnborough. (TT)

❖ Portret cesarza Napoleona III pędzla Alexandre'a Cabanela, 1865 r.

eprasa.pl 37c4d1858f

Wojna rosyjsko-turecka 1877–78

Konfliktem, który pozwolił Stanisławowi Wokulskiemu zbić fortunę na dostawach dla armii carskiej, była wojna rosyjsko-turecka, nazywana przez Bolesława Prusa wojną bułgarską. Jej początki wiążą się z wybuchem antytureckiego powstania w Bułgarii. Kiedy Osmanowie krwawo zdusili bunt, wojnę wypowiedziała im Rosja, uznająca się za opiekunkę prawosławnych mieszkańców Bałkanów. Carskie wojska osiągnęły spore militarne sukcesy, ale mocarstwa zachodnie nie zamierzały dopuścić do klęski Turcji. Dlatego też, kiedy Rosjanie przymierzali się do marszu na Stambuł, na Morze Marmara wpłynęła eskadra okrętów brytyjskich, co zmusiło Petersburg do negocjacji. W marcu 1878 r. Turcja i Rosja i podpisały traktat pokojowy w San Stefano. Przyparci do muru Osmanowie zgodzili się na niepodległość Czarnogóry, Serbii, Rumunii oraz na wycofanie swoich wojsk z Bułgarii. Wszystko to niebywale wzmacniało pozycję Rosji na Bałkanach. Traktat nigdy jednak nie wszedł w życie. Sprzeciwiła mu się Wielka Brytania, która zabiegała o zwołanie nowego kongresu pokojowego. Latem 1878 r. odbył się więc kongres berliński, a ustalone na nim warunki zakończenia wojny były znacznie mniej korzystne dla Rosji i Bułgarii – mocarstwa zgodziły się na utworzenie niezależnego Księstwa Bułgarii, ale o znaczenie mniejszych w stosunku do poprzedniego traktatu granicach. (TT)



❖ Scena z wojny rosyjsko-tureckiej; obraz Michaiła Małyszewa, XIX w.

o respektowanie ich prawa do równości i wolności, niejednokrotnie linczowali, w czym z jak najgorszej strony dała się poznać organizacja o nazwie Ku-Klux-Klan.

Zniesienie niewolnictwa w Ameryce Północnej było podsumowaniem dziejów ruchu abolicjonistów, którego początki datujemy na połowę XVIII w. W 1794 r. francuska rewolucja wprowadziła zakaz handlu niewolnikami i zniosła niewolnictwo w imperium francuskim, ale Napoleon przywrócił stare prawa. Zakaz handlu niewolnikami przez obywateli brytyjskich Londyn wprowadził w 1807 r., a zniesienie niewolnictwa nastąpiło w 1833 r. Wcześniej uczyniły to Chile i Meksyk, a najpóźniej Brazylia, gdyż dopiero w 1888 r. Likwidacja niewolnictwa spowodowała tam zapotrzebowanie na siłę roboczą, co skłoniło władze do prowadzenia intensywnej propagandy imigracyjnej w Europie. Na ziemiach polskich wywołało to tzw. gorączkę brazylijską.

Brzemię białego człowieka. W drugiej połowie XIX w. ostatecznie ukształtowano granice imperiów kolonialnych. Zwolennicy podbojów powiadali, że biały człowiek ma wręcz obowiązek cywilizowania ludów znajdujących się na niższym poziomie rozwoju społecznego i kulturowego. Europejscy kolonialiści czynią dobro, niosąc jednostkom żyjącym w stanie barbarzyństwa nadzieję na dobrą zmianę. Beneficjenci tego humanitaryzmu winni odwdzięczać się białym solidną i sumienną pracą. Zwolennicy ideologii kolonialnej i modnych wówczas koncepcji rasowych wykorzystali m.in. teorię ewolucji Charlesa Darwina (1809–82), dowodząc, że w wyniku historycznego rozwoju jedne rasy osiągnęły wyższy poziom intelektualny, a inne musiały zadowolić się niższym. Darwin był zwolennikiem imperialnej polityki Wielkiej Brytanii i brytyjskiego kolonializmu.

Słynny brytyjski pisarz Rudyard Kipling (1865–1936), autor „Księgi dżungli" i laureat Nagrody Nobla (1907), nawoływał swoich rodaków, aby podjęli „brzemię białego człowieka", czyli zwielokrotnili wysiłki na rzecz ucywilizowania świata według najlepszych, bo brytyjskich wzorów. Niższe rasy mają obowiązek udostępniania swoich zasobów rasom wyższym – dowodził. Cecil Rhodes (1853–1902), jeden z autorów brytyjskiego sukcesu w południowej Afryce, podkreślał, że Brytyjczycy są pierwszą rasą na Ziemi: im więcej skolonizują, tym świat będzie lepszy, zasobniejszy i szczęśliwszy. Podobne opinie wyrażali o swoich nacjach i ich misji w świecie Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Niemcy. W celu realizacji tego gigantycznego przedsięwzięcia elity europejskie powoływały liczne stowarzyszenia biznesowe, kompanie handlowe oraz ligi morskie i kolonialne.

Ideologia i interesy. Entuzjaści idei kolonialnej przekonywali, że wielkie narody i wielkie państwa są martwe bez zamorskich posiadłości. Koszty ich podboju i utrzymywania były drugorzędne w porównaniu z korzyściami prestiżowymi i wizerunkowymi. Pracę tysięcy Europejczyków (a potem także np. Japończyków) na rzecz podbojów dodatkowo potęgowała ideologia nacjonalistyczna, a także nadzieja na korzyści ekonomiczne. Liczono na nowe rynki zbytu i źródła cennych surowców. Lecz nie zawsze wydatki i przychody się bilansowały. Korzyści dostarczały metropoliom wyspy na Karaibach, Indie. Straty przynosiły obszary kolonialne w Afryce i Oceanii, aczkolwiek Kongo króla Belgów Leopolda I (pan. 1831–65), a później Belgii, dzięki bezwzględnej i krwawej eksploatacji okazało się dobrą inwestycją.

Niektóre posiadłości miały znaczenie jako bazy wojskowe pozwalające kontrolować szlaki handlowe. Konsekwen-

eprasa.pl 37c4d1858f

tnie nad tym pracowali zwłaszcza Brytyjczycy. Zdobyli Gibraltar, Maltę i Cypr na Morzu Śródziemnym, przejęli kontrolę nad Kanałem Sueskim, Aden przekształcili w potężną twierdzę nadzorującą cieśninę między Morzem Czerwonym i Oceanem Indyjskim. Podobną funkcję spełniały Cejlon i Singapur na drodze ku Indiom, Chinom, Japonii i Australii.

Chiny: opium, powstania, republika. Spragnieni dalszych sukcesów Brytyjczycy zaczęli spoglądać na Chiny, najludniejszy kraj świata. W pierwszej kolejności planowali przekonanie cesarzy do otwarcia portów, ale ci wyrazili zgodę jedynie na udostępnienie Kantonu. Chińczycy zbudowali swój własny, oryginalny świat i nie chcieli się nim z nikim dzielić. Byli przekonani o sile i samowystarczalności Państwa Środka.

Za towary nabywane od Chińczyków Brytyjczycy płacili srebrem, następnie coraz częściej opium, które stało się popularne w nadmorskich rejonach Chin. Palenie tej substancji powodowało degrengoladę fizyczną i umysłową oraz szybką śmierć. Cesarz postanowił temu przeciwdziałać i jego urzędnicy spalili w 1839 r. brytyjskie magazyny w Kantonie, gdzie składowano opium. Odpowiedź była natychmiastowa. Na Chiny ruszyła marynarka wojenna wyposażona w doskonale uzbrojone parowce, które dosłownie rozstrzelały flotyllę chińską. Warunki pokoju dla dumnego cesarstwa były upokarzające. Chiny wyraziły zgodę na otwarcie kilku portów oraz na odstąpienie Brytyjczykom portu w Hongkongu „na wieczne czasy".

Ustępstwa chińskiego rządu (także wobec Francuzów i – to nowość – Amerykanów, orędowników tzw. doktryny otwartych drzwi), połączone z fiskalizmem cesarskich urzędników, doprowadziły do wybuchu powstania tajpingów (boskich wysłanników, 1851–64). Ostatecznie zwyciężyły wojska cesarskie, ale wiele wsi zniknęło z powierzchni ziemi, a mnóstwo urządzeń irygacyjnych przestało funkcjonować. Pod koniec XIX w. także Niemcy, Japończycy i Rosjanie uzyskali przyczółki na chińskim wybrzeżu. W 1898 r. uczestnicy tzw. powstania bokserów wezwali krajan, aby przepędzili „zamorskie diabły". Przegrali jednak z wojskami mocarstw imperialnych. Klęska powstańców doprowadziła do jeszcze głębszego uzależnienia Chin, aczkolwiek formalnie pozostawały państwem niepodległym. Chińczycy mieli już dość skorumpowanej i bezwolnej cesarskiej administracji i samych cesarzy. Zorganizowali kolejne powstanie, a w 1911 r. ogłosili powstanie Republiki Chińskiej. Prezydentem został demokrata Sun Jat-sen, ale walki wewnętrzne trwały dalej, kraj pogrążał się niebycie. Korzystając ze stanu anarchii, Tybet w 1913 r. ogłosił niepodległość, aczkolwiek Pekin nigdy tego nie uznał.

Japonia: modernizacja i ekspansja. Doktrynę otwartych drzwi Amerykanie zastosowali także wobec Japonii. Dwukrotna zbrojna manifestacja ich marynarki wojennej (1853 i 1854) skłoniła szoguna z rodu Tokugawa do wyrażenia zgody na otwarcie dwóch, a następnie kolejnych portów. Skorzystali na tym także Brytyjczycy i Francuzi. Jednak Japończycy, inaczej niż Chińczycy, postanowili jak najszybciej poznać tajemnice sukcesów technologicznych i organizacyjnych Europejczyków i Amerykanów. W świat skierowano tysiące młodych mieszkańców wysp, którzy zaznajamiali się z zachodnią kulturą i cywilizacją.

Japońskie elity zrozumiały też, że jeśli nie przeprowadzą głębokich reform w państwie, to jego los nie będzie lepszy niż Chin. W 1868 r. na drodze pałacowego przewrotu szogun został odsunięty, a realną władzę uzyskał 16-letni cesarz Mutsuhito (pan. 1867–1912). Bez jego pozycji w państwie (boskiego charakteru władzy) przeprowadzenie tak rozległych reform w tak szybkim tempie nie byłoby możliwe. Rozpoczęła się epoka Meiji, światłych rządów. Naczelnym hasłem reformatorów było: naśladować Zachód, aby mu dorównać. Stworzono monarchię konstytucyjną z silną władzą panującego. Zniesiono poddaństwo i wprowadzono równość wszystkich wobec prawa. Rozbudowano przemysł, unowocześniono rolnictwo, stworzono nowoczesną armię, przeprowadzono reformy obyczajowe. Lecz zachodnie stroje, maniery i fryzury to był jedynie pokost. Natura Japończyków nie uległa zmianie i to tradycje samurajskie inspirowały twórców armii lądowej i marynarki wojennej. Spośród narodów azjatyckich tylko Japończycy przeprowadzili tak rozległą westernizację, tworząc nowoczesne państwo zdolne do ekspansji.

W latach 1894–95 uderzyli na chińskie wojska i zajęli Tajwan. Dla Chińczyków klęska z rąk „młodszego brata" była szczególnie dotkliwa. Teraz Japończycy uwierzyli, że mogą jeszcze więcej, i rzeczywiście, w kolejnej wojnie (1904–05) pokonali Rosję, co stało się światową sensacją. Japonia nie tylko obroniła suwerenność, ale też uzyskała status mocarstwa. Następstwem wojny z Rosją było umacnianie się Japończyków w Chinach oraz przejęcie pełnej kontroli nad cesarstwem koreańskim.

Kolonialna dogrywka. W latach 70. oraz 80. XIX w. rozpoczęło się tzw. rozdrapywanie Afryki, kontynentu, który nie budził wcześniej większych emocji. Konsekwencje tej kolonialnej dogrywki potwierdziła międzynarodowa konferencja w Berlinie (1884–85). Do końca stulecia prawie cały kontynent został podzielony. Do 1914 r. jedynym suwerennym państwem w Afryce pozostało cesarstwo etiopskie, o starożytnej tradycji chrześcijańskiej, które jako jedyne powstrzymało

Nowy papież



❖ Papież Leon XIII, 1878 r.

W pierwszym zdaniu „Lalki" Bolesław Prus informuje, że świat w 1878 r. zajmował się wyborem nowego papieża. Istotnie, 20 lutego 1878 r., po śmierci Piusa IX, konklawe wybrało na głowę Kościoła Gioacchina Pecciego, który przyjął imię Leona XIII. Choć jawił się on watykańskim dostojnikom jako kandydat przejściowy (w chwili wyboru miał aż 68 lat), jego zaskakująco długi, trwający ćwierć wieku pontyfikat zapoczątkował nową erę w dziejach Kościoła. Leon XIII przeszedł do historii jako pierwszy papież, który nawiązał dialog z nowoczesnością. W encyklice „Rerum novarum", która położyła podwaliny pod społeczną naukę Kościoła, skrytykował zarówno drapieżny kapitalizm, jak i doktrynę socjalistyczną. Opowiedział się za prawami ludzi pracy i domagał się godziwej płacy dla robotników. Prawdziwą sensacją było otwarcie w 1883 r. Tajnych Archiwów Watykańskich, umożliwiające dostęp do nich wszystkim naukowcom niezależnie od wyznania. (TT)

eprasa.pl 37c4d1858f

zbrojny atak kolonizatorów włoskich. Pokonanie wojsk Rzymu pod Aduą w 1896 r. przez armię cesarza Menelika II (pan. 1889–1913) wywołało wstrząs polityczny w Italii.

Poza tym istniała Liberia utworzona przez byłych afrykańskich niewolników, którym Amerykanie przyznali wolność. Założyciele państwa zachowywali się wobec miejscowej ludności tak jak plantatorzy amerykańskiego Południa wobec niewolników. Kraj, formalnie niepodległy, był faktycznie zależny od Stanów Zjednoczonych. To przyczółek przyszłej amerykańskiej penetracji kontynentu. Formalnie suwerenny, ale coraz bardziej kontrolowany przez Londyn był też Egipt (w 1914 r. ogłoszono go protektoratem brytyjskim); niezależna, jako brytyjskie dominium, była Unia Południowej Afryki.

Imperialny ranking. Najrozleglejsze imperium stworzyli Brytyjczycy, stąd opinia, że nigdy nie zachodziło nad nim słońce. Było ono zróżnicowane ze względu na stopień podległości metropolii poszczególnych obszarów. Jednym Korona Brytyjska nadawała wewnętrzną autonomię, pozostawiając w protektoratach sądy i administrację w rękach lokalnych elit, zadowalając się kontrolą ekonomiczną, polityczną i wojskową. Obszary, które uznała za słabiej rozwinięte cywilizacyjne, traktowała jako kolonie, w których władzę sprawowali urzędnicy z metropolii. W skład imperium wchodziły też terytoria, które formalnie były niezawisłe, ale dzięki sieci powiązań ekonomicznych i wojskowych stały się zależne od Londynu, jak choćby niektóre państwa arabskie na Bliskim Wschodzie. Wreszcie na obszarach skolonizowanych przez Brytyjczyków powstawały dominia, czyli niezależne państwa powiązane z metropolią osobą monarchy, jak Kanada, Australia, Nowa Zelandia i wspomniana bursko-brytyjska Unia Południowej Afryki. Francuzi, właściciele drugiego co do wielkości imperium kolonialnego, mieli protektoraty i kolonie, ale nie utworzyli dominiów.

W drugiej połowie XIX w. rozległe w poprzednich stuleciach imperia hiszpańskie i portugalskie przestały odgrywać poważniejszą rolę polityczną wśród państw kolonialnych. Do 1914 r. zachowały już niewiele terytoriów. Więcej posiadała Portugalia, a to dzięki temu, że jej kolonie w Afryce (na czele z Mozambikiem i Angolą) zostały ekonomicznie uzależnione od Londynu. Natomiast Holendrzy utrzymali przede wszystkim Indie holenderskie (obecnie Indonezja), wyspy na Karaibach i część Gujany.

W końcu XIX w. cesarskie Niemcy uznały, że skoro są mocarstwem, to muszą mieć kolonie. W ciągu niewielu lat zdobyły terytoria w Afryce (Tanganika, Togo, dzisiejsza Namibia, część Kamerunu) oraz wyspy na Pacyfiku. Dysponowały również portami w Chinach. Nie było to mało, ale imperialistyczne i nacjonalistyczne koła w Berlinie uważały, że Rzeszy należy się znacznie więcej, że Francuzi i Brytyjczycy powinni się z nią podzielić kolonialnym tortem. Także Włosi włączyli się do międzynarodowej ekspansji poza Starym Kontynentem, ale się spóźnili, gdyż świat był już podzielony i jedynie w rogu Afryki przejęli Erytreę i część Somalii, a w przeddzień wybuchu Wielkiej Wojny opanowali pustynną Libię.

Zadowolenie jednych i niezadowolenie innych prowadziło do narastania napięć między metropoliami. W niejednym przypadku groziło to wojną. Ale z reguły kończyło się na negocjacjach i uzgodnieniu zapisów kompromisowych, choć kosztem słabszych.

Andrzej Chwalba

Pełny tekst artykułu ukazał się w Pomocniku Historycznym „Piękna epoka. Historia XIX w." (3/2021)



❖ Atak z 2 czerwca 1878 r., ilustracja prasowa.

Zamachy na Wilhelma I

W 1878 r. doszło do aż dwóch zamachów na życie cesarza niemieckiego Wilhelma I. Pierwszy miał miejsce 11 maja w Berlinie. Cesarz jechał otwartym powozem reprezentacyjną aleją Unter den Linden, gdy w jego kierunku padły strzały z rewolweru. Wilhelmowi nic się nie stało, ale zabłąkana kula ugodziła jednego z przechodniów, który rzucił się na pomoc władcy. Zamachowcem okazał się Emil Max Hödel, w młodości związany z socjaldemokracją jako członek Powszechnego Niemieckiego Związku Robotników. Został ujęty na miejscu, skazany na śmierć przez ścięcie i stracony.
Do drugiego zamachu doszło niespełna miesiąc później, 2 czerwca, również na Unter den Linden. Strzały z okna jednej z kamienic oddał Karl Nobiling. Zamachowiec posłużył się strzelbą nabitą śrutem, więc choć kulki dosięgły celu, Wilhelm odniósł tylko niewielkie obrażenia. Chwilę później Nobiling, który również miał związki z socjaldemokracją, popełnił samobójstwo. Oba zamachy stały się pretekstem dla kanclerza Ottona von Bismarcka do rozwiązania parlamentu i delegalizacji Socjaldemokratycznej Partii Robotników Niemiec. (TT)

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: – Z tym wszystkim – wtrąciłem – widzę w jego postępowaniu wiele sprzeczności... – Nic dziwnego – przerwał doktór. – Stopiło się w nim dwu ludzi: romantyk sprzed roku sześćdziesiątego i pozytywista z siedemdziesiątego. To, co dla patrzących jest sprzeczne, w nim samym jest najzupełniej konsekwentne.



❖ Stańczyk Leona Wyczółkowskiego, 1898 r. Tym obrazem malarz odpowiadał niechętnym przemianom społecznym konserwatystom, którym nadał wygląd marionetek.

Myśleć i pracować

Odpowiedzią na klęskę powstania styczniowego był m.in. pozytywizm. Znany głównie w postaci literackiej, był tak naprawdę przeniesieniem zakazanej polityki w sferę zajęć codziennych, z pozoru przyziemnych.

Adam Kożuchowski

Epoka pozytywizmu. Z grubsza trzy dekady, jakie nastąpiły po powstaniu styczniowym, nazywa się w historii Polski epoką pozytywizmu. Trochę paradoksalnie, określenie to zaczerpnięte z historii kultury, a właściwie filozofii, świadczy właśnie o bezwzględnej dominacji polityki w naszym patrzeniu na przeszłość. Ponieważ w zaborze rosyjskim aktywność stricte polityczna została w owym czasie niemal stłumiona przez carskie represje, polityka przeniosła się w sferę spraw, jak to wtedy mawiano, małych. Patriotyzm, wyładowujący się przedtem w spiskach, manifestacjach, petycjach, marzeniach o rychłym odzyskaniu niepodległości, a w końcu też w walce zbrojnej, rozlał się teraz na edukację, kulturę, medycynę, aktywność gospodarczą oraz wszelkie, nawet najdrobniejsze, formy stowarzyszania się. Całe życie społeczne, a wraz z nim życie jednostek stało się terenem walki o polskość i tzw. lepsze jutro.

Polska przestała być społeczeństwem stanowym, w którym politykę uprawiała wyłącznie szlachta: odtąd polityka stała się sprawą wszystkich, bo wszyscy mieli być narodem, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedzieli. Tak to przynajmniej widzieli pozytywiści, sami siebie określający mianem „młodych” i nad wyraz krytycznie odnoszący się do „starych”. Była to kolejna trwała zmiana, jaką pozytywizm wniósł w naszą historię: odtąd już zawsze jacyś młodzi spoglądali z góry na jakichś starych. „Postęp biegnie tak szybko – pisał Aleksander Świętochowski, patron i ideolog ówczesnych młodych – obowiązki jednostek tak wielkie, że ci, co wstąpili później do wielkiej pracowni ducha, zaledwie mają czas obejrzeć się na tych, co przed nimi byli”. W porównaniu z postępowcami, jacy mieli przyjść później, w sumie łagodnie.

Między „Panem Tadeuszem” a „Lalką”. Jeszcze jedna ważna rzecz zaczęła się w naszej historii wraz z pozytywizmem: zapatrzenie na Zachód. Tak jak wcześniej z szacunkiem odnoszono się do siwych głów i tradycji, tak też bez specjalnych kompleksów spoglądano na zagranicę.

eprasa.pl 37c4d1858f

Co prawda romantycy również, może nawet z większym hukiem, ogłosili się młodymi, ale z uwielbieniem odnosili się do narodowej przeszłości, a wyjątkowością polskiej kultury i tradycji egzaltowali się jak nigdy wcześniej ani później.

Wedle Adama Mickiewicza i Joachima Lelewela byliśmy ojczyzną wolności i swobód już za Piasta, a za ich życia awansowaliśmy na Chrystusa narodów. Spacerując po Petersburgu, wieszcz Adam nie dostrzegał wspaniałej architektury ani tryumfu człowieka nad przyrodą, lecz męczeństwo jego budowniczych i upodlenie mieszkańców przez carską tyranię. Dumając na paryskim bruku, widział małość Francuzów zaprzątniętych dorobkiewiczostwem i ohydę wielkiego miasta (rzeczywiście, Paryż wówczas potwornie śmierdział) – i z utęsknieniem wspominał sielankę kresowego dworku. Bolesław Prus „w każdym obcym kraju coraz lepiej poznawał wady własnego społeczeństwa i dostojność wyższej cywilizacji". Pierwszy twierdził, że bezchmurne niebo Italii nijak się ma do malowniczych litewskich obłoków; drugi kazał panu Wokulskiemu spekulować, czy to nie drobna różnica średniej temperatury rocznej między Paryżem a Warszawą sprawiła, że Francuzom wszystko się udaje, a nam idzie jak po grudzie.

Coś się przez to czterdziestolecie między „Panem Tadeuszem" a „Lalką" przestawiło na mentalnej mapie Polaków: Zachód popędził do przodu, my dreptaliśmy w miejscu, wykrwawiając się w bezsensownych walkach powstańczych: „Ze zdumiewającym fanatyzmem walczyliśmy przeciw prawom czasu, nie wiedząc lub nie dbając, że jego postęp zmiata nas".

Nowe elity. Fakty były nieubłagane, i kiedy pierwsze łzy po powstańczej klęsce obeschły, nie dało się już dłużej ich nie dostrzegać. Unikatowość polskiej tradycji opierała się na kulturze szlachecko-ziemiańskiej, a ziemiaństwo cienko przędło już przed powstaniem. Zniesienie granicy celnej z Rosją i uwłaszczenie chłopów przyśpieszyło kapitalistyczną transformację: szlachta masowo pakowała rodzinne pamiątki, sprzedawała zadłużone majątki i przenosiła się do miast. Szybko kurczyła się jej, niegdyś niezmierzona, przewaga ekonomiczna nad chłopstwem, a z drugiej strony kłuły ją w oczy błyskawicznie rosnące fortuny fabrykantów, bankierów, kupców. Nowa elita finansowa – Kronenberg (art. s. 20), Bloch, Scheibler – ani nie nosiła polskich nazwisk, ani nie szczyciła się szlacheckim pochodzeniem. Cywilizacja przemysłowa – z jej technicznymi wynalazkami – była towarem importowanym. Walka o wolność przyniosła tragiczną katastrofę, cywilizacja przynosiła niewyobrażalne zmiany na lepsze w życiu codziennym: kolej, telegraf, gaz, elektryczność, szczepionki i dziesiątki innych udogodnień. Wszystko to budziło zachwyt i gorycz zarazem, ponieważ w Polsce występowało w ilościach śladowych w porównaniu z Zachodem.

Wybić się na nowoczesność – wzorem Zachodu. Program pozytywistów sprowadzał się do dwóch konstatacji. Po pierwsze: nie możemy wybić się na niepodległość walką zbrojną i konspiracją, trzeba je więc natychmiast porzucić; możemy jednak wybić się na nowoczesność i w ten sposób jakoś ocalić narodową tożsamość – choćby poprzez skupienie patriotycznych wysiłków wokół tego celu. Nazywało się to w języku epoki: trzeźwością, realizmem i dążeniami ziszczalnymi.

Po drugie: drogą do osiągnięcia tych celów musi być uczenie się od Zachodu, transformacja mentalności i struktury społecznej na wzór krajów wyżej cywilizacyjnie rozwiniętych. „Trzeba przebić więcej okien do Europy i dozwolić jej prądom, ażeby przewiały naszą duszną chatę" – pisał Aleksander Świętochowski, a Bolesław Prus dodawał: „Dopiero pod wpływem ogólnie ludzkiej kultury wszelki patriotyzm nie tylko pozbywa się cech ostrych, a nawet dzikich, ale jeszcze na tle powszechnego życia staje się oryginalnością piękną i użyteczną". Dobrobyt i potęga Zachodu nie zostały zbudowane bohaterstwem ani walką orężną – wskazywali pozytywiści – lecz ciężką pracą oraz racjonalnym wykorzystaniem dobrodziejstw postępu naukowego.

Nauka, głupcze! Nauka bowiem była właściwą religią pozytywistów – tych oryginalnych, których Polacy naśladowali w pewnych sprawach nieśmiało, w innych twórczo. Pozytywizm zachodni był nurtem czysto intelektualnym, wyrosłym z fascynacji niesamowitym postępem nauk przyrodniczych w XIX w. Jego ojciec, August Comte, postulował zorganizowanie całej wiedzy ludzkiej na ich wzór. Światem rządzą niezmienne prawa, które odkrywa nauka za pomocą metody eksperymentalnej, twierdził Comte, trzeba więc za pomocą tej metody badać również świat społeczny – a wkrótce wszędzie nastąpi tu równie efektowny postęp co w biologii, chemii lub fizyce (dlatego uznaje się Comte'a za ojca socjologii, choć dał on tylko mglisty i, jak widać, dość naiwny zarys zadań tej nauki).

We Francji, ojczyźnie „filozofii pozytywnej", jej wyznawcy szybko znaleźli się na pierwszej linii walki o laicyzację państwa. Kiedy uczniowi Comte'a Emilowi Littré zaproponowano miejsce w Akademii Francuskiej, biskup Dupanloup demonstracyjnie z niej wystąpił, byle tylko nie dzielić tego zaszczytu z osławionym bezbożnikiem. (Littré nie ugiął się nawet przed masonami: gdy rozważano jego kandydaturę do jednej z lóż, musiał oficjalnie zadeklarować, czy wierzy w Najwyższą Istotę – ale odmówił, stwierdzając, że nauka nic o takowej nie wie). Hipolit Taine elektryzował rodaków stwierdzeniami w rodzaju tego, że sumienie jest „produktem przyczyn naturalnych, jak cukier i kwas siarczany". Ernest Renan prorokował, że uczeni staną się wkrótce „bogami": posiądą środki do zniszczenia całej planety i zaprowadzą „terror absolutny" – w typowy dla pozytywistów sposób doceniając wiedzę i przeceniając umiejętność jej spożytkowania.

Rzecz jasna, polscy pozytywiści nie posuwali się tak daleko; próżno by wśród nich szukać jawnych bezbożników. Trudno im się zresztą dziwić: Polska miała wówczas o wiele pilniejsze problemy niż kwestia istnienia Boga bądź składu chemicznego duszy. Naturalnie nie uchroniło ich to od zjadliwych ataków konserwatystów, a największe zgorszenie budziła – jakżeby inaczej – teoria ewolucji. „Niech zwierz wam książkę napisze, (…) uwierzym wam wtedy, że małpy nasze siostry" – drwili z postępowych „półmędrków" poeci. Teofil Ziemba, autor dzieła „Pozytywizm i jego wyznawcy w dzisiejszej Francji", wydanego w 1872 r., stwierdzał, że na tę „mniemaną nową filozofię" składały się „materyalizm, ateizm, socyalizm, skeptycyzm i sofisteria". Pozytywiści odgryzali im się ostro, krytykując zaściankową mentalność: „Ze źródeł czystej, żadnymi przesądami niezmąconej wiedzy pijemy niechętnie i przenosimy nad nie swojskie bagienka pod stopami kapliczek. Owszem, nie gardźmy żadną, nawet najbardziej zamuloną krynicą, ale każdą wyszlamujmy".

Fascynacja Anglią. Fascynacją polskich pozytywistów (francuskich zresztą też) była Anglia: kraj, który rozwój nauki i przemysłu uczynił w drugiej połowie XIX w. bezsprzecznie

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Pocztówka obrazująca działalność oświatową Towarzystwa Szkoły Ludowej.

najpotężniejszym na świecie, unikając przy tym rewolucji i przewrotów w stylu francuskim. Uważni czytelnicy „Lalki" oraz „Emancypantek" pamiętają, że anglomania była w Polsce lat 1870–90 szczytem mody. Z autorów angielskich największym autorytetem cieszyli się Herbert Spencer i Henry Thomas Buckle: ich pisma miały status biblii wyznawców postępu. Spencer obwieszczał, że nauka długo była Kopciuszkiem – dawała się terroryzować swoim głupszym siostrom: religii, tradycji, władzy – ale Kopciuszek dość ma już wysługiwania się im i wysłuchiwania ich komunałów: przed nami era rządów nauki. Buckle w „Historii cywilizacji w Anglii" wywodził, że historia również powinna być nauką ścisłą (przede wszystkim dzięki statystyce) – i przedstawiał dzieje swego kraju, któremu cały świat tak zazdrościł sukcesów – jako nieprzerwany tryumf zasady postępu.

W poszukiwaniu bazy społecznej. Pozytywiści byli świadomi, że modernizacja Polski będzie zadaniem niesłychanie trudnym, którego realizacji sami najpewniej nie doczekają. Jeśli jednak Polacy jako społeczeństwo się nie zmodernizują, to, pozbawieni własnego państwa, zamienią się, jak to ujmował Prus, w „polskich Chińczyków, to jest – wynarodowią w najgorszy sposób". Chiny były bowiem w XIX w. symbolem społeczeństwa, które pozwoliło się ujarzmić obcym właśnie poprzez uparte trwanie przy narodowych tradycjach, obiektem drwin i zarazem bezwzględnej eksploatacji Europejczyków. Takie były prawa postępu: kto nie idzie naprzód, ten de facto się cofa. Przekonanie, że jeśli Polacy nie włączą się do cywilizacyjnego wyścigu, czeka ich smutny los Chińczyków lub może nawet amerykańskich Indian, ufundowane też było na teorii ewolucji i naturalnego doboru: historia tych narodów zdawała się potwierdzać, że kto się nie udoskonala, ten po prostu ginie.

Determinację pozytywistów zwiększało i to, że wiedzieli, iż mają w społeczeństwie polskim potężnych wrogów, że ich program zrealizować można tylko po trupie mentalności ówczesnych elit, „chińskim murem odgrodzonych od każdej nowej myśli". Baza społeczna pozytywistów była przecież bardzo szczupła: nie przypadkiem przeszli do historii jako pozytywiści warszawscy, bo poza Warszawą nie istniały właściwie w zaborze rosyjskim skupiska ludzi wykształconych, podatnych na nowe idee. Naturalną elitą społeczeństwa pozostawała wciąż ziemiańska szlachta, którą wychowanie i sytuacja ekonomiczna popychały w stronę konserwatyzmu: rozkręcający się kapitalizm był przecież śmiertelnym zagrożeniem dla jej stylu życia i uprzywilejowanej pozycji.

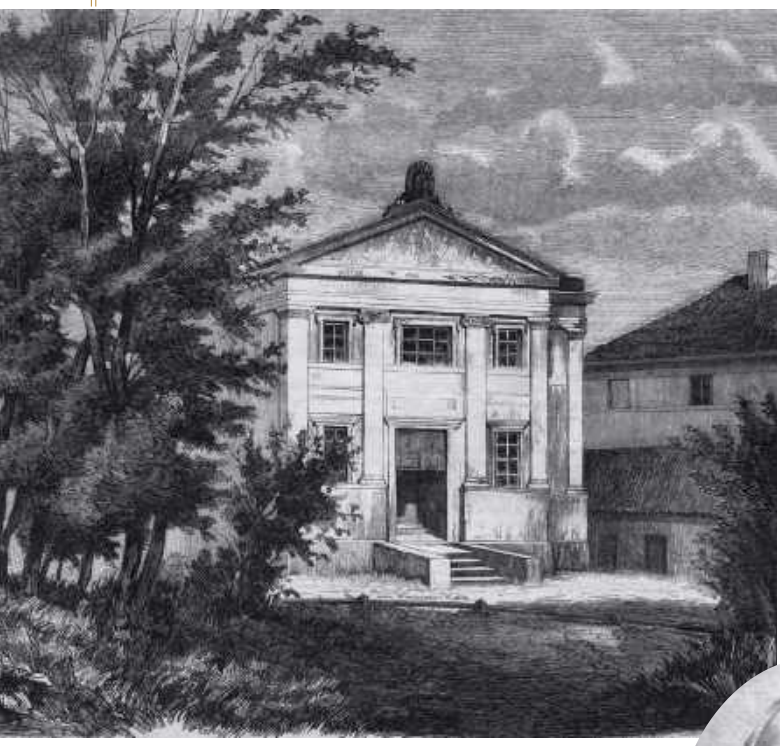
Po zniesieniu pańszczyzny to ziemianie poczuli się skrzywdzeni. Pozytywiści boleśnie odczuwali, że ze strony klas posiadających nie mogą liczyć na wiele wsparcia; Świętochowski skwitował to odczucie w słynnym artykule pod wymownym tytułem „Absenteizm", w którym oskarżał je o uchylanie się od patriotycznych obowiązków, o obojętność wobec programu pracy organicznej. Świadomi, że nawrócenie na patriotyzm chłopów zajmie pokolenia, zwracali się też do grup pozostających dotąd poza społeczeństwem polskim, przede wszystkim Żydów (a także i kobiet). Paradoksalnie to właśnie asymilacji Żydów (art. s. 72) do polskości, propagowanej przez pokolenie pozytywistów, zawdzięczamy narodziny nowoczesnego antysemityzmu à la Roman Dmowski w pokoleniu następnym.

Warszawa – Kraków. Na tle programu społecznego pozytywistów zaznaczała się też różnica między Warszawą i Krakowem, która nigdy chyba nie była tak bolesna i wyraźna jak w trzeciej ćwiartce XIX w. Tzw. pozytywiści warszawscy (czy szerzej: z zaboru rosyjskiego) zgadzali się z tzw. krakowskimi Stańczykami w jednym: że „nauczyliśmy się wspaniale ginąć, ale nie umieliśmy nigdy rozumnie żyć"; że „konspiracja ma absolutną niesłuszność", a „Polska leży, jak Łazarz, między dwoma oprawcami – nie daje jej spokoju spisek z jednej, a Moskwa z drugiej strony".

Stańczycy – tacy jak Paweł Popiel, Józef Szujski czy Stanisław Tarnowski – potępiali walkę zbrojną jako drogę wybicia się na niepodległość może nawet silniej, bo sami mieli za sobą epizody powstańcze, a ponadto mieli w tym polityczny interes. Galicyjscy ugodowcy wytargowali u Franciszka Józefa autonomię i objęli rządy w kraju, ponieważ Austria nie czuła się na siłach dłużej germanizować Galicji – i ponieważ miały to być rządy konserwatywne, miłe zapatrywaniom politycznym Najjaśniejszego Pana i zgodne z interesami ziemiaństwa. Tę politykę Świętochowski komentował brutalnie: „Nie trzeba z ludzi robić psów strzegących cudzego podwórka i cudzego spichrza".

Przez zaciśnięte zęby. Pozytywiści mieli do dyspozycji jedynie literaturę (przede wszystkim Prusa i Elizę Orzeszkową, a także Henryka Sienkiewicza sprzed Trylogii) oraz cenzurowane gazety: „Przegląd Tygodniowy", „Niwę", „Ateneum". Można więc powiedzieć, że do końca nie wiemy, czego chcieli i co głosili: ich pisma trzeba czytać między wierszami, tam gdzie nie dojrzał cenzor. Jedynie hasła modernizacyjne można było głosić w Rosji w miarę otwarcie, jeśli tylko złego słowa nie napisało się o rządzie ani nie ocierało o bluźnierstwo w kwestiach religijnych. Świętochowski, w latach 70. przywódca „młodej drużyny pisarzów", pogromca szlachetczyzny i romantycznych mrzonek, w anonimowej broszurze wydanej w Krakowie (a więc za granicą) z okazji wstąpienia na tron cara Mikołaja II pisał: „Przysięgamy ci, cesarzu (…), że do ostatniego tchu zostaniemy Polakami, że będziemy zawsze wierni ideałom naszego narodu, że kochać będziemy nasz język i przeszłość, że nie wyrzeczemy się niczego, co stanowi naszą istotę i co jest nam drogie".

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Gmach warszawskiej Szkoły Głównej; rysunek Ksawerego Pillatiego, 1866 r.

Ta deklaracja pokazuje, że pozytywizm zrodził się nie tylko z tego, czego rzeczywiście pragnięto, ale i z tego, czego pragnąć było nie sposób. Warto pamiętać, że entuzjastyczne deklaracje pozytywistów wypowiadano, w gruncie rzeczy, przez zaciśnięte zęby, a wiele ich modernizacyjnych postulatów było niemożliwych do spełnienia z przyczyn od społeczeństwa polskiego niezależnych. Choćby dlatego, że po zamknięciu warszawskiej Szkoły Głównej nie było w zaborze rosyjskim ani jednej polskiej szkoły wyższej. Za ambitnymi hasłami kryło się pragnienie, aby „przeżyć i nie przestać być sobą". Były to czasy – jak to ujął Bolesław Prus – „pośrednie między sielanką a bitwą, kiedy ani żyć nie można z uśmiechem, ani ginąć z honorem, tylko pracować i pracować…".

Religia pracy. Wartością, którą pozytywiści najgorliwiej hołubili, była bowiem praca. Należało być użytecznym dla społeczeństwa – we własnym interesie, społeczeństwo to bowiem organizm, element świata przyrodniczego. Pogląd ten miał swe źródła w doktrynie zwanej utylitaryzmem, której najsłynniejszym wyrazicielem był John Stuart Mill. Mill patronował też idei emancypacji kobiet – głoszonej w imię walki z przesądami i ideałów równościowych, ale też właśnie w imię „religii pracy". Emancypantkom polskim (art. s. 34) nie obiecywano przecież praw politycznych, bo tych nie mieli także mężczyźni; zachęcano je, aby się uczyły i aby pracowały. „Myśl swobodna musi być wszędzie demokratyczną – pisał Świętochowski – bo przywileje zastępuje równouprawnieniem, szlachectwo – zasługą, a zbytek – pracą".

Sam pomysł, żeby pracę postawić na piedestale cnót narodowych, był jednak policzkiem wymierzonym szlacheckiej tradycji, która pracę uważała za zajęcie dobre wyłącznie dla biedaków. Jak pamiętamy z perypetii pana Wokulskiego, ludzie zmuszeni zarabiać na własne utrzymanie nie byli wówczas mile widziani w tzw. wyższych sferach. Tymczasem zdaniem pozytywistów pracować trzeba było nie tylko dla siebie, ale też cały czas mając na uwadze dobro ogółu, „chyląc ku ziemi poradlone czoło". Ich ulubionymi bohaterami byli inżynier, nauczyciel i lekarz, zwłaszcza jeśli los rzucił ich między ludzi biednych i zacofanych. Gwoździem ich programu społecznego – zakładanie wiejskich szkółek i bibliotek, spółdzielni i kółek samokształceniowych dla młodzieży.

Jednym słowem, ich ideałem była praca niewdzięczna, taka, jaką w następnym pokoleniu ukaże Żeromski w „Siłaczce". Mimo to Prus konstatował z satysfakcją, że „naród obudził się, przestał walczyć i spiskować, a zaczął myśleć i pracować". W swym kulcie pracy społecznej i poświęcenia dla ogółu, nawet jeśli społeczeństwo reaguje na nie wzruszeniem ramion, byli pozytywiści po trosze romantykami – i obie te tradycje nałożyły się na to, co znamy (a raczej znaliśmy) jako tzw. etos polskiej inteligencji.



❖ Józef Mianowski, społecznik, lekarz i rektor Szkoły Głównej w latach 1862–69.

Wielkopolskie źródła. Rzecz jasna pomysł, że Polsce poza zastępem bojowników o wolność potrzebne są też szkoły, szpitale, drogi, fabryki i wydajne rolnictwo, nie był żadną miarą wynalazkiem pozytywistów. Powoływali się oni też chętnie na przykłady z przeszłości, przede wszystkim z czasów oświeceniowych reform Stanisława Augusta. Ich ulubionym bohaterem historycznym był chyba Stanisław Staszic – po trosze polityk, uczony, działacz i społecznik. Samo pojęcie pracy organicznej powstało zapewne w Wielkopolsce po powstaniu 1848 r. Tam też powstała pierwsza w Polsce organizacja, która miała to hasło wcielać w życie: Liga Narodowa, dla której inspiracją były również wzory angielskie, a mianowicie Liga Walki z Prawami Zbożowymi, stawiająca sobie za cel zniesienie ceł na zboża, a tym samym obniżenie ich cen. Jej pomysłodawca August Cieszkowski również deklarował, iż jego zamiarem było „wszelkim a wszelkim skrytym knowaniom i spiskom koniec położyć", organizując Polaków do walki o ich prawa i poprawę materialnego statusu na drodze legalnej. Co prawda władze pruskie wkrótce rozwiązały Ligę, ale Poznaniacy kontynuowali jej tradycje aż do końca zaborów.

Trwała zmiana ideałów. Niestety, w zaborze rosyjskim władze nie pozwalały nawet marzyć o podobnym stowarzyszeniu ani przed, ani tym bardziej po powstaniu styczniowym. Namacalnym efektem publicystyki warszawskiego pozytywizmu były głównie inicjatywy edukacyjne, takie jak Kasa im. Mianowskiego oraz tajne nauczanie (z przeważającym udziałem kobiet!); efektem trudnym do zmierzenia – zmiana postaw i sposobu myślenia następnego pokolenia. Zmiana, jak się wydaje, trwała, bo przecież ideały tej formacji intelektualnej wydają się dziś, w sytuacji niewyobrażalnie lepszej, bardziej aktualne niż jakiejkolwiek innej z naszej przeszłości. Być może o słuszności ich postulatów świadczy właśnie fakt, że przerabiany w szkołach pozytywizm większości uczniów wydaje się tak strasznie nudny. A może to ich skromny idealizm pracowitych poświęceń na rzecz ogółu tak nas od nich odstrasza?

Adam Kożuchowski

Artykuł ukazał się w Pomocniku Historycznym „1863. Powstanie styczniowe" (wyd. I – 1/2013, wyd. II – 1/2023).

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: W Anglii!... Tam jeszcze istnieje epoka twórcza w społeczeństwie; tam wszystko doskonali się i wstępuje na wyższe szczeble. Owszem, tam nawet ci wyżsi przyciągają do siebie nowe siły. Lecz u nas wyższa warstwa zakrzepła jak woda na mrozie i nie tylko wytworzyła osobny gatunek, który nie łączy się z resztą, ma do niej wstręt fizyczny, ale jeszcze własną martwotą krępuje wszelki ruch z dołu.



Poruszona drabina społeczna

Gdy przemysłowy kapitalizm w Królestwie Polskim zaczął brać górę nad swojskim feudalizmem, aspiracje nowego społeczeństwa były ciągle zakotwiczone w przeszłości.

Adam Kożuchowski

Gwałtowne zmiany. Półwiecze między powstaniem styczniowym i wybuchem pierwszej wojny światowej to pod wieloma względami okres najintensywniejszych przemian społecznych w dziejach Polski. Rewolucja przemysłowa i demograficzna (w tej epoce ziemie polskie miały najwyższy przyrost naturalny ludności w Europie: całkowita liczba mieszkańców wzrosła blisko trzykrotnie) spowodowały masową emigrację do miast i za ocean. A w zasadzie do niektórych miast: nigdy w historii Warszawa nie miała aż tak wielkiej przewagi nad pozostałymi ośrodkami.

Dekada dzieląca akcję „Lalki” od jej publikacji to czas ostatecznego zwycięstwa produkcji zmechanizowanej i masowej nad rzemieślniczą; jej wartość między 1870 a 1913 r. dla Królestwa Polskiego wzrosła z 64 mln do około miliarda ówczesnych rubli mających pokrycie w złocie. Powstały nowe grupy społeczne – robotnicy fabryczni oraz nowobogaccy przedsiębiorcy, którzy milionowych fortun dorobili się w ciągu jednego życia, umiejętnie inwestując w fabryki, banki i koleje. Zmiany te dotychczasowe elity – arystokracja i ziemiaństwo, kupcy przyzwyczajeni inwestować we wszystko po trochu i mistrzowie cechowi – obserwowały z zaniepokojeniem. W tym samym czasie chłop ładował dobytek na furmankę, jeśli emigrował z rodziną, a jeśli dziewczyna lub chłopak szli do miasta sami, to do przerzucanej przez ramię chusty, i ruszali w drogę.

❖ Salon Deotymy w 1873 r.; obraz nieznanego malarza.

Społeczeństwo przechodzące tak gwałtowne zmiany niełatwo opisać. Zarówno Polacy tamtej epoki, jak i historycy, którzy ją potem analizowali, używali naprzemiennie zestawu pojęć już anachronicznych i nowoczesnych. Wciąż były w użyciu terminy szlachcic i mieszczanin, odsyłające do podziałów stanowych (oczywiście to samo odnosi się do chłopów, czyli włościan), jeszcze przedrozbiorowych, których pozostałości funkcjonowały przecież nadal w obowiązującym rosyjskim prawie. Jak długo bowiem istniało Imperium Rosyjskie, każdy poddany miał w dokumentach wpisaną przynależność stanową, z tym że rosyjskich stanów było

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Czterokonny zaprzęg przed dworem ziemiańskim, przełom XIX i XX w.

więcej: osobny stanowili np. kupcy oraz *jednodworcy*, odpowiednik polskiej szlachty tzw. zagrodowej. Jednocześnie mówiono już i pisano w połowie stulecia o inteligencji, burżuazji oraz proletariacie – warstwach nowych, które na tamte się nakładały.

W warunkach tak szybkich zmian można było czuć się i być uważanym za członka co najmniej dwóch różnych grup czy też klas. Zamożny adwokat mógł być z pochodzenia i w oczach pozostałej na wsi rodziny szlachcicem, jako obywatel miasta mieszczaninem, z racji wykonywanego zawodu inteligentem, a z uwagi na zamożność i tryb życia reprezentantem burżuazji. Pochodzący ze wsi robotnik często formalnie pozostawał włościaninem do końca swych dni (a jeśli jakieś władze zauważyły jego obecność w mieście, zaliczały go do tzw. ludności niestałej).

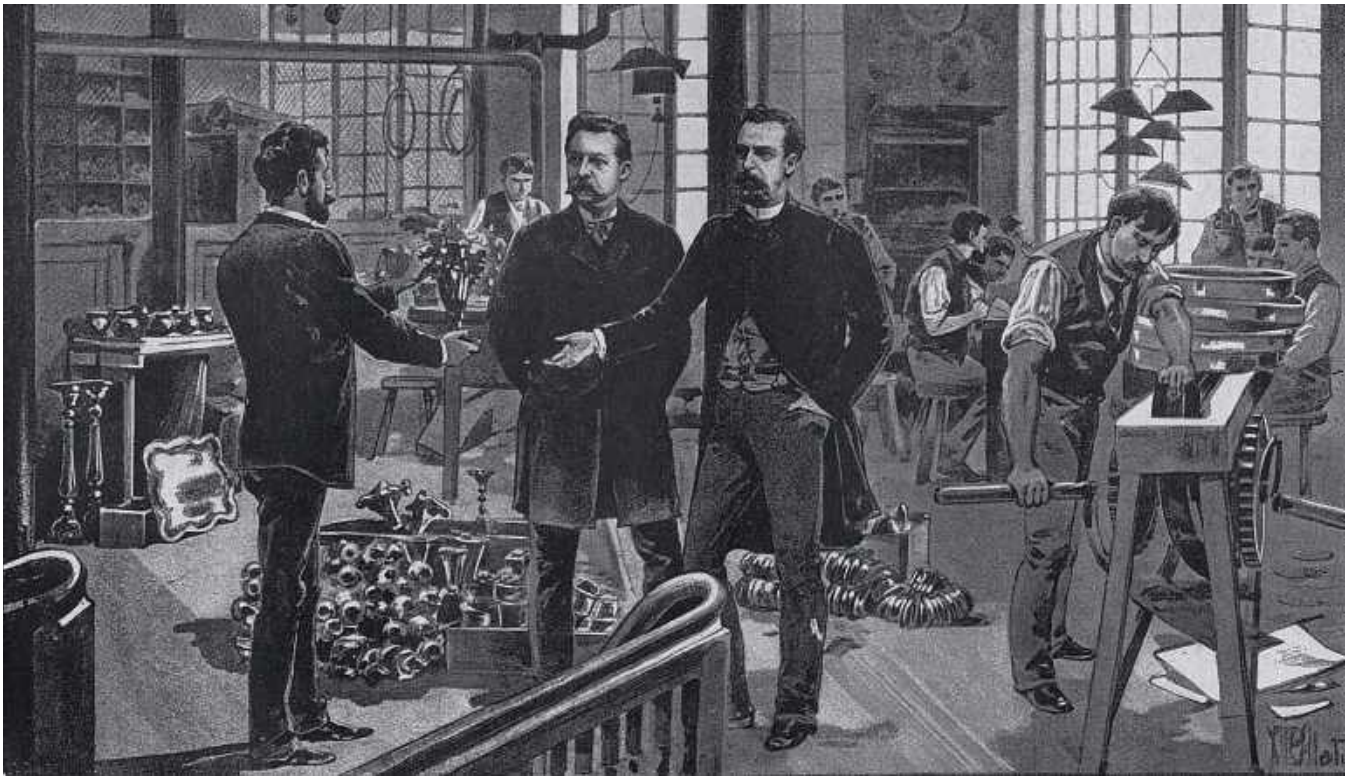
Szlachta – łabędzi śpiew. Imperium Rosyjskie przeprowadziło dwie fale tzw. weryfikacji szlachectwa: na początku wieku i po powstaniu listopadowym. W ich wyniku nawet cztery piąte szlachty utraciło ten status, nie potrafiąc przedstawić stosownych dokumentów. Szlachtę mieszkającą w miastach zapisywano więc do mieszczaństwa, a na wsiach do *jednodworców* (rosyjscy wolni chłopi, najczęściej osadnicy wojskowi), albo nawet do chłopstwa (co potem sprawiło, że część byłej szlachty już jako chłopi domagała się udziału w reformie rolnej). Reformy „cara wyzwoliciela" Aleksandra II, przyznające szlachcie samorząd terytorialny, nie objęły też ani Królestwa, ani zachodnich guberni cesarstwa, gdzie większość szlachty stanowili Polacy. Car słusznie podejrzewał, że polska szlachta nie zasługuje na zaufanie, choć przecież to ta warstwa winna stanowić podporę tronu.

W praktyce po zniesieniu pańszczyzny szlachectwo dawało wciąż przywileje w dostępie do szkół średnich i wyższych, oraz często iluzoryczne zwolnienie od poboru do wojska oraz kar fizycznych (jednak w przypadku buntowników politycznych sądy często najpierw pozbawiały podsądnego szlachectwa, a dopiero potem oddawały go w kamasze lub zakuwały w kajdany). Szlachta osiadła w miastach – korzystając z wyższego kapitału kulturowego – zasilała zawody, które w drugiej połowie stulecia powszechnie nazywano już inteligenckimi. Powoli rozstawała się ze swoją szlachecką tożsamością przechowywaną głównie jako rodzinna tradycja. Tożsamość tę silnie kultywowała tzw. szlachta zaściankowa (chodaczkowa, szaraczkowa itp.) – bo też to było w zasadzie wszystko, co ją odróżniało od chłopów. Natomiast warstwa byłych właścicieli wsi i ziemi, z której odrabiano pańszczyznę, czyli tzw. obywatele ziemscy, nadal w świadomości społecznej stanowiła elitę kraju, choć przez cały czas od zniesienia pańszczyzny do drugiej wojny światowej jej zakres posiadania systematycznie się kurczył. Tylko nieliczni potrafili utrzymać rozległe majątki, co wiązało się na ogół z serdecznym podejmowaniem rosyjskich urzędników, wspólnymi polowaniami i dyskretnym wręczaniem łapówek.

❖ Szlachecka rodzina Kossakowskich w salonie pałacu przy Nowym Świecie, 1895 r.



eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Ludwik Norblin i Teodor Werner w fabryce wyrobów srebrnych i platerowanych; ilustracja prasowa z 1890 r.

Większość ziemian zmuszona była wyprzedawać ziemię – a Rosjanie wprowadzili zakaz nabywania jej przez polską szlachtę, co jak wiemy z powieści Elizy Orzeszkowej i Marii Rodziewiczówny, sprzedaż uczyniło aktem zdrady narodowej (choć tak naprawdę często kupowali ją okoliczni chłopi, a nie rosyjscy osadnicy). Wciąż jednak, jak wspominał Wojciech Kossak, „być obywatelem ziemskim było szczytem marzeń".

Ziemianie kultywowali dawny szlachecki mit, że „my w Polsce jesteśmy jedną wielką rodziną" – co w praktyce przekładało się na silną tendencję do zawierania małżeństw w gronie własnej warstwy, a wśród arystokracji nawet w obrębie rodziny. Jednak Stanisław Wokulski ze swoimi planami matrymonialnymi nie był wyjątkiem, tyle że jego plan na ogół rozpisany był na dwa pokolenia: ambicją zamożnych przedsiębiorców, w tym pochodzenia żydowskiego, było upodobnić się do arystokracji, najlepiej kupując dwór, konie i psy, a następnie żeniąc dzieci z potomkami nobliwej rodziny. Kiedy Bolesław Prus pisał „Lalkę", Jan Gottlieb Bloch – drugi najpotężniejszy przedsiębiorca ówczesnego Królestwa, przechrzta, który kupił sobie tytuł szlachecki, herb oraz rangę urzędniczą odpowiadającą generalskiej – wydał dwie córki za ziemiańskich synów. Na ich weselach obecni byli m.in. Radziwiłłowie, Zamoyscy, Wielopolscy, Łubieńscy oraz, rzecz jasna, prezydent miasta Sokrat Starynkiewicz (art. s. 48). Nieco wcześniej wielki rywal, a zarazem powinowaty Blocha Leopold Kronenberg wydał córkę za syna hrabiego Zamoyskiego. Wedle ówczesnej anegdoty miało przy tym między nimi dojść do wymiany zdań: „ – Mojej córce na śniadanie daję milion. Co pan hrabia da synowi na obiad? – Po tak sutym śniadaniu uważam obiad za zbyteczny".

Dzieci spauperyzowanej szlachty, mające dyplomy szkół średnich, wychowane patriotycznie i bez perspektyw kariery w Królestwie z uwagi na antypolskie restrykcje w służbie publicznej oraz charakter ówczesnego kapitalizmu (znacznie mniejsza liczba urzędników niż dzisiaj) albo emigrowały (często w głąb Rosji), albo zasilały szeregi organizacji wywrotowych. W związku z tym w pierwszych pokoleniach polskich socjalistów i rewolucjonistów potomkowie zubożałej szlachty – z Józefem Piłsudskim i Feliksem Dzierżyńskim na czele – stanowili mniej więcej połowę eksponowanych działaczy. Tymczasem w Królestwie brak satysfakcjonującej pracy dla ludzi z dyplomami przekładał się na zjawisko, które publicyści przezwali nadprodukcją inteligencji.

❖ Robotnicy Parowej Fabryki Czekolady i Cukrów Jana Fruzińskiego, 1901 r.



eprasa.pl 37c4d1858f

Inteligencja – nieliczna i uboga. Wyodrębnienie się w powszechnej świadomości jako osobnej grupy społecznej ludzi żyjących z pracy umysłowej było zjawiskiem trwającym lat kilkadziesiąt. Jeszcze w programie brukselskim polskich socjalistów z 1878 r. nie było o niej ani słowa, choć już w 1862 r. ukazał się w krakowskim „Dzienniku Literackim" anonimowy artykuł „O inteligencji w znaczeniu polskiem", którego autor przekonywał: „Od lat kilkunastu dopiero wszedł u nas w używanie wyraz inteligencja, a do dziś z książkowego stał się niemal wyrazem domowym, zaspokajającym codzienne nasze potrzeby".

Usamodzielnieniu się inteligencji sprzyjało krytyczne nastawienie części ludzi wykształconych wobec szlachty (choć ówcześni ziemianie nie mieli nic przeciwko temu, żeby nazywano ich inteligencją wiejską). Analiza nekrologów z okresu międzypowstaniowego z dwóch warszawskich pism – mającej intelektualne ambicje „Biblioteki Warszawskiej" i bardziej komercyjnego „Tygodnika Ilustrowanego" – ukazała krytyczny stosunek obu redakcji do szlachty i kojarzonych z nią wartości. Na najwyższe pochwały zasługiwali ludzie „sami sobie wszystko winni", którzy „z szarego wyszedłszy tłumu własną dzielnością i cnotą zwalczać potrafili niezliczone przeszkody", a ich życie „było pasmem prac zapożytecznych" – przez co rozumiano działalność naukową, pedagogiczną, artystyczną, lekarską, społecznikowską i gospodarczą. W przypadku ziemian lub arystokratów, których osiągnięcia na tych polach były nie do pominięcia, publicyści podkreślali, że zawdzięczali je nie uprzywilejowanej pozycji, ale właśnie „unikaniu zgiełku i zabaw wielkiego świata", do których ich „wzywały położenie towarzyskie i wielkie bogactwa".

W epoce „Lalki" polska inteligencja nie była jeszcze wrogo nastawiona do filistrów i burżujów – przeciwnie, ludzie pokroju Bolesława Prusa i Aleksandra Świętochowskiego przeciwstawiali tradycyjnemu polskiemu szlacheckiemu patriotyzmowi wartości mieszczańskie, przede wszystkim pracę, a także uczenie się od społeczeństw zachodnich. Była też warstwą nieliczną i ubogą: poza Warszawą posad inteligenckich było w Królestwie jak na lekarstwo (a raczej mniej – w tej epoce lekarz był na ogół człowiekiem niezamożnym, z jego usług korzystali nieliczni). W szkolnictwie, urzędach i sądownictwie dla Polaków dostępne były tylko najniższe stopnie kariery i najlichsze pensje, służby zdrowia prawie jeszcze nie było.

Pozostawały buchalteria w firmach i majątkach ziemskich, które mogły sobie na nią pozwolić, oraz tzw. wolne zawody, a także boom budowlany, domagający się inżynierów i architektów. Lecz najbliższa politechnika oferująca stosowny dyplom znajdowała się albo w Niemczech, albo w Rydze. Szansę dla ubogich absolwentów gimnazjum stanowił fakt, że była to szkoła niezwykle wymagająca: jedynie nieliczni uczniowie byli w stanie dojść do matury bez powtarzania klasy choć raz, powszechną koniecznością było branie korepetycji, zasilających skromne budżety guwernerów i guwernantek. W trakcie trwania akcji „Lalki" Stefan Żeromski był uczniem gimnazjum męskiego w Kielcach i w ten sposób sobie dorabiał: mimo to na śniadanie zwykle jadał suchą bułkę, a każdą zarobioną kopiejkę skrupulatnie odkładał.

W Królestwie jedynie Warszawa z jej redakcjami, towarzystwami, wielkimi przedsiębiorstwami i rozbudowanym szkolnictwem prywatnym (w większości dla dziewcząt – w tym otwarte w 1882 r. nielegalne kursy znane jako Uniwersytet Latający) oferowała atrakcyjny rynek na inteligenckie usługi, w którym inteligent (oczywiście nie każdy) mógł poczuć się członkiem prawdziwej elity, jak choćby w salonie Jadwigi Łuszczewskiej „Deotymy" we czwartki lub zamożnego lekarza Karola Benniego w piątki – gdzie mógł błyszczeć w towarzystwie arystokratów oraz reprezentantów innej nowej grupy – burżuazji.

Mieszczanie – nowe kontra stare. Burżuazja to pojęcie, które w Polsce przyjęło się przede wszystkim za sprawą Karola Marksa (pierwszy tom „Kapitału" ukazał się w polskim tłumaczeniu w 1884 r.), który w ten sposób określał klasę posiadaczy środków produkcji. W świetle jego teorii całe społeczeństwo w ustroju kapitalistycznym dzieliło się na burżuazję i proletariat. Polscy publicyści, socjologowie i historycy, chcąc jakoś wyjść naprzeciw tej abstrakcyjnej normie, nazywali tak z jednej strony przedsiębiorców, z drugiej ludzi dysponujących przynoszącym dochód kapitałem (rzecz jasna z wyjątkiem ziemiaństwa). Współcześni Prusa mówili jednak chętniej o fabrykantach, bankierach, a w liczbie mnogiej o plutokracji, czyli nowej elicie pieniądza konkurującej z arystokracją, lub też o kapitalistach.

Samo pojęcie mieszczanin także pozostawało zarezerwowane dla zamożniejszych mieszkańców miast, przede wszystkim właścicieli nieruchomości, sklepów, warsztatów, w dalszej kolejności przedstawicieli szanowanych zawodów – nadal określanych też mianem obywateli miejskich, co w realiach Królestwa, gdzie o samorządzie miejskim nie było mowy, straciło swój wcześniejszy sens.

Nasz obraz pierwszych pokoleń polskich kapitalistów jest z pewnością wykoślawiony. Oni sami nie pisali zbyt wiele, znamy ich głównie z publicystyki, literatury pięknej i wspomnień ludzi na ogół im niechętnych. Po pierwsze, szlachta i stare mieszczaństwo nie cieszyły się z błyskawicznego wzrostu fortun, które powstawały na zasadach dla nich niewyobrażalnych: za sprawą masowej produkcji fabrycznej, operacji giełdowych, handlu z cesarstwem. Jak powiadał bohater „Społeczeństwa dzisiejszego w obrazach" z 1859 r.:

❖ Burżuj na rysunku satyrycznym Franciszka Kostrzewskiego, 1885 r.



eprasa.pl 37c4d1858f

„Wolność handlu i przemysłu zniosła monopol, na którym jakby na kotwicy stały w bezpiecznej przystani domy handlowe bogactwem i uczciwością słynące".

Bezpieczną przystań stanowiły dla kupiectwa starego stylu ceniące tradycję małe miasta, gdzie podjęcie działalności handlowej czy produkcyjnej wiązało się z kosztownym przyjęciem do grona obywateli miasta, a także stosownej gildii kupieckiej lub cechu rzemieślniczego strzegących zazdrośnie monopolu na swą działalność. Zwłaszcza cechy rzemieślnicze pilnowały obyczajów z poprzedniej epoki. Nastoletni czeladnik na ogół mieszkał w domu-warsztacie mistrza, który żywił go, przyodziewał, wykorzystywał i tyranizował na wszelkie sposoby, kar fizycznych nie wyłączając, pilnował postępów w umiejętnościach i dostępu do swych córek, aż następowało wyzwolenie i uroczyste przyjęcie do cechu.

Cech też miał prawo karania swych członków, którzy w jakikolwiek sposób szkodzili jemu lub jego reputacji. Organizacja cechowa okazywała się jednak bezradna wobec kapitalistycznej wolnej konkurencji, a także impregnowana na postęp techniczny: wiedzę na temat nowych technologii oferowało rodzące się szkolnictwo techniczne, a nie terminowanie u majstra. Podobnie przynależność do gildii kupieckich stawała się czystą formalnością.

Nowa klasa kapitalistów nie cieszyła się sympatią polskich autorów także dlatego, że składała się głównie z Niemców i Żydów (art. s. 72). W 1891 r. „Tygodnik Warszawski" zamieścił listę 66 warszawskich milionerów: znajdujemy na niej zaledwie kilka polskich nazwisk. Co prawda burżuazja warszawska (w przeciwieństwie do łódzkiej) w drugiej połowie XX w. była już na ogół spolonizowana. „Herbsty, Simlery, Lilpopi, Sztrasburgery to już kość z naszej kości, krew z naszej krwi, z dodatkiem refleksji i pracy, oszczędności i wytrwałości niemieckiej" – pisał w latach 60. publicysta Antoni Zalewski o przedsiębiorcach niemieckiego pochodzenia.

Im niżej na społecznej drabinie, tym mniej było powodów do asymilacji, a więcej, aby trzymać się ze swoimi i trwać przy swym języku oraz religii. W zaborze rosyjskim nie istniał obowiązek szkolny, i nawet w Warszawie większość mieszkańców nie potrafiła czytać ani pisać. Na tle polskojęzycznej ludności katolickiej protestanci uczęszczający do szkół niemieckojęzycznych prezentowali się jako elita; ojcowie tych uczniów też zresztą stanowili na ogół elitę miejskiego stanu średniego – dominowali np. w pierwszych pokoleniach inżynierów, techników i wykwalifikowanych robotników. Jednak synody drugiej połowy lat 80. doprowadziły do przełożenia na polski zarówno pism dogmatycznych Konfesji Augsburskiej, jak i śpiewników, co niewątpliwie wskazuje na przechodzenie wiernych na język polski, co na masową skalę dokonało się w pierwszej dekadzie XX w.

Oczywiście najsłabiej zasymilowana z polską większością była uboga, a nawet średniozamożna ludność żydowska, której odsetek w Warszawie i całym Królestwie cały czas rósł (do czego przyczyniała się utrzymująca się dyskryminacja prawna Żydów we właściwym cesarstwie). Z przyczyn religijnych (zakaz pracy w soboty) Żydzi na ogół pracowali we własnych przedsiębiorstwach: szacuje się, że ok. 40 proc. zakładów rzemieślniczych oraz trzy czwarte sklepów, sklepików i kramów w ówczesnej Warszawie należało do Żydów. W Boże Narodzenie 1881 r. doszło w Warszawie i okolicznych miejscowościach do pogromów, w trakcie których katolicki tłum zdemolował niemal tysiąc żydowskich sklepów, kramów i szynków, a także kilkaset mieszkań, po czym rabowano (ze wsi Bielany w tym celu wyruszyła nawet grupa chłopów pod wodzą sołtysa). Prus i inni publicyści dawali wyraz oburzeniu, pisarz wyśmiał też sugestię Świętochowskiego, że antysemityzm zniknie, kiedy Żydzi się zasymilują.

W tym samym roku zaczął się w Warszawie ukazywać tygodnik „Rola", którego główną misją było ostrzegać Polaków przed zgubnymi żydowskimi wpływami, w tym przed ich najbardziej perfidną odmianą: narodową asymilacją Żydów udających, że stają się Polakami. Tymczasem urzędowy raport na temat rozruchów bożonarodzeniowych stwierdzał: „Buszujący tłum składał się przede wszystkim z chłopców, uczniów tak zwanych terminatorów, robotników dniówkowych, bezdomnych, włóczęgów i innego, trochę pijanego ludu Warszawy".

Proletariat i plebs – najniższy szczebel drabiny. Robotnicy fabryczni – do których zwracała się przejęta ideami Marksa założona w 1882 r. Socjalno-Rewolucyjna Partia Proletariat – niekoniecznie stali nisko w ówczesnej hierarchii społecznej, o ile mieli stałą pracę, a nie zatrudnienie na dniówki. Warstwę tę cechowała duża rozpiętość dochodów. Według szacunków historyczki Anny Żarnowskiej dla następnej dekady ścisłą elitę stanowili maszyniści – awangarda ówczesnej nowoczesności, których miesięczny dochód z dodatkami wyjazdowymi sięgał stu kilkudziesięciu rubli. Wykwalifikowani majstrowie zarabiali czterokrotnie więcej od pozbawionych kwalifikacji chłoporobotników. Ci pierwsi mieli jednak zwykle na utrzymaniu rodziny. Żyli w mieszkaniach jedno- lub dwuizbowych. Kiedy pod koniec wieku fundacja Wawelberga zainicjowała budowę domów dla robotników przy ul. Górczewskiej, szybko okazało się, że na większe nikogo nie stać. Często cała rodzina spała w jednym łóżku, a drugie podnajmowała sublokatorowi.

Robotnicy nie mieli emerytury ani ubezpieczenia zdrowotnego. Na odszkodowania mogli liczyć jedynie, gdy dochodziło do poważnych okaleczeń niezawinionych nieostrożnością pracownika. Regulacje dotyczyły wyłącznie czasu pracy dzieci i kobiet. Mężczyznom pragnącym poprawić swój los pozostawał strajk, kończący się często interwencją wojska.

Tylko największe fabryki oferowały pracownikom socjal w postaci ambulatorium, ewentualnie kaplicy, szkoły oraz sklepu. Poniżej robotników na drabinie społecznej znajdowali się liczni pracownicy dorywczy: chłopcy chętni biegiem dostarczyć wiadomość lub przesyłkę, mężczyźni gotowi rozładować towar, wtaszczyć po schodach opał i wodę. Osobną kategorię stanowiła w przygniatającej większości żeńska służba: kucharki, pokojówki i dziewczyny do wszystkiego, na ogół pochodzące ze wsi, pozbawione wsparcia rodzin i znajomych, bez których niemal darmowej pomocy nie mogła się obyć żadna szanująca się pani domu.

Alternatywę dla takich dziewcząt, oprócz marzeń o karierze aktorskiej, ewentualnie muzycznej, stanowiła fabryka, oferująca pracę ponad ich siły i za połowę płacy mężczyzny (w dodatku kobiety zatrudniano głównie w szwalniach, których akurat w Warszawie, głównym ośrodku przemysłu metalowego, nie było wiele), oraz dom publiczny. Stąd zaś droga wiodła na ulicę, gdzie można było prostytuować się, żebrać, handlować czym popadnie, kraść – a także zwrócić na siebie uwagę jednego z licznych towarzystw dobroczynnych (art. s. 84), w których udzielały się panie z tzw. towarzystwa, a które w tej epoce stanowiły główny ekwiwalent państwa opiekuńczego.

Adam Kożuchowski

eprasa.pl 37c4d1858f



Z „Lalki”: W początkach wojny wschodniej przejeżdżał przez Warszawę bogaty moskiewski kupiec, Suzin, przyjaciel Wokulskiego jeszcze z Syberii. Odwiedził Wokulskiego i gwałtem zachęcał go do przyjęcia udziału w dostawach dla wojska (...)
– Twoje szczęście, żeś przyjechał – mówi Suzin całując go jeszcze raz. – Myślałem, że się skręcę w tym Paryżu bez ciebie... (...) O mnie mniejsza – ciągnie dalej Suzin. – Takeś zhardział pomiędzy waszą parszywą szlachtą, że o mnie już nie dbasz.

❖ Aleja w Ogrodzie Saskim, w tle Sobór Świętego Aleksandra Newskiego wybudowany w latach 1894–1912; pocztówka z epoki.

Moskal wszędzie

Z jednej strony luksusowe sklepy, eleganccy oficerowie gwardii, bale i rauty na Zamku Królewskim, z drugiej represje i złowieszczy cień Cytadeli – oto mikroświat rosyjskiej Warszawy.

Tomasz Targański

Miasto umundurowane. Przechadzając się po Warszawie w czasach Wokulskiego, bylibyśmy zdumieni mnogością mundurów. Po stłumieniu powstania styczniowego stan wojenny wprowadzony w Królestwie Polskim nigdy nie został formalnie zniesiony, więc obecność wojsk rosyjskich – tak skutecznie pominięta przez autora „Lalki” – stanowiła nieodłączną część krajobrazu miasta. Na ulicach roiło się od carskich oficerów w ciemnozielonych wojskowych kurtkach z epoletami, ze skórzanymi pasami wokół talii. W dorożkach widać było brodatych generałów w płaszczach z szerokimi klapami, a za nimi – w obstawie – podążali Kozacy z nahajkami. Jeszcze bardziej egzotyczny widok stanowiły formacje Czerkiesów w wysokich baranich czapkach, z zakrzywionymi szablami u boku i kindżałami za pasem. Najszerzej rozpoznawalnym – i najbardziej znienawidzonym elementem codzienności – był niebieski mundur owianej złą sławą carskiej policji politycznej, czyli Korpusu Żandarmów.

Obok mundurów wojskowych pełno było także mundurów cywilnych, jako że w całym Imperium Rosyjskim wszyscy urzędnicy, od gubernatora do szeregowego pracownika biblioteki, zobowiązani byli nosić uniformy, zazwyczaj w formie fraku z wysokimi, sztywnymi kołnierzami na wzór wojskowy.

Carscy zarządcy prowincji. Od 1874 r., po likwidacji urzędu carskiego namiestnika, najwyższym przedstawicielem Rosji w Warszawie był generał-gubernator. Skupiał on w swoich rękach pełnię kontroli administracyjnej, wojskowej i policyjnej, podlegając bezpośrednio carowi w Petersburgu. Było to ewidentne obniżenie statusu Królestwa Polskiego w hierarchii imperium, ponieważ zrównywało je statusem z innymi prowincjami również zarządzanymi przez generał-gubernatorów. Pierwszym warszawskim ge-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Pałac Staszica z fasadą przerobioną w stylu bizantyńsko-ruskim, koniec XIX w.

nerał-gubernatorem był Paweł Kotzebue (Paul Demetrius von Kotzebue). Zawodowy oficer (generał piechoty) z dużym doświadczeniem, który w 1831 r. pod dowództwem gen. Iwana Paskiewicza uczestniczył w zdobywaniu Warszawy. Był uważany za rusyfikatora i to za jego sprawą wprowadzono język rosyjski jako obowiązkowy w szkołach początkowych w całym Królestwie.

Antoni Zaleski, ówczesny publicysta i wnikliwy obserwator życia politycznego, zostawił po sobie barwny opis życia towarzyskiego tamtych czasów. Występując pod pseudonimem Baronowa XYZ, w publikowanych w połowie lat 80. XIX w. „Listach do przyjaciółki" tak scharakteryzował Kotzebuego: „Niski, mały, zasuszony, o dobrotliwie zawsze uśmiechniętej twarzy, którą zdobiły szczotkowate siwe faworytki". W relacjach z epoki Kotzebue jawi się jako karny wykonawca zarządzeń z Petersburga, ale taki, który sam z siebie nie wykazywał szczególnego zapału, aby przerobić Polaków na Moskali: „Na zawziętego rusyfikatora nie pozował i wstrętu do cywilizacyi nie żywił (…). W rozmowie z Polakami używał stale języka francuskiego".

Z czasem Kotzebue – nazywany złośliwie upolerowanym Niemcem – był oskarżany przez carskie władze policyjne o zatrudnianie w swojej kancelarii zbyt wielu Polaków. Generał Piotr Orżewski, szef Korpusu Żandarmów w Królestwie donosił na Kotzebuego do Petersburga, że zatrudnia osoby nieprawomyślne politycznie, czasami nawet powracających z syberyjskiego zesłania dawnych powstańców styczniowych. W słanych do stolicy imperium raportach Orżewski skarżył się na niedostateczną liczbę Rosjan w administracji.

Następcą Kotzeubego został gen. Piotr Albiedinski, który zdobył w Warszawie opinię liberała, a w Petersburgu dał się poznać jako zwolennik złagodzenia represji wymierzonych w Polaków. Z kolei w latach 1883–94 urząd generał-gubernatora sprawował gen. Josif Hurko, gorący zwolennik idei *obrusienija* narodów znajdujących się pod panowaniem dynastii Romanowów. Hurko – w przeciwieństwie do poprzedników – stał się gorliwym wykonawcą wszelkich rusyfikacyjnych inicjatyw Petersburga. Zaleski scharakteryzował go jako surowego rygorystę i „czystej krwi diełatiela, który nie poprzestaje na roli wykonawcy rozkazów, ale sam się o nie doprasza, sam występuje z inicjatywą". Jego prawą ręką był znienawidzony w Królestwie kurator Warszawskiego Okręgu Naukowego Aleksandr Apuchtin, który bezwzględnie rugował język polski z administracji i sądownictwa (tzw. noc apuchtinowska). Hurko dał się również poznać Warszawiakom jako pomysłodawca przemalowania elewacji Zamku Królewskiego na kolor czerwony.

Za czasów Hurki Zamek był miejscem częstych balów, na które generał-gubernatorowa Maria Andriejewna zapraszała przedstawicieli polskiej arystokracji. W warszawskim światku towarzyskim darzono ją powszechną niechęcią ze względu na brak taktu, rusyfikatorskie zapędy oraz skłonność do korupcji. Szukano więc sposobów, aby zaproszenia na organizowane przez nią spotkania odrzucać. Szczególnie źle odebrano rozesłane przez nią zaproszenie na bal wydrukowane po rosyjsku z datą zapisaną wedle kalendarza juliańskiego (zwyczajowo w Królestwie w takich okolicznościach obowiązywał język francuski, a daty zapisywano zarówno według kalendarza juliańskiego, jak i gregoriańskiego).

eprasa.pl 37c4d1858f

Sam Hurko, kiedy w 1894 r. odchodził ze stanowiska, był żegnany z radością. Anonimowy autor ułożył satyryczny wierszyk: „Już opuszcza stary Hurko/ Wraz z Andrzeja podłą córką/ Nadwiślański tron./ Jadą spijać ciepłe wody/ Bo powiedział cesarz młody/ Ubirajties won! [wynoście się]".

Wyjazdowi Hurków z Warszawy towarzyszył skandal. Polscy urzędnicy pracujący na linii Lublin–Kowel donieśli przełożonym, że w olbrzymich bagażach generał-gubernatorowej, które pakowali do wagonów towarowych, znajdowały się zrabowane z zamku historyczne kominki wraz z wieloma wartościowymi antykami z komnat królewskich, w tym także z warszawskich Łazienek. Informacja o tym dotarła do dworu cesarskiego w Petersburgu, gdzie aby uniknąć skandalu i sprawę wyciszyć, postanowiono wszystkie zrabowane dobra odesłać do Warszawy.

Czynownicy i wziątki. Rosyjska kolonia w Warszawie była zamkniętą społecznością, tworzącą własne formy życia towarzyskiego. Aleksander Kraushar, historyk i mieszkaniec Warszawy tamtego okresu, ze szczegółami opisał, na czym polegało uprzywilejowanie carskich urzędników: „Zajmowali prawie wszystkie mieszkania zbytkowne na pryncypialnych ulicach, na pierwszych piętrach, w domach gdzie na trzecim lub czwartym piętrze gnieździli się skromni mieszkańcy – tubylcy. Żywność sprowadzali sobie przybysze z głębi Rosji. Mąki nawet miejscowej nie kupowali, gdyż do ich wydelikaconego smaku przemawiała jedynie krupczatka". Rosjanie zaopatrywali się najczęściej w swoich sklepach, dokąd sprowadzano dla nich luksusowe towary z całego imperium: różnorakie kawiory, tabakę, a nawet zapałki. Dużą popularnością wśród Rosjan cieszył się słodkawy chleb Filipowa (piekarnia Filipowa była jedną z najlepszych w XIX-wiecznej Moskwie).

Rosyjscy oficerowie i ich rodziny szczególnie upodobali sobie południową część Śródmieścia, ponieważ stacjonujące niedaleko formacje gwardii dawały poczucie bezpieczeństwa, a oficerowie mieli blisko do swoich macierzystych jednostek. Ta część miasta stała się ośrodkiem rosyjskiej Warszawy. Stopniowo powstawały specjalne dzielnice o coraz bardziej rosyjskim charakterze. Aleje Ujazdowskie

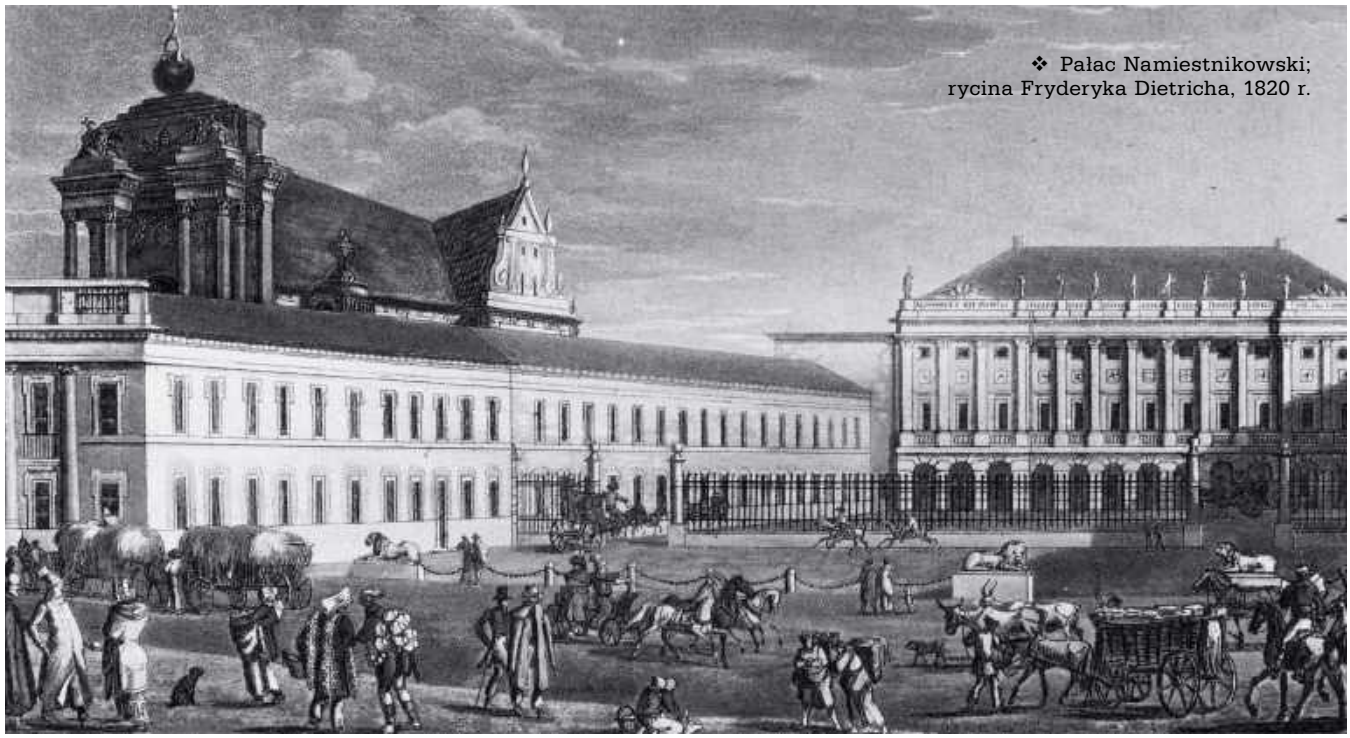
Zabójstwo Marii Wisnowskiej

1 lipca 1890 r. w kamienicy przy ul. Nowogrodzkiej 14 znaleziono ciało Marii Wisnowskiej. Ta znana warszawska aktorka i amantka miała opinię *femme fatale*, a dziś w pewnością nazwano by ją influencerką. Zaczynała jako aktorka we Lwowie. Wyróżniała się urodą: blondynka o regularnych rysach twarzy i dużych bławatkowych oczach. Kiedy na początku lat 80. XIX w. przeniosła się do Warszawy, w kulturze masowej zaczynał rodzić się kult gwiazd. Gazety żywo relacjonowały występy aktorek na deskach teatrów i coraz bardziej interesowano się ich życiem prywatnym. Wisnowska szybko stała się czołową aktorką warszawskiego Teatru Rozmaitości, którego repertuar układano specjalnie dla niej. Pod koniec kariery była najlepiej opłacaną artystką w mieście, inkasując 15 rubli za spektakl.
Warszawskie aktorki zwyczajowo były obiektem zainteresowania carskich oficerów. Bulwarowa prasa plotkowała, że jednym z adoratorów Wisnowskiej był gen. Dymitr Palicyn, prezes Warszawskich Teatrów Rządowych, który miał ogromnie pomóc w jej karierze. Lista kochanków Wisnowskiej obejmowała aktorów, dziennikarzy i przede wszystkim oficerów.



W 1889 r. poznała oficera pułku carskich huzarów Aleksandra Bartenjewa. Dużo młodszy od niej mężczyzna zakochał się bez pamięci i planował oświadczyny. Przekonany, że jego rodzina nie wyrazi zgody na małżeństwo z kobietą wykonującą tak wątpliwą profesję, zapowiedział Wisnowskiej, że w tej sytuacji zamierza odebrać sobie życie.
Feralnego wieczora spotkali się w pokoju przy ul. Nowogrodzkiej, który Rosjanin wynajął i urządził specjalnie dla ich schadzek. Najpewniej między kochankami doszło do gwałtownej sprzeczki. Policja odnalazła na miejscu zbrodni alkohol i słoiczki z opium, co w połączeniu z rozpędzonymi emocjami i rewolwerem, który nosił przy sobie Bartenjew, dało tragiczne skutki. Rosjanin nazajutrz sam przyznał się do morderstwa. Podczas śledztwa ustalono, że śmiertelny strzał oddał z rewolweru dużego kalibru, a kula, uderzając 2 cm poniżej lewej piersi aktorki, przebiła serce, przeszła przez płuca i uwięzła w kręgosłupie.
Podczas procesu, którym żyła cała Warszawa, Bartenjew bronił się, że zabił Wisnowską na jej własną prośbę i że oboje chcieli popełnić samobójstwo. Sąd uznał jednak, że popełnił morderstwo powodowany chorobliwą zazdrością. Skazano go na pozbawienie szlachectwa, osiem lat ciężkich robót i osiedlenie na Syberii. Przed wykonaniem kary uchronił Bartenjewa car Aleksander III, który unieważnił wyrok, zdegradował oficera i skierował do służby w pułku na Kaukazie. Historia tragicznej miłości aktorki i rosyjskiego gwardzisty żyła jeszcze długo po zejściu ze sceny głównych bohaterów. Dalsze losy Bartenjewa nie są znane, ale warszawska prasa spekulowała, że w latach 20. XX w. wrócił do polskiej stolicy, gdzie żył w skrajnej nędzy i regularnie odwiedzał grób Wisnowskiej na Powązkach. (TT)

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Pałac Namiestnikowski; rycina Fryderyka Dietricha, 1820 r.

czy Łazienki zatracały z wolna swój polski charakter. „Spotykano tam wyłącznie rodziny Rosjan, niańki w kokosznikach [czepcach] i jaskrawych szatach prowadzące przybrane w czerkieski kostium dzieci rosyjskie. Po trotuarach ulicznych snuły się tłumy czynowników w czapkach z szerokim, sztywnym rondem, ozdobionych znaczkiem właściwej dekasterii, w której służyli, bączkiem na lampasie i z obowiązkową laseczką w ręku" – pisał Kraushar.

Powszechną niechęć budziło nie tylko rozpychanie się Rosjan w najbardziej reprezentacyjnych dzielnicach Warszawy, ale również istny najazd urzędników przysyłanych nad Wisłę po powstaniu styczniowym i złe praktyki, jakie ze sobą przywozili. Powszechnie narzekano, że rosyjscy urzędnicy, zwłaszcza na niższych stanowiskach, byli słabo wykształceni, nie przykładali się do obowiązków służbowych i prezentowali niski poziom moralny. Dowodem na to – a jednocześnie coraz bardziej nieznośnym elementem w stosunkach między petentami a urzędnikami – było łapownictwo. Ofiarowanie wziątki lub kubana (łapówki) urzędnikowi, od którego zależało nie tylko załatwienie sprawy, lecz także samo nadanie jej biegu, było odtąd nieodzownym elementem życia. Szybko pojawił się nieoficjalny łapówkarski cennik, np. zgoda na przekroczenie granicy kosztowała 3 ruble, wydanie paszportu – 10 rubli, a zwolnienie od obowiązku służby wojskowej już od 1,5 tys. do 3 tys. rubli.

Skorumpowany, odznaczający się służalczością wobec zwierzchników i pogardą dla obywateli czynownik był w oczach Polaków najbardziej znienawidzonym, a zarazem emblematycznym symbolem rosyjskiej cywilizacji. Antoni Zaleski tak opisywał ich stosunki z mieszkańcami Królestwa: „Każdy taki czynownik wobec polskiego mieszkańca to samowładny satrapa; każdy, zawsze naturalnie prócz szlachetnych wyjątków, pobierając wyższą niż urzędnicy w cesarstwie pensję, wyciąga jeszcze z kieszeni tutejszego mieszkańca i z wszelkich robót publicznych wszystko, co się tylko wyciągnąć da i można".

Klub Ruski. Jedną z najważniejszych instytucji towarzyskich w rosyjskiej Warszawie był Klub Ruski. Został on założony w 1860 r., początkowo wyłącznie z myślą o rosyjskich oficerach, ale z czasem członkami mogli zostać cywile. Później akces do niego zgłaszali Polacy – urzędnicy związani z wyższymi kręgami rosyjskiej administracji. Siedziba Klubu mieściła się przy Nowym Świecie w skonfiskowanym przez rosyjskie Ministerstwo Wojny po powstaniu styczniowym Pałacu Zamoyskich. Opłata członkowska kosztowała niemało, bo 40 rubli rocznie, ale w zamian za to członkowie mieli dostęp do czytelni z biblioteką, bawialni, sali bilardowej oraz restauracji. Liczba członków wahała się od 200 do 250 osób w latach 60., do 430 osób w latach 80. XIX w.

Choć Warszawiacy widzieli Klub jako ognisko rusyfikacji, miejsce, gdzie zaborcy obmyślają swoje antypolskie plany, pełnił on przede wszystkim funkcje towarzyskie: „Restaurator kredytował, wina były niezłe, wódka doskonała, zaleganie w długach karcianych nie tak ostro, jak w innych klubach karane, więc spieszyli tam czynowniki i czynowniczęta, by raczej pohulać, aniżeli o polityce rozprawiać" – pisał autor



❖ Cerkiew św. Michała Archanioła wzniesiona w latach 90. w Alejach Ujazdowskich.

„Listów do przyjaciółki". Na forum Klubu kolejni generał-gubernatorzy anonsowali swoje zamiary polityczne. Również tam dyskutowano projekty ustaw i zarządzenia, które przychodziły z Petersburga. I to stamtąd – w formie plotek – rozchodziły się one po mieście.

Klub był zwyczajowym miejscem organizacji balów i rautów z okazji przyjazdu do Warszawy członków rodziny cesarskiej. W czerwcu 1867 r., kiedy miasto odwiedził Aleksander II, wyprawiono z tej okazji bal, w którym udział wzięło ponad 500 osób, w tym prawie setka polskich urzędników i arystokratów. Relacja o tym wydarzeniu autorstwa ówczesnego konsula francuskiego w Warszawie, barona Antoine'a Finota, nie pozostawia wątpliwości, że przekroczenie progu skonfiskowanego pałacu było wśród Polaków obłożone środowiskową anatemą: „Odbył się bal w Klubie Rosyjskim (…) towarzystwo polskie mimo całej odrazy, jaką mogło budzić u niektórych osób wejście do pałacu hr. Zamoyskiego, udało się tam".

Hermetyczny charakter Klubu oraz status miejsca zakazanego, jaki nadali mu Polacy, sprawił, że informacje o towarzyskich skandalach, do jakich dochodziło w Pałacu Zamoyskich, budziły wielkie zainteresowanie i rozchodziły się po Warszawie lotem błyskawicy. Józef Ignacy Kraszewski zanotował w jednym ze swoich zbiorów publicystycznych, że w październiku 1869 r. doszło w Klubie do regularnej bójki między oficerami Korpusu Żandarmów a cywilnymi urzędnikami: „Przyszło do policzków i bitwy krwawej podczas niebytności namiestnika. Telegrafowano do Petersburga, a stamtąd przyszedł rozkaz, aby pobici na drodze honorowej szukali sobie satysfakcji". Podobne doniesienia miały charakter plotkarski, ale pokazywały skalę zakulisowych intryg i konfliktów targających rosyjskim mikroświatem Warszawy.

Gwardziści i popojki. Poza malowniczością reprezentacyjnych traktów była i inna Warszawa – miasto koszar, fortów i wojskowych magazynów. W 1879 r. władze carskie podjęły decyzję o przekształceniu miasta w twierdzę i otoczeniu go pierścieniem nowoczesnych umocnień. Był to skutek kongresu berlińskiego (1878 r.) oraz zawiązania antyrosyjskiego sojuszu między Austro-Węgrami i Niemcami. Status bazy wojskowej sprawił, że Warszawa stała się miastem garnizonowym. Historyk Malte Rolf ustalił, że w latach 1888–90 w Warszawskim Okręgu Wojennym na tysiąc mieszkańców przypadało 43 żołnierzy (4,3 proc.), co dawało najwyższą gęstość rozmieszczenia wojsk w całym imperium.



❖ Paweł Kotzebue, pierwszy warszawski generał-gubernator, od 1873 r.



❖ Piotr Albiedinski, następca Kotzebuego na stanowisku generał-gubernatora w latach 1880–83.



❖ Josif Hurko sprawujący ten urząd w latach 1883–94.

Warszawa była też jedynym w państwie Romanowów – obok Petersburga – miastem, w którym stacjonowały pułki cesarskiej gwardii (Lejb-Gwardii), co było to źródłem prestiżu dla służących w niej żołnierzy. Zdobne mundury gwardyjskich oficerów stały się stałym elementem modnych warszawskich miejsc, jak restauracja Hotelu Bristol. Oficerowie zwyczajowo zasiadali też w pierwszych rzędach na spektaklach opery i operetki. Rosjanie byli zresztą znanymi wielbicielami wdzięków aktorek teatralnych, szczególnie baletnic. Oficerowie potrafili co wieczór składać na scenie kosze kwiatów swoim ulubienicom i rzucać im do stóp bukiety.

Nie zawsze jednak było tak wytwornie. Carscy oficerowie regularnie wszczynali bijatyki i burdy w warszawskich lokalach. Organizowane popojki (wielkie picie wódki) kończyły się nocnymi eskapadami do restauracji, a punktem kulminacyjnym było tłuczenie serwisów i butelek. Tę swoistą manię rosyjskich oficerów, jak pisała Agata Tuszyńska, „znali warszawscy restauratorzy i specjalnie na tę okoliczność trzymali fajansowe naczynia i puste butelki przeznaczone na straty. Między sobą oceniali każde przyjęcie skalą stłuczonych talerzy".

Opera, balet czy sale restauracyjne były tymi nielicznymi przestrzeniami, gdzie sfery życia carskich oficerów i cywilnych mieszkańców Warszawy się przecinały. Obie grupy wytworzyły formalne normy, pilnując, aby linia podziału się nie zamazała. Przez cały okres popowstaniowy przedstawiciele carskiej kadry oficerskiej musieli na przykład uzyskać od przełożonych oficjalną zgodę na małżeństwo z kobietą wyznania rzymskokatolickiego. Tylko członkowie Korpusu Żandarmerii pod żadnym pozorem nie mogli żenić się z Polkami. Zakazu tego ściśle w Królestwie przestrzegano, a jego naruszenie mogło skutkować usunięciem ze służby.

Szefów warszawskiej żandarmerii Polacy traktowali jako ludzi, których towarzystwa należy unikać. Na domowe spotkania warszawskiej socjety carskich oficerów z zasady nie dopuszczano. Wydana w 1905 r. broszura „Przykazania narodowe. Zbiór wskazówek politycznych dla Polaków pod panowaniem rosyjskim" nakazywała: „Żandarmów i innych Moskali do domu nie prosić, z nimi nie gadać, a kiedy sam wlezie i zagaduje, zbywać go byle czym, o nikim mu nie udzielać żadnych wiadomości".

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Świt; obraz Stanisława Masłowskiego, 1906 r. Rosyjskie patrole były w Warszawie codziennością.

W celu walki z polską konspiracją Korpus Żandarmów dysponował w mieście rozległą siecią tajnych agentów i informatorów. Aresztowanie osób podejrzanych o działalność wywrotową najczęściej następowało wskutek donosu czy denuncjacji wydobytej w czasie śledztwa. Korpus Żandarmów ze szczególną uwagą odnotowywał w swoich raportach krążące po Warszawie plotki i informował o nich Petersburg. Podczas wojny rosyjsko-tureckiej z lat 1877–78 raporty żandarmów odnotowały narastającą wśród Polaków wojenną psychozę, objawiającą się plotkami na temat rzekomego marszu na Warszawę polsko-węgierskiego oddziału z dyktatorem Marianem Langiewiczem na czele. Raporty wspominają też, że na warszawskich ulicach słychać było pogłoski o przybyciu do miasta sułtana tureckiego, który po przejściu na katolicyzm miał objąć tron Polski. Wojna zagrała też na uczuciach religijnych. Wedle raportów gen. Orżewskiego Polacy powtarzali sobie wówczas historię o objawieniu Matki Boskiej Częstochowskiej, która, „ukazawszy się pastuszkom, zapowiedziała podróż do Turcji, by tam wspierać zwycięstwa armii tureckiej".

W cieniu Cytadeli. Obecność Rosjan w Warszawie nierozłącznie wiązała się z represjami. Centralnym miejscem tych represji – powszechnie identyfikowanym z zaborcą – była Cytadela. Zbudowana po powstaniu listopadowym miała trzymać w szachu buntownicze miasto. W zasięgu tamtejszych dział znajdowały się całe Stare i Nowe Miasto, a na linii strzału nie wolno było wznosić żadnych wysokich budynków. W latach masowych aresztowań kazamaty i inne obiekty wykorzystywano do przetrzymywania więźniów politycznych. Dla ogółu mieszkańców było to miejsce niedostępne. Rosyjska cenzura nie dopuszczała publikacji poświęconych Cytadeli – informacje czy wspomnienia więzionych tam działaczy ukazywały się wyłącznie poza obszarem Królestwa. Nawet w przewodnikach warszawskich z drugiej połowy XIX w. informacji o niej było niewiele. Wszystko to sprawiało, że kompleks był swoistym widmem, które złowrogo ciążyło nad miastem.

Rosjanie oficjalnie nazwali ją Cytadelą Aleksandrowską, ale dla zwykłych żołnierzy była Czystydielą. Samo hasło Cytadela funkcjonowało jako skrót myślowy, przywodzący na myśl represje: popularne były określenia, jak wsadzono go do Cytli albo zapakowano go do dziesiątego. Najbardziej bowiem złowieszczym obiektem na terenie Cytadeli był X Pawilon, który służył jako centralne więzienie śledcze. W polskiej wyobraźni funkcjonował jako Golgota albo grób dla wolnych.

Przewóz aresztowanych do Cytadeli za każdym razem był wydarzeniem, które elektryzowało miasto. Mieszkańcy wylegali na ulicę, aby przyglądać się i okazać rodakom wsparcie. Tak swoją podróż do aresztu zapamiętał powstaniec styczniowy Władysław Zapałowski: „Otwierały się okna i wybiegało na balkony w nocnych negliżach wiele kobiet, które słały nam słowa pożegnania. Na Starym Rynku pełno było już przekupek, wszystkie porzuciły zajęcie i biegły na spotkanie nasze. Wypróżniały kosze, a bułki, chleb, całe wianki serdelków i powrozy kiełbas przelatywały w powietrzu ponad głowami otaczających nas żołnierzy i wszystko to dostawało się do rąk naszych".

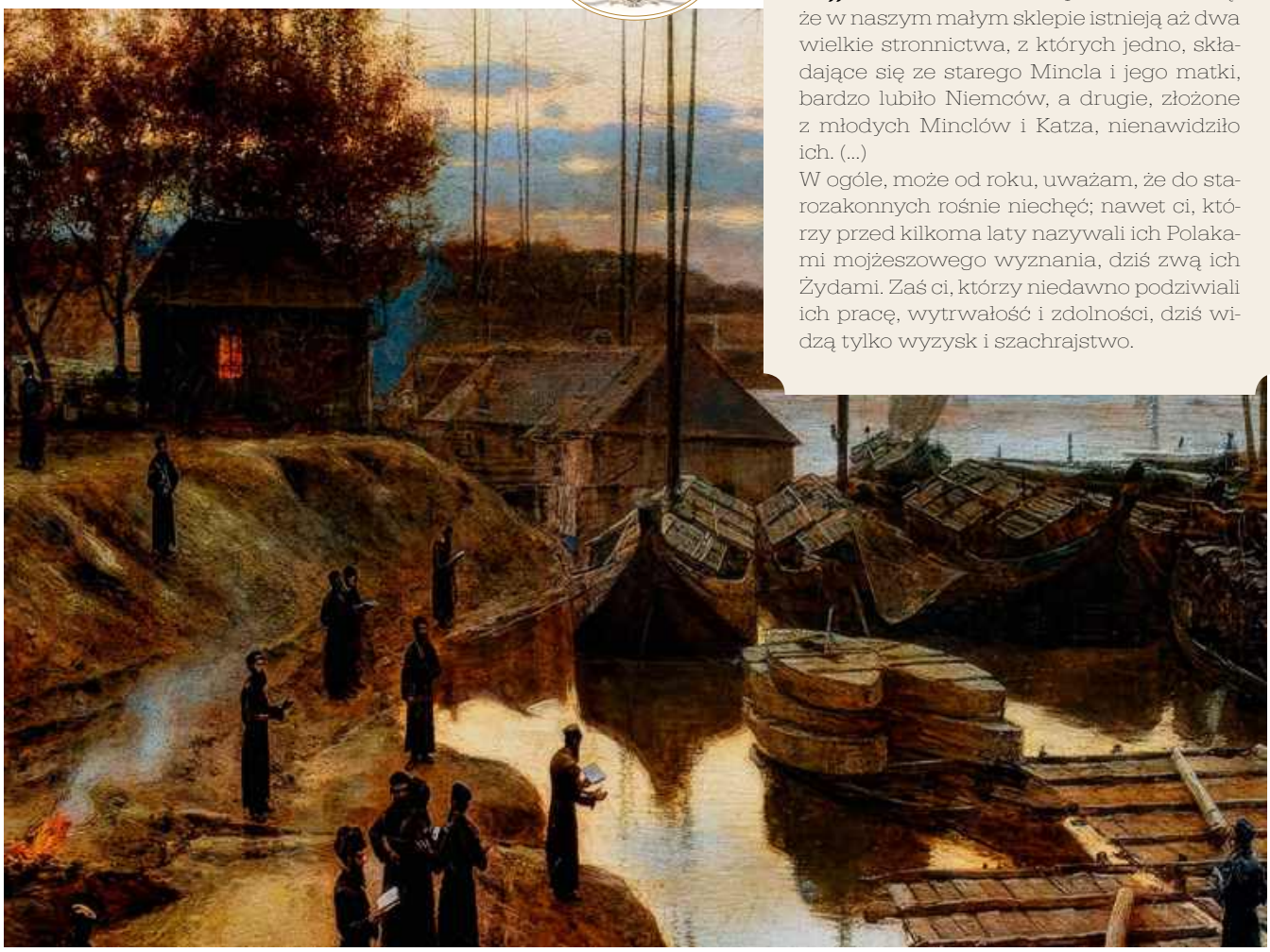
Z punktu widzenia rozwoju przestrzennego Cytadela zahamowała rozbudowę Warszawy na wiele dekad, szczególnie w kierunku północnym. Kompleks wraz z rozbudowywanym systemem fortów uwięził Warszawę w ciasnych ramach i dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości możliwe stało się planowanie rozwoju miasta w tym kierunku. Niemniej Cytadela pozostaje do dziś najbardziej trwałą pamiątką po carskiej Rosji w Warszawie.

Tomasz Targański

Bibliografia: Aleksander Kraushar „Czasy sądownictwa rosyjskiego w Warszawie"; Lech Królikowski „Warszawa w cieniu dwugłowego orła"; Malte Rolf „Rządy imperialne w Kraju Nadwiślańskim. Królestwo Polskie i cesarstwo rosyjskie 1864–1915"; Agata Tuszyńska „Rosjanie w Warszawie"; Stanisław Wiech „Klub Ruski w Warszawie"; „Towarzystwo warszawskie. Listy do przyjaciółki. Przez Baronową X.Y.Z.".

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Z czasem przekonałem się, że w naszym małym sklepie istnieją aż dwa wielkie stronnictwa, z których jedno, składające się ze starego Mincla i jego matki, bardzo lubiło Niemców, a drugie, złożone z młodych Minclów i Katza, nienawidziło ich. (...)
W ogóle, może od roku, uważam, że do starozakonnych rośnie niechęć; nawet ci, którzy przed kilkoma laty nazywali ich Polakami mojżeszowego wyznania, dziś zwą ich Żydami. Zaś ci, którzy niedawno podziwiali ich pracę, wytrwałość i zdolności, dziś widzą tylko wyzysk i szachrajstwo.



❖ Święto Trąbek; obraz Aleksandra Gierymskiego, 1884 r. Poniżej: Portret Żydówki z pomarańczami tego samego malarza.

Ci inni

Mniejszości niemiecka i żydowska w Warszawie w oczach Polaków.

Andrzej Chwalba



Migranci. Warszawa po powstaniu styczniowym potrafiła peryferyjne położenie na zachodnich rubieżach Imperium Rosyjskiego przekuć na źródło ekonomicznego i materialnego sukcesu. Stała się znaczącym punktem przeładunkowym towarów, ale również wymiany idei oraz wzorców kulturowych między wschodem i zachodem. Jej bliskie sąsiedztwo z Prusami/Niemcami i Austrią/Austro-Węgrami stwarzało dogodne perspektywy i Warszawa przyciągała tysiące migrantów z Królestwa, Rosji, z zagranicy. Od lat 50. do 80. XIX w. połowa nowych mieszkańców to efekt przyrostu naturalnego, a druga połowa – imigracji.

Wśród migrantów znaczną część stanowili cudzoziemcy, których najwięcej przybyło z Niemiec. Osiedlali się też Czesi, Szwedzi, Szkoci, Anglicy, Francuzi, Włosi, Serbowie, Holendrzy. Warszawę wybierano, gdyż stwarzała obiecujące

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Portrety przemysłowców Jana Blocha i Emila Alberta Wedla oraz namiestnika Fiodora Berga.

perspektywy awansu materialnego. Polskie władze Księstwa Warszawskiego, a następnie (niezawisłego do 1832 r.) Królestwa Polskiego czyniły wiele, aby zachęcić cudzoziemców.

Od połowy XIX w. miasto nie było już tak atrakcyjnym miejscem pracy i kariery dla Niemców, ponieważ rozwijała się wówczas intensywnie gospodarka zjednoczonych Niemiec, która potrzebowała rąk do pracy. Ludzie zbędni preferowali wyjazd do Ameryki, a nie na wschód. Stosunkowo nieliczni lokowali swój kapitał intelektualny i finansowy nad Wisłą.

Choć w drugiej połowie stulecia społeczność niemiecka w liczbach bezwzględnych rosła, to jednak na tle dynamiki demograficznej Warszawy jej wzrost był niewielki, a udział w stosunku do ogółu mieszkańców malał. W 1805 r. Niemcy liczyli w Warszawie ok. 10 proc. ogółu ludności, w 1810 r. – 8,8 proc., w 1882 r. – już tylko 4,6 proc., a w 1913 r. – ok. 2,4 proc. Jednocześnie wśród osadników nasiliły się procesy asymilacyjne. Słabł żywioł niemiecki. W ciągu stulecia polonizacja prawie się zakończyła. Świadczyło to o atrakcyjności polskiej oferty kulturowej. Zobrazował to Bolesław Prus w „Lalce", dając przykład kupieckiej rodziny Minclów, u której pracował Ignacy Rzecki i okresowo Stanisław Wokulski, który po śmierci Jana Mincla pojął wdowę za małżonkę. Choć też pochodziła z rodziny o niemieckich korzeniach, jak można domniemywać z powieści, czuła się Warszawianką i Polką. Podobnie było w rodzinie kupieckiej Hopferów, u których pracował Wokulski jako kelner i barman.

Ewangelicy swoi i rosyjscy. Osadnicy niemieccy mieszkali w różnych rewirach Warszawy. Nie stworzyli własnej dzielnicy. Nie mieli takich potrzeb. Nie musieli się separować. Stanowili ważną część warszawskiej klasy średniej i wyższej. Głównie to rzemieślnicy, kupcy, fabrykanci i finansiści oraz przedstawiciele wolnych zawodów i inteligencji, jak adwokaci, notariusze, lekarze, inżynierowie i technicy, specjaliści od rachunkowości, urzędnicy w firmach prywatnych i w miejskiej administracji.

W drugiej połowie wieku uległy przyspieszeniu zjawiska polonizacyjne wśród kolejnych generacji Niemców. Wśród nich byli właściciele średnich i dużych zakładów wytwórczych w różnych branżach: metalowej, maszynowej, spożywczej (w tym piwowarskiej). To oni w znacznym stopniu przesądzili o atrakcyjności i różnorodności polskiego przemysłu Warszawy. Ich lista jest długa. Przywołajmy najważniejsze nazwiska: Lilpop, Rau, Szwede, Herbst, Szlenkier, Spiss, Werner, Strasburger, Borman, Wedel. Dzięki powiązaniu z rynkami Rzeszy i zachodem Europy wprowadzali nowe technologie i organizację pracy, a ich firmy szybko się unowocześniały. Produkty z ich fabryk i warsztatów były cenione w Cesarstwie Rosyjskim i w sąsiednich państwach Europy.

Po powstaniu styczniowym, w dobie coraz bardziej przyspieszającej rusyfikacji życia codziennego, ustroju politycznego i służb cywilnych (art. s. 66) do Warszawy przybywali rosyjscy ewangelicy, czyli Niemcy pochodzący z Petersburga czy z dawnych Inflant. Choć uważali się za Niemców, to przecież żyjąc wśród Rosjan, pracując w cesarskich urzędach i służąc w wojsku, ulegali rosyjskiej kulturze biurokratycznej i wojskowej. Stanowili stosunkowo liczną społeczność, zwłaszcza w latach tuż popowstaniowych, kiedy namiestnikiem został ewangelik hrabia Fiodor Berg, a jego następcą jako generał-gubernator Paweł Kotzebue. Ewangelicy z Cesarstwa byli wówczas tak wpływowi, że Rosjanie żalili się w Petersburgu, że są dyskryminowani.

Ewangelicy rosyjscy nie wiązali się towarzysko z ewangelikami warszawskimi. To były zupełnie różne światy. Ci pierwsi byli częścią aparatu władzy, ci drudzy poddanymi. Poza tym, o ile warszawscy integrowali się ze społeczeństwem lokalnym, o tyle rosyjscy byli niczym przelotne ptaki. Po zakończeniu służby najczęściej wracali do Rosji. Dlatego w „Lalce" nie widzimy przedstawicieli tej społeczności, bo dla Prusa nie miało znaczenia, czy ktoś był ewangelikiem, czy prawosławnym, ale jedynie to, czy był częścią aparatu władzy. Dla nich nie było miejsca w powieści.

Religia ponad narodowością. Jedni przybysze niemieccy byli ewangelikami, inni katolikami. Ci ostatni nieraz już w pierwszym pokoleniu wtapiali się w polską społeczność, jednocześnie zachowując własne wzorce mentalne, sposób funkcjonowania, zainteresowania, przyjaźnie. Byli dobrze zorganizowani, pracowici, sumienni, w firmie przestrzegali ładu i porządku, a w domu czystości. Ewangelicy już tak szybko nie ulegali asymilacji do kultury polskiej. Odrębne wyznanie spowalniało nieuchronne procesy. Ale nawet ci, którzy już uznali się za Polaków, preferowali związki małżeńskie z podobnymi sobie pod względem wyznania. Luteranizm, przynajmniej wówczas, był dla nich istotniejszy jako znak wspólnotowości niż taka czy inna opcja narodowa. Dla ewangelików parafia, świątynia, cmentarz były najważniejszymi punktami odniesienia. Zgodnie z tradycją

eprasa.pl 37c4d1858f



sięgającą Lutra, jego wyznawcy angażowali się w pracę parafii, która tworzyła sieć rozmaitych inicjatyw oświatowych, towarzyskich, biznesowych, dobroczynnych.

Nie inaczej było w Warszawie. Parafia i świątynia pod wezwaniem św. Trójcy powstały dopiero pod koniec XVIII w. Od początku świątynia była nie tylko miejscem modlitwy, ale i pracy społeczności ewangelickiej. Obok ewangelików augsburskich (luteran) Warszawę zamieszkiwali ewangelicy wyznania helweckiego, czyli ewangelicko-reformowanego, którzy w 1880 r. poświęcili własną świątynię. Od tej pory zmarłych chowali na własnym cmentarzu (wcześniej na ewangelicko-augsburskim).

Świat żydowski. Odrębne i szczególne miejsce w dziejach Warszawy czasów „Lalki" mieli wyznawcy religii mojżeszowej ze względu na liczebność i znaczenie dla dziejów miasta. Byli nazywani i sami się nazywali starozakonnymi, Żydami, Izraelitami, Hebrajczykami. W epoce nowożytnej oficjalnie nie wolno im było zamieszkiwać Starej i Nowej Warszawy. Mieszkali więc w niej nielegalnie. Natomiast legalnie osiedlali się w warszawskich i podwarszawskich jurydykach należących do polskich panów. Jurydyki były rodzajem enklaw, w których nie obowiązywały prawa miejskie. Stopniowo w XIX w. znoszono prawa ograniczające im możliwość zamieszkania. Niemniej do 1862 r. Żydzi nie dysponowali takimi prawami jak ludność chrześcijańska.

Nowe prawa przyznane im przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego spowodowały, że zmieniła się sieć osadnicza. Żydzi – ci zamożni i wykształceni, egzystujący w innym niż ich współwyznawcy otoczeniu biznesowym i towarzyskim – zamieszkali w nowych miejscach, mogli nabywać nieruchomości, inwestować. Natomiast przeważająca część starozakonnej społeczności pozostała między swoimi, przede wszystkim na Nalewkach, we własnej, zamkniętej dzielnicy. Chrześcijanie mieszkali tam sporadycznie, częściej bywali, by kupić produkty oferowane przez żydowskich rzemieślników.

Społeczność żydowska w Warszawie i szerzej w Królestwie cechowała się wysoką dynamiką demograficzną. Pod koniec lat 70. Żydzi stanowili około jednej trzeciej ogółu mieszkańców Warszawy, a w kolejnych dziesięcioleciach ich udział jeszcze wzrósł. Szybko powiększająca się liczba wyznawców religii mojżeszowej w Warszawie była także następstwem migracji z królewieckich miasteczek oraz z Cesarstwa Rosyjskiego, zwłaszcza z Litwy (tych nazywano litwakami).

Ich masowa ucieczka z cesarstwa i osiedlanie się nad Wisłą wywołały zaniepokojenie polskiej społeczności. Podniosła się temperatura wzajemnego napięcia, wzmogły emocje. Ale również Żydzi warszawscy, zwłaszcza początkowo, nie byli szczęśliwi z powodu przybycia nowych migrantów ze względu na ich rosyjskie naleciałości, inną wersję jidysz, nieznajomość specyfiki Warszawy, konkurencyjność w stosunku do miejscowych starozakonnych zwłaszcza w importowaniu towarów z Rosji. Ale ten czas nieufności szybko minął i nastał okres obopólnie korzystnych dla obu społeczności żydowskich kontraktów handlowych.

Świat żydowski rządził się swoimi prawami, a o ich przestrzeganiu decydowała gmina. Jej charakter i kompetencje określało państwo rosyjskie. Jednak jeśli przepisy państwowe były niezgodne z zasadami judaizmu, postępowano tak, aby je obchodzić i swoje praktykować. Żydzi byli w tym mistrzami. Władzę zwierzchnią w gminie sprawował kahał. Najważniejszą osobistością był rabin wybierany przez władze kahalne. Rabini często wywodzili się spoza Warszawy. Odpowiadali za kwestie religijne, poczynając od wprowadzenia do wspólnoty, aż po pochówek. Nadzorowali łaźnie rytualne, cmentarze, bractwa cmentarne i organizacje dobroczynne. Mieli władzę nad szkolnictwem religijnym.

W 1822 r. rozwiązano w Królestwie Polskim kahały krytykowane za kolesiostwo, fiskalizm, za marnotrawienie grosza publicznego. W ich miejsce wprowadzono dozory bożnicze, ale poza nazwą niewiele się zmieniło. W 1870 r. dozór bożniczy stał się zarządem gminy. Istota nadal pozostawała bez zmian. Żydzi bronili swojej samorządności i prawa do życia w ramach świata religijnego i obyczajowego, który odziedziczyli po przodkach. W wyborach do organów gminy obowiązywał cenzus wykształcenia i majątku. Jedynie stosunkowo niewielka mniejszość miała prawa wyborcze. Pod koniec lat 70., w których toczy się akcja „Lalki", prezesem gminy był Ludwik Natanson, lekarz, sprawny dyplomata, doskonały gospodarz, znawca finansów.

Chasydzi. Językiem komunikacji między współwyznawcami był jidysz, językiem synagogi – hebrajski. Nieliczni i wykształceni posługiwali się w domu niemieckim lub polskim. Ale to jednostki. Żydzi uważali się jedynie za wspólnotę religijną. Pojęcie nowoczesnego narodu było im obce. W XVIII w. ci, którzy stanowili dotychczas silnie zintegrowaną wspólnotę odseparowaną od obcych wpływów, zaczęli ulegać nowym prądom społecznym i kulturowym. Dalej byli wspólnotą, ale wewnętrznie pękniętą i skonfliktowaną. Osłabła pozycja rabinów i starszyzny gminnej. Ich władzę zakwestionowali w XVIII stuleciu chasydzi, czyli pobożni.

Chasydyzm dotarł do rogatek warszawskich jeszcze w tym stuleciu, a w kolejnym doprowadził do wykształcenia się odrębnej judaistycznej wspólnoty. Wyłonienie się chasydyzmu było buntem przeciwko oligarchii kahalnej, korupcji, fiskalizmowi. Chasydzi sięgali do tradycji kabały, do księgi Zohar, do tradycji mistycznej. Ich pobożność była inna niż wyznawców judaizmu rabinicznego, zwanego też talmudycznym. Zamiast ascezy i umartwiania proponowali radosną modlitwę, która jest mistycznym uniesieniem. Miłość do Boga w sposób żywiołowy wyrażali poprzez taniec, śpiew, ruch. Stąd słynne kapele chasydzkie. Nie byli wspólnotą sformalizowaną, lecz dobrowolną, opartą na autorytecie cadyków, czyli sprawiedliwych.

Na kształt chasydyzmu w warszawskim wariancie istotny wpływ mieli cadycy z Góry Kalwarii. Wokół nich gromadzili się pielgrzymi, uczniowie, Żydzi spragnieni kontaktu z tymi, który doradzą i pomogą. Cadyk nie był urzędnikiem,

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Kościół ewangelicko-augsburski św. Trójcy; obraz Jana Seydlitza, 1860 r.



❖ Zakłady maszyn rolniczych Evansa, Lilpopa i Raua; obraz Wojciecha Gersona, po 1865 r.

lecz osobą duchowną, jak mówili chasydzi: świętą. To dzięki ich poparciu przewodniczącym gminy warszawskiej został Natanson.

Reformatorzy. W drugiej połowie XIX w. tak silne wcześniej napięcia między chasydami a Żydami rabinicznymi osłabły, gdyż pojawiły się kolejne prądy ideowe zalecające z kolei modernizację wspólnot żydowskich. Ich wyznawcy byli otwarci na świat, na świecką edukację, na intensywne relacje z chrześcijanami. Byli groźnymi przeciwnikami dla jednych i drugich. To byli Żydzi wychowani w kulcie oświeceniowego racjonalizmu. Judaizm oświeceniowy narodził się w połowie XVIII w. w krajach niemieckojęzycznych i przybrał nazwę haskali. W kolejnych dziesięcioleciach przywędrował na ziemie polskie.

Wyznawców judaizmu oświeceniowego nazywano maskilami. Pragnęli oni wyrwać Żydów z – jak powiadali – ciemnogrodu, z kręgu zabobonów i magii i wprowadzić do nowoczesnej europejskiej społeczności. Podjęli się reformy judaizmu. Zaproponowali inny jego model, w tym nowy charakter nabożeństw, sięgając do doświadczeń protestanckich. Wprowadzili chór, śpiew, a nawet organy, kazania w językach nowożytnych. Chcieli zmiany wprowadzić w synagogach, ale natrafili na zdecydowany opór ze strony ortodoksyjnych wspólnot i rabinów. Rabini odrzucili propozycję reformy judaizmu, a jej wyznawców nazywali półgojami, a nawet mocniej – heretykami. Dlatego reformatorzy zdecydowali się na tworzenie własnych synagog, tzw. postępowych. Najlepszym tego przykładem była imponująca synagoga przy Placu Tłomackiem w Warszawie.

Reformatorzy chcieli też tworzyć własne gminy, ale władze państwowe nie wyraziły zgody. Byli nieliczni, lecz reprezentowali najzamożniejsze i najlepiej wykształcone warstwy żydowskie. W Warszawie w porównaniu z miasteczkami Królestwa i tak byli liczni. Odrzucili chałaty, a kobiety peruki i ubierali się tak jak europejskie elity. Najczęściej nie znali już jidysz, a w relacjach z otoczeniem posługiwali się coraz częściej językiem polskim.

Niektórzy spośród nich intensywnie chłonęli polską kulturę i zaczęli się uważać za Polaków wyznania mojżeszowego. Uważali, że skoro są Polacy katolicy, Polacy ewangelicy, a nawet Polacy prawosławni, to mogą być również mojżeszowi. Asymilacja do kultury polskiej oznaczała akces do polskiego narodu wraz z jego aspiracjami, marzeniami, tradycją. Nazywano ich asymilatorami. Angażowali się w ruch niepodległościowy i wspierali polskie przedsięwzięcia kulturalne, oświatowe, gospodarcze, dobroczynne. Mieli własne organy prasowe, takie jak „Jutrzenka" czy „Izraelita". Niektórzy poszli jeszcze dalej, dokonując konwersji na wyznania chrześcijańskie. Najbardziej znani konwertyci to Leopold Kronenberg i Jan Bloch. Asymilatorów wsparli polscy liberałowie, a wśród nich autor „Lalki".

Nastroje pogromowe. Asymilatorzy byli przez ortodoksów nie tylko krytykowani, lecz także potępiani. Jedni i drudzy wzajemnie się od siebie odsuwali. Asymilatorzy nie byli też akceptowani przez rodzące się polskie środowiska antysemickie i nacjonalistyczne. Antysemici z publicystą Janem Jeleńskim na czele uważali, że asymilatorzy są bardziej niebezpieczni od ortodoksów, gdyż tylko udają Polaków. Czyli ich akces do polskości to typowy żydowski geszeft; chcą wejść w polski świat, aby mu szkodzić, aby niszczyć polską tradycję. Takich prawicowych radykałów opisał Prus (m.in. subiekci ze sklepu Wokulskiego i znajomi Rzeckiego). Nie mogli darować Żydom ich skuteczności finansowej, operatywności, wiedzy, zamożności, kupieckiego sprytu, solidarności mimo różnic. Zawiść zrodziła przemoc. Podczas rozmów zapowiadali rychły wybuch wojny polsko-żydowskiej i pogromy.

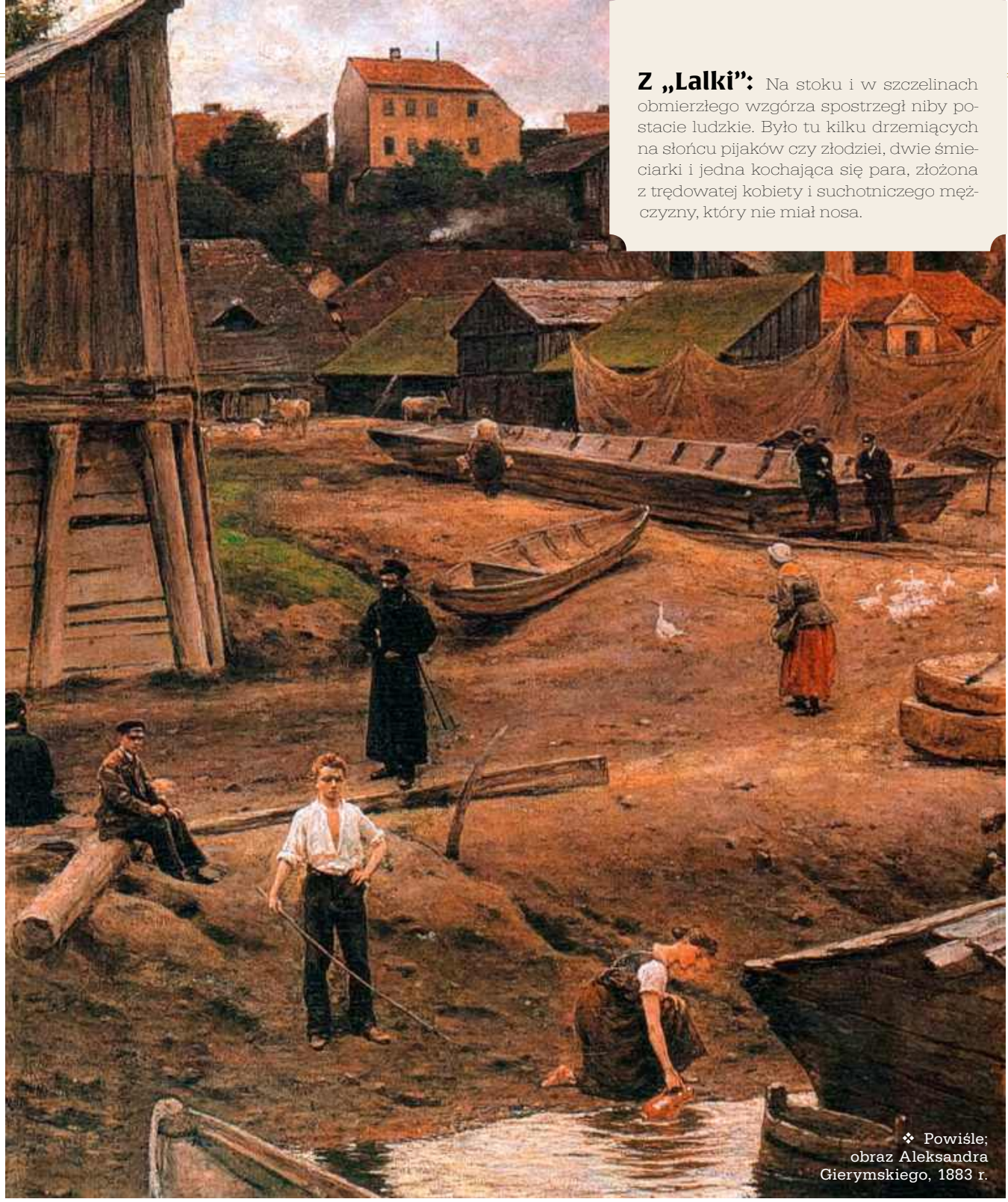
W 1881 r. zginął z rąk rewolucjonistów cesarz Aleksander II. Rosyjska prasa, administracja, policja uznały Żydów za odpowiedzialnych za zamach. Przez Rosję przetoczyła się fala pogromów. Dotarła też do Warszawy. Wystarczył pretekst, by – jak powiadali polscy inteligenci – motłoch uderzył w dzielnicach żydowskich. Palono sklepy i mieszkania, niszczono sprzęt domowy, rabowano to, co cenne, poturbowano setki Żydów. Były ofiary śmiertelne. Przez trzy dni, aż do 27 grudnia, policja nie interweniowała. Prasa potępiła uczestników pogromu, potępił Kościół katolicki, potępił Prus, ale wirus antysemityzmu docierał do kolejnych środowisk polskich.

Pod koniec XIX w. nastąpiło kolejne tąpnięcie w żydowskiej wspólnocie, a to w następstwie pojawienia się idei narodowej i żydowskiego nacjonalizmu pod nazwą syjonizmu. Syjoniści podkreślali, że Żydzi są nie tylko odrębnym wyznaniem, ale też odrębnym narodem i chcą powrotu co Syjonu, do Jerozolimy, aby tam tworzyć własne państwo. Kiedy Prus pisał „Lalkę", syjoniści już byli aktywni.

ANDRZEJ CHWALBA

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Na stoku i w szczelinach obmierzłego wzgórza spostrzegł niby postacie ludzkie. Było tu kilku drzemiących na słońcu pijaków czy złodziei, dwie śmieciarki i jedna kochająca się para, złożona z trędowatej kobiety i suchotniczego mężczyzny, który nie miał nosa.



❖ Powiśle; obraz Aleksandra Gierymskiego, 1883 r.

Zaułki miasta

Warszawski półświatek roił się od bandytów, przemytników, stręczycieli i handlarzy ludźmi. Nie brakowało nawet złodziei bielizny.

Tomasz Targański

Podziemna Warszawa. W drugiej połowie XIX w. Warszawa przeżywała intensywny rozwój demograficzny. Jej zaludnienie rosło w lawinowym tempie, osiągając pod koniec lat 90. ponad 600 tys. mieszkańców (wobec ok. 160 tys. w 1850 r.). Błyskawiczna urbanizacja, przeobrażenia gospodarcze, rozwój przemysłu prowadziły do marginalizowania coraz większej liczby ludzi, i to właśnie z tej grupy rekrutował się świat podziemnej Warszawy. Świat złodziei, paserów, sutenerów, alfonsów, kanciarzy i dzielni-

eprasa.pl 37c4d1858f

cowych apaszów (termin zaczerpnięty z francuskiego *apaches* – określający chuliganów i przestępców).

Za główne gniazda kryminalistów uważano najuboższe dzielnice, takie jak Wola, Powiśle oraz znaczną część Starego Miasta. To tam na wąskich, zaniedbanych uliczkach między rachitycznymi drewnianymi domkami i przeludnionymi kamienicami kwitło życie przestępcze. Powiśle – które Wokulski nazwał skupiskiem wszelkiej zarazy – znane było z podejrzanych karczm i wyszynków oraz wysokiego wskaźnika przestępczości i prostytucji. Całe nadbrzeże Wisły, gdzie między składowanymi sągami drewna stale czaili się bandyci wypatrujący zbłąkanych przechodniów, miało skrajnie złą opinię. Pisarz i felietonista Henryk Nagiel tak opisał przedmieścia Woli: „Wieczorem przejść tu niepodobna. Mieszkańcy sąsiednich domków słyszą nieraz o późnej nocy jakieś dzikie okrzyki i charczenie, odgłosy walki i rozpaczliwe wołania".

Ponieważ carskie organy represji dużo bardziej niż zwykłą przestępczością interesowały się działalnością wywrotową Polaków, Warszawa była miastem bardzo niebezpiecznym, a nocni spacerowicze na Starym Mieście prosili się o kłopoty. Nie bez powodu przezorni nosili ze sobą małe noże albo scyzoryki, aby mieć czym przeciąć zarzuconą na szyję pętlę. Ówczesna prasa – używając specyficznego języka – codziennie opisywała rozboje, napady i uliczne burdy. „Kmotr cichy zebrał bandę andrusów, którzy oskubywali frajerów w okolicy i figlowali, póki nie zrobiono obławy, podczas której schwytano herszta" – donosił w 1884 r. „Tygodnik Ilustrowany". Świat przestępczy korzystał na wszechobecnej wśród carskich policjantów korupcji. Funkcjonariusze najczęściej przymykali oko albo wypuszczali aresztowanych za najbliższym rogiem. Według Stanisława Milewskiego, autora książki „Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy", standardowa stawka za wypuszczenie aresztanta w trakcie konwojowania na posterunek wynosiła trzy ruble.

Warszawski półświatek miał silnie zhierarchizowaną strukturę, a kwestia specjalizacji była stosunkowo płynna. Złodziej mógł równocześnie parać się sutenerstwem i paserstwem bądź zaczynać jako kieszonkowiec i po pewnym czasie awansować na handlarza kobietami. Różne szajki miały odmienne specjalizacje, np. fałszowanie czeków czy okradanie przyjezdnych na dworcach. Największym źródłem dochodu była prostytucja. Status sutenera w hierarchii świata przestępczego zależał od liczby prostytutek, które miał pod swoją kontrolą, lub od reputacji domu publicznego, który prowadził.

W całym Królestwie Polskim bardzo intratnym zajęciem był przemyt. Ze względu na wysokie cła i ograniczenia handlowe narzucane przez władze w Petersburgu w Warszawie działały osobne szajki czerpiące korzyści z przerzucania nielegalnych towarów przez granicę prusko-rosyjską. Szmuglowano przede wszystkim pożądane przez wyższe klasy artykuły luksusowe, jak wino czy drogie tkaniny. Przemytnicy cieszyli się wysoką pozycją w hierarchii półświatka. Działali zwykle za cichym pozwoleniem skorumpowanych carskich urzędników i mogli pozwolić sobie na wygodne życie.



❖ Typ z półświatka; rysunek prasowy, 1897 r.

Doliniarze i kosynierzy. Najniżej w przestępczej hierarchii stali uliczni złodzieje i pospolici bandyci. Proceder, jaki uprawiali, z pewnością nie zapewniał im dobrych zarobków, a obarczony był wielkim ryzykiem. Według oficjalnych statystyk w 1874 r. popełniono w Warszawie 2821 kradzieży na sumę 104 500 rubli. Bolesław Prus przytoczył te dane w swoich „Kronikach", wyliczając, że gdyby złodzieje podzielili całą sumę sprawiedliwie między siebie, każdy zarobiłby ok. 30 rubli.

Zwykłych kieszonkowców nazywano w gwarze doliniarzami (od dolnej kieszeni marynarki bądź płaszcza). Tzw. kosynierzy posługiwali się scyzorykami, aby niezauważenie rozciąć materiał i opróżnić kieszeń delikwenta. Po mieście krążyły pary ulicznych złodziei: jedna osoba odwracała uwagę ofiary, podczas gdy druga pozbawiała ją cennych przedmiotów. Kradzieży najczęściej dokonywano w miejscach, gdzie panował ścisk: na targowiskach, w komunikacji publicznej oraz na cmentarzach. Te ostatnie, zwłaszcza podczas pogrzebów, były istnym rajem dla kieszonkowców, a ich łupem padały nie tylko pugilaresy z gotówką, ale również tabakiery, łańcuszki, zegarki, a nawet chusteczki.

Prawdziwym utrapieniem zwykłych mieszkańców była plaga kradzieży bielizny. Zajmowali się nią pajęczarze – w złodziejskim slangu określenie obmieść pajęczynę znaczyło tyle, co wyczyścić strych. Bielizna była wówczas droga i jak każdy element garderoby można ją było sprzedać na targowisku. W 1847 r. „Kurier Warszawski" zamieścił doniesienie o złapaniu złodziejki. Kradzieży dokonała dwukrotnie już karana więzieniem 20-letnia Katarzyna Nowacka, która otworzyła wytrychem strych i zabrała stamtąd bieliznę o wartości 114 zł. Gdy ją ujęto, miała przy sobie 11 szperaków, czyli wytrychów.

Złą sławą cieszyły się żydowskie targowiska, takie jak Kercelak czy Wołówka. Szczególnie ta ostatnia – centrum handlu wszelkiego rodzaju tandetą – była miejscem, gdzie upłynniało się trefne, czyli kradzione, towary. „Nierzadko bójki, kotłowanie się tłumu, krzyki »Łapaj! Złodziej! Ganef!«, twarze pokrwawione, poszarpana odzież i straszne jakieś, pokurczone postacie, wleczone przez policjanta wśród ryku, świstu i koguciego piania roznamiętnionego tłumu" – tak opisał Wołówkę pisarz i felietonista Wiktor Gomulicki.

Zdarzało się, że okradziony dawał ogłoszenie w prasie, prosząc o zwrot przedmiotów, które miały wartość sentymentalną. W 1887 r. „Kurier Warszawski" opublikował list do złodzieja, który splądrował mieszkanie i „przywłaszczył sobie: dywizkę złotą, zegarek srebrny, obrączkę złotą itd. mające wartość tylko pamiątkową. Upraszam pokornie sz. p. złodzieja, żeby je odesłał". Autor anonsu obiecywał, że „zachowa dyskrecję i wyśle pod wskazany adres 10 rubli srebrem".

Stałym celem złodziei byli chłopi zwożący do Warszawy swoje towary (w złodziejskiej gwarze nazywano ich biedronami). Wiadomo było, że po sprzedaniu tego, z czym przyjechali, udadzą się do najbliższej knajpy, gdzie czekali już na nich kieszonkowcy. Z kolei na rogatkach miasta

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Elegantka z ulicy Miłej; akwarela Franciszka Kostrzewskiego, 1898 r.

na chłopów czaiły się szajki potokarzy, czyli tych, którzy kradli towary przewożone na wozach. Chłopom bardzo doskwierali również złodzieje koni (tzw. hołociarze, słowo hołota oznaczało konia). Profesjonalni hołociarze byli w stanie po cichu wyprowadzić konie ze stajni, owinąwszy im kopyta szmatami, podczas gdy ich właściciele pili w zajeździe.

Panny stojące. Bardzo ważną częścią krajobrazu miasta, którą Bolesław Prus w „Lalce" dyskretnie przemilczał, była prostytucja. Ostatnie dekady XIX w. to złoty wiek warszawskich lupanarów. Dosłownie skolonizowały one Stare Miasto, które jeszcze niedawno było miejscem kościołów i siedliskiem inteligencji, a w błyskawicznym tempie stało się dzielnicą burdeli i półświatka. Prostytutki nazywano wówczas pannami stojącymi lub demimondówkami. Ich werbowaniem do domów publicznych zajmowały się często inne kobiety, zawodowe rajfurki, które wyszukiwały biedne i zagubione dziewczyny z prowincji.

W 1885 r. Jan Maurycy Kamiński, prawnik i były powstaniec styczniowy, podjął pierwszą próbę socjologicznego opisania problemu nierządu w Warszawie. Efektem była praca „O prostytucji", w której skategoryzował prostytutki według kilku głównych typów: jedne urzędowały tylko w domach publicznych, drugie przyjmowały klientów w domach schadzek tolerowanych, trzecie przyjmowały klientów w podnajętych przez siebie pokojach i były tolerowane przez władze, chociaż nie miały stosownych książeczek. Czwartym – położonym najniżej w hierarchii typem – były kobiety bez środków do życia, które wałęsały się po ulicach i oddawały się klientom za kawałek chleba.

Czym innym od domów publicznych były domy schadzek (fr. *maison de rendez-vous*) przeznaczone dla mężczyzn z wyższej i średniej klasy. Urządzano w nich wieczorne spotkania z kobietami, które nie zawsze były zawodowymi prostytutkami, a jeśli były, to pozostawały pod stałą opieką lekarską i musiały legitymować się tzw. czarną książeczką z poświadczeniem ich stanu zdrowia. Ekskluzywność tych lokali polegała na tym, że mogły być usytuowane przy lepszych ulicach, a nie w szemranych zaułkach, a poza tym dopuszczano w nich muzykę, tańce, a za odrębnym pozwoleniem nawet bufet.

Zarówno burdele, jak i domy schadzek znajdowały się pod czujnym okiem carskich władz. Świat nierządu i policji mocno się wówczas przenikały. W wielu domach publicznych oprócz portiera rezydował policmajster, który miał za zadanie pilnować w nim porządku. Generał Nikołaj Kleigels – warszawski oberpolicmajster w latach 1888–96 – zyskał sobie wśród mieszkańców miano estety prostytucji, jako że zaangażował się w budowę przy ul. Targowej luksusowych domów publicznych, w których kobiety przebierały się w egzotyczne stroje, a szklanka herbaty kosztowała aż rubla. Tamtejsze domy publiczne odwiedzali chętnie zamożni oficerowie. W ówczesnej prasie chwalono oberpolicmajstra za troskę o higienę w mieście. Najsłynniejszy z tych luksusowych przybytków prowadziła madame Szlimakowska. Jej dom schadzek pysznił się marmurami i kryształami, pełen był gabinetów-sypialni i zacisznych buduarów.

Ponieważ domy publiczne działały na podstawie zezwoleń wydawanych przez policję, kojarzono je z rosyjską władzą. Kiedy nastroje rewolucyjne w Warszawie w 1905 r. sięgnęły zenitu, burdele stały się celem ataku środowisk robotniczych. Rozpoczęty 24 maja pogrom alfonsów początkowo był wymierzony w żydowskich sutenerów na Woli, ale w ciągu kilku dni objął prawie całe miasto. Alfonsów, ich wspólników i prostytutki wyciągano na ulicę, bito, a lokale dewastowano. Zamieszki trwały tydzień, a nawet po ich zakończeniu robotnicy dokonywali samosądów na sutenerach.

Handel ludźmi. Warszawa końca XIX w. była również ważnym punktem na mapie globalnego handlu ludźmi. Organizacją, która zmonopolizowała przerzut kobiet z Królestwa Polskiego do Ameryki Południowej, było założone w Argentynie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Varsovia, znane później jako Cwi Migdal. Ów sutenerski syndykat tworzyło kilka żydowskich rodzin emigrantów z Warszawy, a jednym z założycieli był Cwi Migdal, znany w Argentynie jako Luis Migdal. Jego krewniacy kontrolowali większość warszawskich domów publicznych, co zapewniało dostęp do żywego towaru, który szlakiem przez atlantyckie porty wysyłano do Brazylii i Argentyny. Ofiarami szajki padały najczęściej biedne dziewczyny przyjeżdżające ze wsi i żydowskich sztetli do Warszawy w poszukiwaniu pracy. Zwiedzione obietnicą małżeństwa trafiały do domów publicznych w Buenos Aires. Zjawisko zyskało na tyle masowy wymiar, że słowo *polacca* w Argentynie stało się synonimem prostytutki.

Ponieważ członkowie Cwi Migdal rekrutowali się przede wszystkim z żydowskiej społeczności Warszawy, jej działalność przyczyniła się do narastania nastrojów antysemickich i była elementem napędzającym takie wydarzenia, jak wspomniany pogrom alfonsów. Organizację rozbito dopiero na początku lat 30. XX w. w Buenos Aires, ale niektórzy jej członkowie, np. Józef Zysman, wrócili do Warszawy, gdzie nadal działali w lokalnym półświatku.

Tomasz Targański

Bibliografia: Stanisław Milewski „Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy"; Paweł Rzewuski „Warszawa – miasto grzechu: Prostytucja w II RP".

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: – Co?... pojedynek? – krzyknął z błyszczącymi oczyma. – I może myślisz, że pojadę z tobą w roli lekarza?... Będę patrzył, jak dwu dudków strzela sobie we łby, i może jeszcze będę musiał którego z nich opatrywać?... Ani myślę mieszać się do tych błazeństw!...

Na szable i pistolety

Pojedynki – choć zakazane, to honorowe.



❖ Pojedynek; rysunek Józefa Brandta z epoki.

W „Lalce” Stanisław Wokulski wyzwał na pojedynek barona Krzeszowskiego, kiedy ten potrącił go w tłumie na wyścigach konnych. W czasach Bolesława Prusa żaden powód nie był zbyt błahy, by domagać się satysfakcji, jeśli urażony czuł, że jego honor został nadszarpnięty. Choć wedle obowiązującego w Królestwie Polskim kodeksu karnego pojedynki były zakazane (spowodowanie czyjejś śmierci lub ciężkiego zranienia w pojedynku groziło karą od 8 miesięcy do 10 lat więzienia o zaostrzonym rygorze), wciąż były powszechną formą załatwiania spraw honorowych, popularną szczególnie wśród arystokracji.

Miejscem starcia Wokulskiego z Krzeszowskim był Lasek Bielański i to właśnie tam odbywała się większość pojedynków – stosunkowo odosobnione miejsce zapewniało dyskrecję. Pojedynki miały swoją formę i zasady, co nie przeszkadzało ówczesnej prasie przedstawiać je jako wymuszony, trochę groteskowy teatrzyk: „Panowie we frakach/ Pojawiali się czasem;/ Testamenty w kieszeniach/ Twarze blade ze strachu/ Kłaniali sobie wzajem/ Z gracją i szacunkiem/ Potem szablą lub kulą/ Narządy sobie krajali”.

Nie każdy miał do takiego honorowego starcia prawo. Zażądać satysfakcji mógł ten, kogo cechowała zdolność honorowa, a więc szlachetnie urodzeni mężczyźni. Ale ponieważ druga połowa XIX w. była okresem gwałtownych przemian społecznych, pojedynkować zaczęła się również bogacąca się burżuazja. Dlatego sam fakt, że baron przyjął wyzwanie kupca, był dla Wokulskiego nobilitacją.

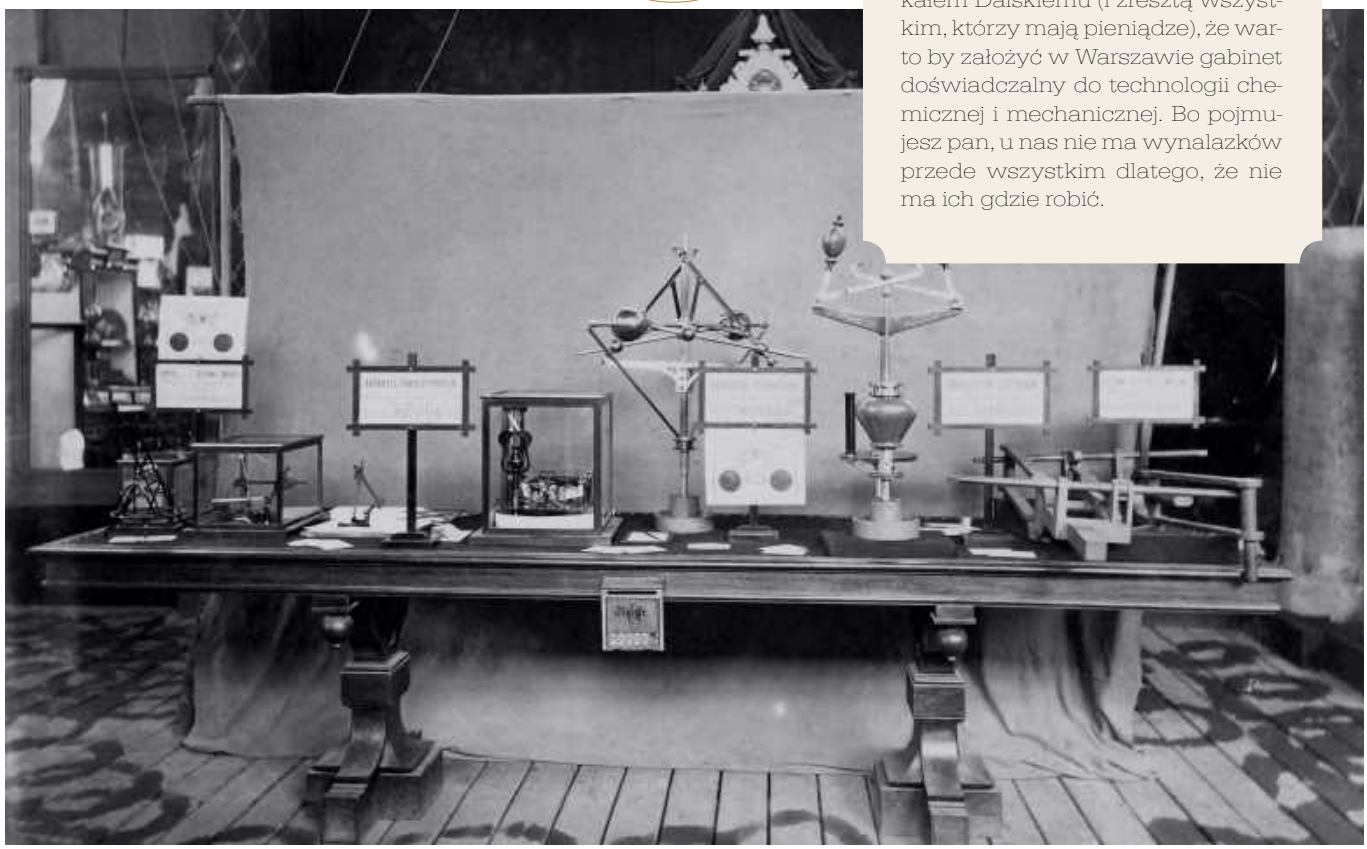
Warunki starcia ustalano indywidualnie przez sekundantów, którymi zostawali zazwyczaj przyjaciele walczących (Wokulskiemu sekundował Ignacy Rzecki). Pojedynkowano się najczęściej na broń białą (szpady, szable) lub na pistolety, a wybór należał do strony wyzywającej. W przypadku walki do pierwszej krwi wymiana ciosów lub strzałów musiała ustać po zranieniu jednego z przeciwników. Sekundanci kwalifikowali zadane rany i ewentualnie przerywali pojedynek. Czasem strony umawiały się, że pchnięcia są zakazane, bo niosły ze sobą większe ryzyko śmierci. W przypadku pojedynku na pistolety, duellanci (jak ich nazywano) zbliżali się do siebie miarowym krokiem, a najbliższą dopuszczalną odległością strzału było 15 kroków (ok. 12 m). Nieco inne zasady regulowały zatargi między cywilami i wojskowymi: przyjęło się, że cywil ma prawo odmówić oficerowi starcia na broń białą, ponieważ wojskowi mieli naturalną przewagę jako fechtujący zawodowo.

W Warszawie pojedynkowali się również żołnierze – oficerowie carskiego garnizonu. Zatargi między nimi z zasady były sprawą wewnętrzną armii rosyjskiej i rozstrzygały je wojskowe sądy honorowe. Poza nagminnymi konfliktami, jakie powstawały podczas zakrapianych alkoholem nocnych hulanek, zdarzały się również starcia na tle kompetencyjnym i to na najwyższym szczeblu. Szerokim echem odbił się konflikt między namiestnikiem Królestwa Polskiego Karolem Lambertem a wojskowym generał-gubernatorem Warszawy gen. Aleksandrem Gerstenzweigiem. W październiku 1861 r., kiedy w mieście wprowadzono stan wojenny z rozkazu Gerstenzweiga, aresztowano i uwięziono w Cytadeli ponad 1,6 tys. cywilów. Lambert uznawszy, że nie było podstaw ku takim represjom, bez porozumienia z Gerstenzweigiem nakazał zwolnić aresztowanych. Gerstenzweig nazwał Lamberta zdrajcą, co doprowadziło do pojedynku.

Obie strony zgodziły się na tzw. pojedynek amerykański (nazywany też grą o życie), w którym zwycięzca był wyłaniany w drodze losowania, a pokonany miał odebrać sobie życie. Padło na Gerstenzweiga, który popełnił samobójstwo, a Lambert podał się do dymisji. (TT)

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Ja nieraz napomykałem Dalskiemu (i zresztą wszystkim, którzy mają pieniądze), że warto by założyć w Warszawie gabinet doświadczalny do technologii chemicznej i mechanicznej. Bo pojmujesz pan, u nas nie ma wynalazków przede wszystkim dlatego, że nie ma ich gdzie robić.



❖ Nowatorskie urządzenia zaprezentowane w 1873 r. na Wystawie Światowej w Wiedniu przez Stefana Drzewieckiego. Wynalazca na zdjęciu poniżej.

Zachwyt nad genialnością

Okręt podwodny, kamizelka kuloodporna, kamera dająca stabilny obraz, kolorowy film, rafinacja ropy naftowej i inne wynalazki Polaków.

Andrzej Krajewski



Maszyny Baranowskiego. „Oto polski szlachcic, którego córki zostały zgwałcone, żona zabita siekierą, a ojciec zmarł pod knutem; Polak, którego wszyscy przyjaciele giną na Syberii i którego naród znika z Europy pod tyranią Rosjan! Jeśli ten człowiek nie ma prawa zatapiać rosyjskich fregat gdziekolwiek je spotka, to zemsta jest niczym więcej niż pustym słowem” – tak Jules Verne opisał kapitana Nemo swojemu wydawcy Pierre’owi-Jules’owi Hetzelowi w liście z 11 czerwca 1869 r. Powieściowym konstruktorem okrętu podwodnego „Nautilus” miał być żądny zemsty geniusz z Polski. Wydawca

eprasa.pl 37c4d1858f

jednak ten pomysł pisarzowi skutecznie wyperswadował – książka źle by się sprzedawała w Rosji, a nawet mogłaby zagrozić dobrym stosunkom francusko-rosyjskim. Verne ustąpił, rezygnując z uwiecznienia faktu, że w jego czasach równie głośno było o polskich powstańcach, co i wynalazcach.

Kiedy Verne pisał „20 000 mil podmorskiej żeglugi", najsławniejszym w Paryżu geniuszem z Polski był uczestnik powstania listopadowego, inżynier Jan Józef Baranowski. W przeciwieństwie do innych członków Wielkiej Emigracji bardziej niż polityka interesowały go sprawy techniczne. Jego talent doceniło szefostwo spółki kolejowej Paryż–Rouen–Hawr, które zatrudniło Polaka i wdrażało jego wynalazki. Pierwszym był ręczny kasownik biletów, za który Branowski w 1849 r. został nagrodzony na Wystawie Krajowej w Paryżu. Kolejną nagrodę otrzymał w 1851 r. na Wystawie Światowej w Londynie za maszynę drukującą i jednocześnie kontrolującą bilety. Po tym sukcesie Polak zaprojektował jeszcze semafor, który zaczęły wdrażać do codziennego użycia koleje francuskie, a następnie włoskie i angielskie.

Po czym zaoferował gazowniom licznik służący do indywidualnego pomiaru zużycia gazu. Gdy książka Verne'a się ukazała, Baranowski był posiadaczem 17 patentów, w tym tak niezwykłych, jak maszyny dla księgowych do kontrolowania rachunków oraz urządzenia do liczenia głosów wyborczych.

Okręty podwodne i samolot Drzewieckiego. Tymczasem „20 000 mil podmorskiej żeglugi" zainspirowało innego Polaka, studiującego matematykę i inżynierię na École Centrale Paris Stefana Drzewieckiego. Młodzieniec po ucieczce przed rosyjskimi represjami za udział w powstaniu styczniowym nie planował jednak zemsty jak kapitan Nemo, lecz międzynarodową karierę. Zaprojektował cały zestaw nowatorskich urządzeń, a następnie zaprezentował je w 1873 r. na Wystawie Światowej w Wiedniu. Kolejnictwu zaoferował: licznik prędkości parowozu, regulator silników parowych oraz automatyczne urządzenie do sprzęgania wagonów. Dla inżynierów miał cyrkiel umożliwiający wykonywanie przekrojów stożkowych.

Okrętowym liniom oceanicznym zaprezentował dromograf. Był to przyrząd automatycznie kreślący na mapie kurs płynącego statku. To urządzenie zachwyciło zwiedzającego wystawę wielkiego księcia Konstantego Romanowa (brata cara Aleksandra II). Jako namiestnik Królestwa Polskiego złożył wówczas swemu byłemu poddanemu ofertę prawie nie do odrzucenia. Zaproponował mu posadę doradcy Komitetu Technicznego Marynarki Rosyjskiej z pensją 500 rubli miesięcznie. Dom na obrzeżach Warszawy można było wówczas kupić już za 2 tys. rubli. Drzewiecki wahał się, lecz w końcu uległ pokusie. Otworzył sobie tym możliwość zajęcia się projektowaniem okrętów podwodnych.

W 1877 r. w Odessie zademonstrował prototyp łodzi zdolnej płynąć w zanurzeniu. Jej śrubę napędową poruszała siła mięśni sześciu członków załogi naciskających na pedały konstrukcji przypominającej wielki rower. Dwa lata później Polak wyposażył kolejny prototyp w silnik elektryczny oraz peryskop. Wreszcie w 1881 r. udało mu się zorganizować specjalny pokaz dla nowego cara Aleksandra III na Srebrnym Jeziorze w Gatczynie. Gdy władca wraz z małżonką wypłynęli łódką na jego środek, okręt Drzewieckiego pływał pod wodą wokół nich. Wreszcie wynurzył się obok przystani i z jego wnętrza wyłonił się wynalazca z bukietem kwiatów w ręku. Wręczył je carycy Marii ze słowami: „Jest to dar Neptuna dla Waszego Majestatu". Na pewno nie takiego kapitana Nemo wyobrażał sobie Verne. Jednak przez następne lata Drzewiecki utrwalał swoją sławę najwybitniejszego z konstruktorów łodzi podwodnych.

Pierwsze okręty podwodne marynarek wojennych Rosji i Francji zaprojektował wynalazca z Polski, ale wkrótce uwagę Drzewieckiego przykuło równie ambitne wyzwanie, jakim były maszyny latające. W 1887 r. wydał książkę „Aeroplany w przyrodzie. Próba nowej teorii lotu". Dowodził w niej, że powstanie urządzeń cięższych od powietrza, ale mimo to zdolnych do latania jest kwestią czasu. Wystarczy opracować odpowiednio trwałą i dużą powierzchnię nośną oraz skuteczny napęd. „Ptak całą swoją pracę muskularną zużywa wyłącznie na posuwanie się w kierunku poziomym" – pisał. Wydane w Petersburgu dzieło spotkało się tam z powszechną krytyką i obrażony Polak wyjechał do Paryża, gdzie zajął się pisaniem prac teoretycznych poświęconych lotnictwu.

Jego dzieła amerykański konstruktor Octave Chanute dostarczył do czytania braciom Wright. Polak nie zdołał wyprzedzić Amerykanów, ale i tak zapisał się w historii lotnictwa projektem pierwszego samolotu napędzanego śmigłem pchającym, umieszczonym z tyłu kadłuba. Swoją konstrukcję nazwał Canard (kaczka). Latający prototyp zaś zaprezentował w listopadzie 1912 r. na IV Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu.

System trójfazowy Doliwo-Dobrowolskiego. Do tego momentu poczet sławnych polskich wynalazców rozrósł się na skalę, jaka nie powtórzyła się już w przyszłości. Międzynarodowym uznaniem cieszył się także Michał Doliwo-Dobrowolski. Okazało się ono tak trwałe, że jako jedyny Polak znalazł się w „Leksykonie wynalazców i odkrywców" pod redakcją René Zeya, pośród 500 największych takich postaci w dziejach świata. Ów syn zubożałego ziemianina z Mazowsza, absolwent politechniki w Darmstadt, w 1889 r. zadziwił Niemieckie Stowarzyszenie Edisona, które zaoferowało mu pracę. Polak zbudował trójfazowy silnik elektryczny dużo lepszy od silnika dwufazowego Nikoli Tesli. Dzięki prostej i niezawodnej konstrukcji jest on używany do dziś w prawie niezmienionej formie w urządzeniach przemysłowych, sprzęcie domowym i jako napęd dla pojazdów elektrycznych.

Kolejnym przełomowym wynalazkiem Dobrowolskiego była prądnica indukcyjna wytwarzająca prąd trójfazowy. „Generator trójfazowy dostarcza o 50 proc. więcej energii niż generator jednofazowy tej samej wielkości. Linia przesyłowa trójfazowa jest zbudowana z przewodów, które ważą i kosztują o 25 proc. mniej niż linia jednofazowa, przesyłając tę samą energię" – tłumaczy w opracowaniu „Polak, któremu świat zawdzięcza prąd trójfazowy" Ryszard Tadeusiewicz. Projekt Dobrowolskiego zapoczątkował nową erę w energetyce, trwającą do dziś, bo system trójfazowy jest powszechnie wykorzystywany na całym globie. Polak wzbogacił go o zaprojektowane przez siebie urządzenia pomiarowe: fazomierz, watomierz oraz częstościomierz. Wynalazł też urządzenie zabezpieczające, które automatycznie odcinało prąd w momencie przeciążenia sieci.

Kamera śmierci Prószyńskiego. O mały włos, a w panteonie największych wynalazców znalazłby się także Kazimierz Prószyński. Już w 1894 r. skonstruował on urządzenie, które nazwał pleografem. Służyło ono do rejestracji ruchomego obrazu, jak i jego projekcji. Prószyński wyprzedził o rok braci Lumière. Ale to oni zdobyli sławę i fortunę, umiejętnie nagłaśniając we Francji swój wynalazek i znajdując na niego nabywców. Pleograf umknął uwadze gazet i publiczności, choć Polak wbudował w niego mechanizm stabilizacji

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Kazimierz Prószyński z areoskopem w Paryżu, 1909 r.

obrazu i zaprojektował lepszy od francuskiego mechanizm przesuwania taśmy.

Mimo porażki komercyjnej Prószyńskiemu udało się zapisać w historii kinematografii wynalezieniem i opatentowaniem w 1909 r. we Francji obturatora. Urządzenie to służyło do eliminowania uciążliwego migotania obrazu. „Wyświetlanie filmów w dużych »kino-palaces« wielkich miast mogło obecnie trwać godzinę, a nawet kilka godzin bez przerwy, nie mecząc zbytnio oczu. Od tego czasu wspaniałe sale kinowe, w dążeniu do konkurowania z teatrami, żądały długich filmów, wyświetlanie których zajmowałoby główną część programu" – podkreśla w książce „Film staje się sztuką" Georges Sadoul.

Idąc za ciosem, Prószyński zaprezentował rok później w Londynie, a następnie opatentował w Wielkiej Brytanii ręczną kamerę wyposażoną w system żyroskopowej stabilizacji. Osobiście nakręcił nią w czerwcu 1911 r. reportaż z koronacji króla Jerzego V. Swój wynalazek nazwał aeroskopem, lecz zrządzeniem losu wszedł on do powszechnego użycia podczas pierwszej wojny światowej. Zatem sięgający po niego reporterzy wojenni szybko przechrzcili aeroskop na kamerę śmierci.

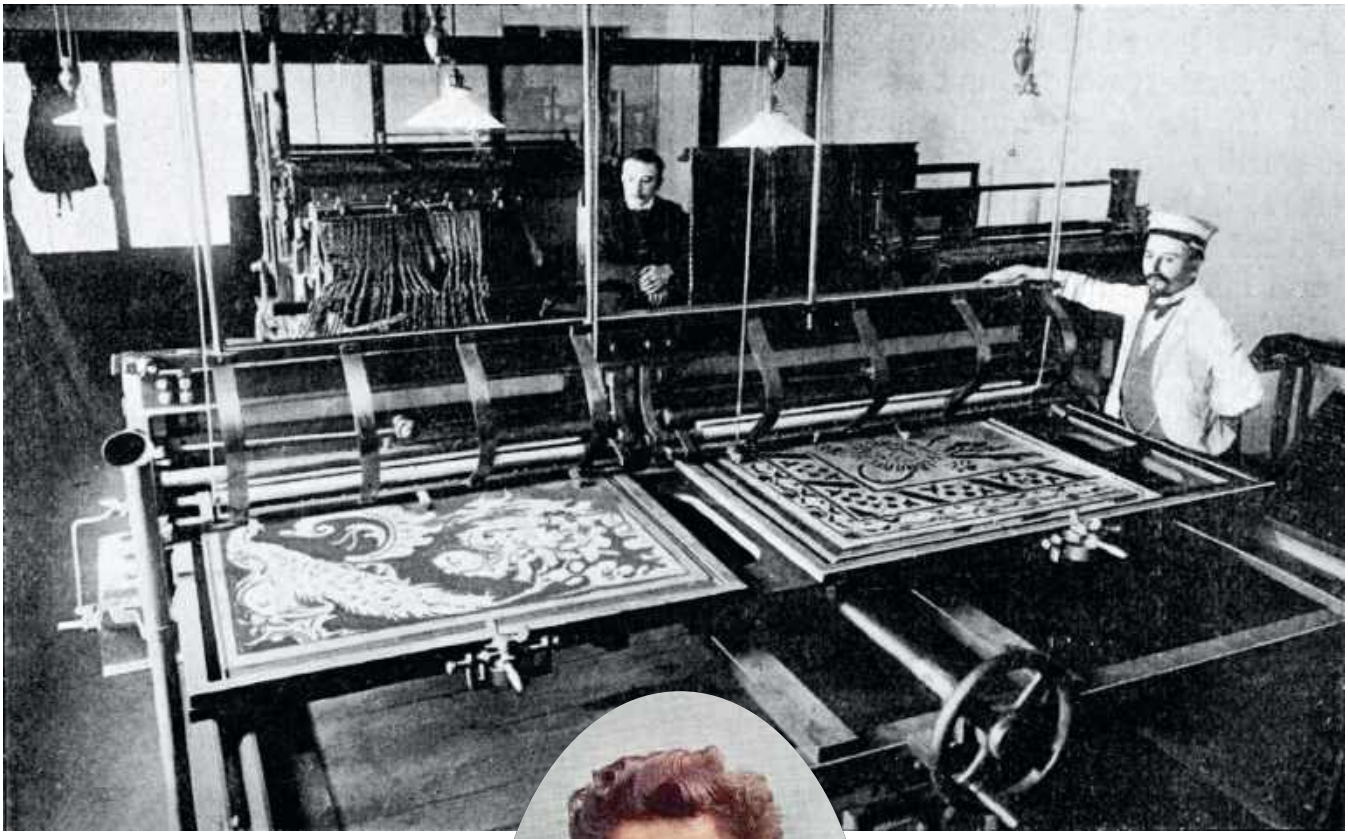
Rafinacja ropy Łukasiewicza. Zdobycie międzynarodowej sławy okazywało się dla polskich wynalazców o wiele trudniejsze, jeśli decydowali się pozostać w kraju. Ignacy Łukasiewicz już w 1853 r. wraz z Janem Zehem przeprowadził pierwszą, udaną destylację frakcyjną ropy naftowej. Eksperyment, który odbył się w lwowskiej aptece „Pod Złotą Gwiazdą", był jednym z kluczowych momentów w dziejach przemysłu naftowego. Dzięki rafinacji uzyskiwano tak przydatne substancje, jak benzyna, oleje opałowe, mazut, smary i asfalt, co uczyniło z ropy surowiec niezbędny dla współczesnej cywilizacji.

Tymczasem Łukasiewicz zapisał się w historii lampą naftową. Choć nawet sam jej nie skonstruował, lecz zapro-

❖ Ignacy Łukasiewicz sportretowany przez Andrzeja Grabowskiego, 1884 r.



eprasa.pl 37c4d1858f





❖ Mechaniczne krosna odwzorowujące wzory na tkaninach i ich wynalazca Jan Szczepanik.

jektowanie i zbudowanie zlecił lwowskiemu blacharzowi Adamowi Bratkowskiemu. Z myślą, by w praktyce wykorzystać naftę wydestylowaną z ropy. Szczęściem wybitny chemik, będący wynalazcą z przypadku, miał głowę do interesów. Zainwestował oszczędności w budowę pierwszych w Europie szybów naftowych i rafinerii. Stał się dzięki nim jednym z najbogatszych ludzi w Monarchii Austro-Węgierskiej. W Wiedniu zyskał więc uznanie jako ojciec zupełnie nowej gałęzi gospodarki. Z tego powodu fetowano Polaka podczas wiedeńskiej Wystawy Światowej w 1873 r. Papież Pius IX nadał mu przy tej okazji Order Świętego Grzegorza Wielkiego.

Łukasiewicz zasłużył sobie nawet na więcej, bo cieszył się opinią osoby świętej. I jak się okazało już po jego śmierci, większość swego ogromnego majątku zapisał na akcje pomocowe i dobroczynne oraz bezzwrotne pożyczki dla osób w potrzebie.

Telektroskop Szczepanika. Podobnie z należną mu sławą rozminął się Jan Szczepanik, nazywany przez sobie współczesnych polskim Edisonem. Lista skonstruowanych przez niego wynalazków nie jest o wiele krótsza od dokonań amerykańskiego pierwowzoru. Znajdują się na niej m.in. kuloodporna tkanina oraz mechaniczne krosna odwzorowujące obrazy na tkanych gobelinach. Zafascynowany optyką wynalazca zbudował też służący do przesyłania obrazu na odległość telektroskop oraz fotoskulptor, który pozwalał kopiować trójwymiarowe przedmioty.

Pod koniec XIX w., gdy mógł się pochwalić posiadaniem już 50 patentów, zdecydował się na przeprowadzkę z Krakowa do Wiednia. Tam w 1898 r. poznał podróżującego po Europie Marka Twaina, który zaciekawiony osobą wynalazcy zaczął odwiedzać go w pracowni i nawet myślał o odkupieniu praw patentowych do telektroskopu, żeby sprzedawać go w USA. Jednak stanowczo odradził to doradca finansowy pisarza. Twain zamiast zainwestować w wynalazek, zaczerpnął więc od Polaka darmową inspirację i napisał dwa opowiadania. Ich głównym bohaterem uczynił Szczepanika. Oba ukazały się w magazynie „The Century". Pierwsze przedstawiało perypetie wynalazcy zmuszonego godzić swoją pasję z obowiązkami nauczyciela, w drugim „From the London Times of 1904" opisał wspaniałe możliwości telektroskopu. O dobiegającym dopiero trzydziestki Szczepaniku zrobiło się wówczas głośno nawet w Ameryce. Mnóstwo ludzi zapragnęło go poznać. „Przy każdym zwiedzaniu pracowni potęguje się zachwyt nad genialnością »austriackiego Edisona«, jak się już jego zwie dziś powszechnie. W trzech dziedzinach Szczepanik osiągnął zdumiewające rezultaty: w przemyśle tkackim, w optyce i elektrotechnice" – opisywał w sierpniu 1901 r. „Wiener Tageblatt".

Ale wynalazca nie zdecydował się na wyjazd do USA, co proponował mu Twain, ani też nie okazał się tak przedsiębiorczym biznesmenem jak Łukasiewicz. Brak zdolności do zarabiania na zbudowanych przez siebie nowatorskich urządzeniach sprawił, iż nie zarobił fortuny nawet na opatentowanej przez siebie błonie fotograficznej zdolnej utrwalać kolory. Umierał jako bankrut, acz wciąż inspirował ludzi pióra.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Widzi pan te pałace? To wszystko czwórniaki, mieszkania parobków. A tamten dom – to ochrona dla parobcząt; bawi się ich ze trzydzieści sztuk, wszystkie umyte i obłatane. Jak książątka... A ta znowu willa to przytułek dla starców, których w tej chwili jest czworo (...). Tułałem się po rozmaitych okolicach kraju i wszędzie widziałem, że parobcy mieszkają jak świnie, a ich dzieci harcują po błocie jak prosięta... Ale kiedym tu pierwszy raz zajechał, przetarłem oczy. Zdawało mi się, że jestem na wyspie Utopii.

Na otarcie łez

Pomoc ubogim stała się jednym z ulubionych zajęć warszawskiej arystokracji i finansjery. Pozwalała publicznie demonstrować wspaniałomyślność oraz zamożność.



❖ Jałmużna; rysunek Michała Andriollego, 1878 r.

Andrzej Krajewski

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Późną jesienią 1814 r. nastroje mieszkańców Warszawy prezentowały się fatalnie. Cesarz Napoleon już nie wygrywał bitew, a utworzone pod jego protektoratem Księstwo Warszawskie znalazło się na łasce zwycięskiego cara Aleksandra I. Decyzja, że zastąpi je Królestwo Polskie, jeszcze nie zapadła. Na dokładkę w polskiej stolicy wybuchł wielki pożar i nie miał kto z nim walczyć. Nie istniała ani straż pożarna, ani nawet sprawnie działające władze lokalne. Spłonęło więc wiele domów, a setki rodzin straciły dorobek życia. Na pomoc mogły one liczyć jedynie w kościołach i synagogach zajmujących się działalnością dobroczynną. A te były nieliczne.

Widząc rozmiary tragedii, Zofia Zamoyska z domu Czartoryska, jak na matkę dziewięciorga dzieci przystało, nie załamywała rąk, tylko zabrała się do działania. Zaprosiła na kolację najbardziej wpływowe osoby w mieście. W tym gronie znaleźli się weterani walki o niepodległość Rzeczpospolitej: Julian Ursyn Niemcewicz i Stanisław Staszic. Dołączyły do nich najzamożniejsze arystokratki na czele z Anną z Zamoyskich Sapieżyną oraz Marią z Czartoryskich księżną Wirtemberską. Gospodyni przekonała zebranych, że nale-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Portrety założycieli pierwszej ochronki w Warszawie zamieszczone w „Tygodniku Ilustrowanym" w 1889 r.

ży powołać do życia Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, które przyjdzie z pomocą pogorzelcom. Tak też się stało i 24 grudnia 1814 r. Towarzystwo zorganizowało wigilijną kolację dla 200 ofiar pożaru. W ten sposób ogłaszając Warszawie swoje narodziny, a także inicjując modę na filantropię.

Kto da więcej. „Filantropia była formą obrony społeczeństwa przed ekonomicznym liberalizmem skazującym człowieka na wolność, z której albo nie umiał, albo nie mógł skorzystać" – podkreślają Janusz Radwan-Pragłowski i Krzysztof Frysztacki, autorzy książki: „Społeczne dzieje pomocy człowiekowi: od filantropii greckiej do pracy socjalnej". Na początku XIX w., wraz z rosnącą w wielkich miastach liczbą nędzarzy i porzuconych dzieci, w działalności charytatywnej zagustowały elity, choć początkowo ideę dobroczynności na swe sztandary wzięli socjaliści, tacy jak francuski filozof Charles Fourier. Marzyło im się, że arystokraci, bankierzy i fabrykanci, kierując się rozsądkiem, zaczną regularnie przeznaczać duże środki na poprawę życia ubogich. Redukując przy okazji napięcia społeczne.

W tym duchu działało Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, które z czasem zgromadziło w swych szeregach ok. 600 członków. Dzięki ich zaangażowaniu udawało się organizować kolejne zbiórki i akcje pomocowe. Towarzyszyła temu nasilająca się moda, by zapisywać w testamencie część majątku na cele charytatywne. Zainicjował ją najbogatszy bankier w pierwszych latach Królestwa Polskiego – Ber Sonnenberg. Swoją fortunę zbudował dzięki wykupieniu ze wspólnikami dzierżawy kopalni soli w Wieliczce. Potem uzyskał od władz prawo do obsługi solnego monopolu na terenie całego Królestwa Polskiego. W końcu jego dom bankowy stał się tak potężny, że car Aleksander I przyjmował Sonnenberga osobiście, obdarzając przywilejami niedostępnymi dla zwykłych Żydów. Umierając w 1821 r., bankier pozostawiał kolosalny jak na owe czasy spadek w wysokości 5 mln zł. Z tej kwoty 22,5 tys. zł przekazał w testamencie Instytutowi Głuchoniemych i Ociemniałych.

Pięć lat później ów rekord pobił Stanisław Staszic. Majętny polityk i duchowny zapisał 200 tys. zł Szpitalowi Dzieciątka Jezus. Taką samą kwotę ostatnią wolą przekazał na budowę domu roboczego dla ubogich. Mniej, bo 100 tys. zł, otrzymał od niego szpital dla obłąkanych. 70 tys. zł zaś Staszic przeznaczył na postawienie w Warszawie Pomnika Mikołaja Kopernika. W podsumowaniu testamentu nakazał rozdać 10 tys. zł najbiedniejszym Warszawianom w dniu swego pogrzebu.

Ów stał się 24 stycznia 1826 r. wielkim wydarzeniem. „Żałośny ten obrzęd był jeden z najwspanialszych, jakie widziano w stolicy – wspaniały nie przez powierzchowną okazałość, lecz przez jawne dowody uczuć, jakimi wszystkie stany i klasy mieszkańców tchnęły ku zmarłemu – odnotował w „Zapiskach z lat 1825–1831" Tymoteusz Lipiński, historyk. – Biura władz publicznych były opuszczone; widziano pierwszych urzędników, jenerałów, profesorów, kupców, nieprzeliczonym tłumem cisnących się obok trumny (…) Pochód ten pieszy kilku tysięcy ludzi, przy zimnie 9-stopniowym, równie Staszicowi jak i rodakom naszym przynosi zaszczyt". Tak Warszawiacy okazywali uznanie nie tylko legendarnemu politykowi i działaczowi społecznemu, ale też filantropowi. Jednak tak oczywisty dowód, że dzięki filantropii można zapewnić sobie większą popularność, miał uboczne skutki, kompromitujące samą ideę.

Dla poklasku. „Dobroczynność wpisywała się w styl życia elit – zauważa w opracowaniu „Moda na dobroczynność w wieku XIX" Marta Sikorska-Kowalska. – Dla wielu przedstawicieli mieszczaństwa potrzebna była, by zaprezentować swoje bogactwo, które wyrazić można było wysokością datku, ale także prezentując najmodniejszą suknię i drogie klejnoty. Bale, rauty, teatr, kwesty były przede wszystkim miejscem spotkań towarzyskich bogatych elit". Tak filantropia stała się specyficznym rodzajem autopromocji. Często kładziono więc nacisk na to, aby nazwisko ofiarodawcy wraz z dokładną kwotą darowizny pojawiło się w prasie.

Ów stan rzeczy z czasem zaczął uwierać coraz więcej osób, źle znoszących olbrzymią hipokryzję okazywaną przez zamożne elity udające, że los ubogich bardzo je obchodzi. Bolesław Prus w styczniu 1875 r. na łamach „Kuriera Warszawskiego" opisywał zamożną damę, która przygotowując się na bal charytatywny, wydała na suknię 120 rubli, dorzucając do tego koszty: karety, bukietu i trzewików, w sumie 200 rubli. Po czym: „zapracowała dla ubogich grosz, który im ofiaruje". Prus zauważał: „Zamiast wydawać tysiące rubli na bal dla ubogich, lepiej im ofiarować wprost setkę. Zestawienia bal i ubodzy, albo tańce i ocieranie łez grzeszą brakiem logiki". Ale bale charytatywne wzbudzały zbyt wielki entuzjazm na warszawskich salonach, żeby krytyka, nawet tak popularnego pisarza i felietonisty, mogła cokolwiek szybko zmienić.

Gdy w 1874 r. wielki pożar strawił Siedlce, ogłoszono zbiórkę, która nie zapewniała żadnej reklamy ofiarodawcom. Zatem zebrano ledwie 7 tys. rubli. Natomiast odpowiednio oprawiona zrzutka na Pomnik Adama Mickiewicza, którą szeroko opisywały gazety, chwaląc konkretnych darczyńców, przyniosła aż 236 tys. rubli. Dlatego w powszechnej pamięci zapisał się dbający o dobrą reklamę filantrop Jakub Epstein, fundator warszawskiego Szpitala Starozakonnych, który na cele dobroczynne rozdał 2770 rubli (równowartość 18 tys. zł). A także bankier Samuel Fraenkel. Tak zamożny, iż oddał ubogim dwa razy więcej niż Epstein.

Nowe pokolenie filantropów. Olbrzymi przełom na niwie warszawskiej dobroczynności zainicjowała w drugiej połowie XIX w. mała grupka spolonizowanych Żydów, bajecznie bogatych, a zarazem bardzo wpływowych. Pod koniec swego życia twórca potężnego Banku Handlowego Leopold Stanisław Kronenberg (art. s. 20) doszedł do wniosku, że choć od lat prezesował Towarzystwu Dobroczynności, to po jego działalności filantropijnej może nie pozostać żaden ślad. Chcąc to zmienić, zainteresował się

eprasa.pl 37c4d1858f

ideą kształcenia młodzieży i w 1875 r. ufundował Warszawską Szkołę Handlową. Zdobył sobie tym takie uznanie w oczach opinii publicznej, że niezmiennie konkurujący z nim Jan Gotlib Bloch postanowił nie okazać się gorszy. Milioner nazywany królem kolei zainwestował ogromne środki w powstanie Instytutu Politechnicznego w Warszawie (dzisiejszej Politechniki). Wspólnie z Edwardem Natansonem i Maurycym Poznańskim zebrali w tym celu ok. 3,5 mln rubli. Jednak władze carskie bardzo nieprzychylnie podeszły do pomysłu zapewnienia polskiej młodzieży kolejnej dobrej szkoły. Bloch musiał użyć swych wszystkich wpływów w Petersburgu, aby wreszcie w 1898 r. otrzymać potrzebne zezwolenia.



❖ Portret Hipolita Wawelberga pędzla Kazimierza Pochwalskiego, 1893 r.

W tym czasie współzałożyciel Domu Bankowego H. Wawelberg, milioner Hipolit Wawelberg, wraz z przemysłowcem Stanisławem Rotwandem ufundowali Szkołę Mechaniczno-Techniczną oraz sfinansowali powstanie Filharmonii Warszawskiej. Budowa tej ostatniej ruszyła wiosną 1900 r. Wcześniej Wawelberg zasłynął tym, że przekazał 300 tys. rubli na specjalny fundusz zajmujący się finansowaniem budowy tanich mieszkań dla robotników i ubogiej inteligencji. Dzięki temu na Woli powstała Kolonia Wawelberga obejmująca osiedla przy ulicach m.in. Górczewskiej i Działdowskiej. Ten sam bankier, zakochany w polskiej kulturze, sponsorował druk tanich książek, żeby mniej zamożnych czytelników stać było na zakup dzieł Adama Mickiewicza oraz powieści Elizy Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza i Bolesława Prusa.

Bogaci filantropi bardzo też przysłużyli się polskim naukowcom, wręcz umożliwiając im przetrwanie w zaborze rosyjskim. W 1881 r. powołano do życia Kasę im. Józefa Mianowskiego, która stała się największą polską organizacją wspierającą badania naukowe oraz umożliwiającą publikowanie ich wyników. Na jej czele stanął dr Tytus Chałubiński, a wiceprezesem został Stanisław Kronenberg. Kasa dysponowała znacznymi środkami, przede wszystkim dzięki darom geologa i wynalazcy Witolda Zglenickiego. Ów fortunę zarobił, pracując na polach roponośnych w okolicach Baku, dzięki zaprojektowaniu platformy wiertniczej umożliwiającej wydobywanie ropy naftowej spod dna morskiego. Pieniądze darczyńców takich jak on sprawiły, że Kasa im. Józefa Mianowskiego stała się fenomenem niespotykanym nigdzie indziej w Europie. Działała bowiem w Warszawie niczym ministerstwo nauki w imieniu państwa, które nie istniało.

Przeżytek. „Warszawscy burżua fundowali szkoły (Wawelberg, Kronenberg, Bloch, Natanson, Brun), szpitale, przytułki, łożyli na stypendia dla niezamożnej młodzieży, na posagi dla biednych panien, na towarzystwa artystyczne, na Filharmonię" – wylicza Ireneusz Ihnatowicz w książce „Obyczaj wielkiej burżuazji warszawskiej w XIX wieku". Również warszawska Akademia Sztuk Plastycznych nie powstałaby, gdyby nie okrągły milion rubli, który na ten cel w 1909 r. przekazała Eugenia Kierbedziowa, córka sławnego inżyniera Stanisława Kierbedzia.

W tym czasie model filantropii diametralnie się zmienił. „Nowe formy dobroczynności realizowane przede wszystkim przez inteligencję pod koniec wieku XIX, ukierunkowane były na działania oświatowe, pod których przykrywką realizowano patriotyczne, ale i demokratyczne wychowanie z jego socjalistycznym czy narodowym wcieleniem" – opisuje Marta Sikorska-Kowalska. Dla warszawskich milionerów dobroczynność była narzędziem mającym służyć przede wszystkim edukowaniu biedniejszych warstw obywateli i daniu im szansy na awans społeczny. Tymczasem inteligencja łączyła ją z kształtowaniem postaw politycznych, mających uformować nowe pokolenie patriotów bądź pragnących socjalizmu rewolucjonistów. Tak łącząc wiekową już filantropię z nadciągającym wiekiem XX. On tymczasem sprawił, że dobroczynność zaczęto uznawać za przeżytek niepasujący do epoki państw totalitarnych lub opiekuńczych.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

Towarzystwo Zupy Rumfordzkiej

Była to nazwa XIX-wiecznej warszawskiej organizacji charytatywnej działającej w strukturach Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Utworzona w 1826 r. jako jeden z jego pierwszych wydziałów. Miała za zadanie – w myśl dewizy Seneki *Res sacra miser* (nieszczęśliwy jest rzeczą świętą) – organizowanie codziennego wydawania darmowych misek pożywnej i taniej zupy najbiedniejszym. Dziennie obdzielała nią nawet do 250 osób. Pod nazwą Wydział Zupy Rumfordzkiej działała do 1891 r., kiedy to została przemianowana na Wydział Tanich Kuchni.

Recepturę zupy, wokół której skupiała się działalność Wydziału, opracował pod koniec XVIII w. amerykańsko-brytyjski uczony Benjamin Thompson, hrabia Rumford. Było to danie maksymalnie tanie w produkcji, a zarazem dostarczające dużej ilości energii oraz składników odżywczych. Bazą zupy był wywar z kości, tłuszczu i skór wieprzowych, z dodatkiem kaszy (najczęściej perłowej), grochu, fasoli i ziemniaków, zaprawiony odrobiną octu i z dodatkiem piwa. Pomyślana była jako podstawa wyżywienia w bawarskich przytułkach, a także jako racja żywnościowa dla więźniów i żołnierzy, ale okazała się wynalazkiem epokowym dla znacznie szerszej grupy ludności. Dzięki temu melanżowi krupniku z grochówką filantropi w XIX w. zapewniali podstawowe pożywienie dla biednych w całej Europie.

Na ziemiach polskich zupa rumfordzka pojawiła się na początku XIX w. i była przygotowywana przez organizacje społeczno-charytatywne prowadzące kuchnie dla ubogich i bezdomnych nie tylko w Warszawie. Krakowski punkt wydawania posiłków dla biednych został nawet uwieczniony przez Hipolita Lipińskiego w 1883 r. na monumentalnym obrazie „Zupa rumfordzka przed kościołem św. Katarzyny w Krakowie". (WF)

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: – Proszę cię... A panna Łęcka nie wyszła za mąż?
– Nie.
– A nie wychodzi?...
– Bardzo wątpię. Kto dziś ożeni się z panną mającą wielkie wymagania, a żadnego posagu? Zestarzeje się, choć ładna.



❖ Odpoczywająca piękność; obraz Władysława Czachórskiego, 1905 r.

W pozłacanej klatce

Małżeństwo – najważniejsza decyzja kobiety końca XIX w.

Alicja Urbanik-Kopeć

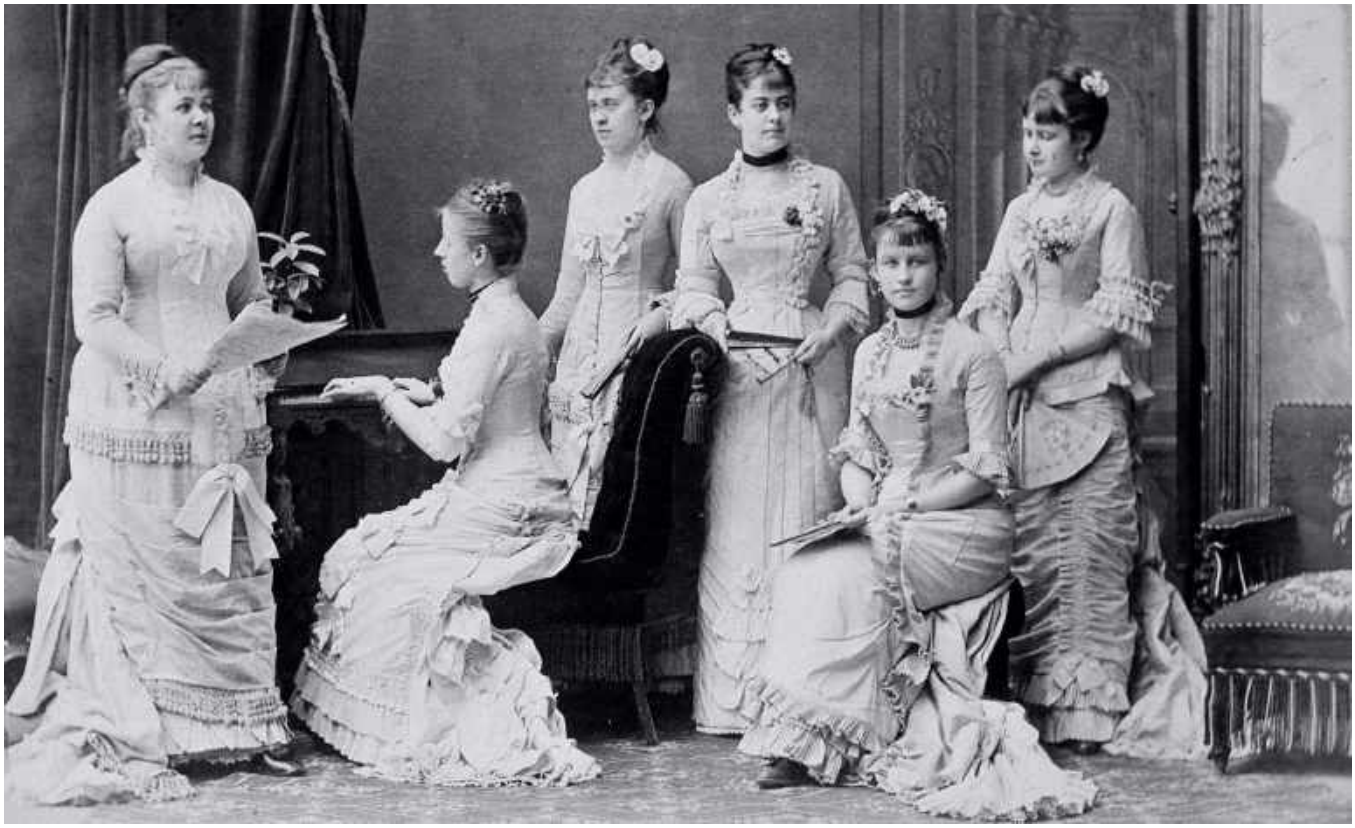
Sprzedać siebie czy rodowy serwis. W jednej z pierwszych scen „Lalki” Izabela Łęcka pije herbatę z ciotką, majętną hrabiną, i rozpamiętuje błędy coraz szybciej odchodzącej młodości. Trzeba było przyjąć awanse króla Wiktora Emmanuela, choć to liberał i w długach, oświadczyny hrabiego Saint-Auguste'a, posła do Watykanu, albo chociaż deklarację księcia Podolskiego. W ostateczności – amerykańskiego milionera, który dorobił się na kolei. Było jednak na to za późno. Izabeli, opuszczonej przez większość adoratorów i trapionej problemami finansowymi, zostali do wyboru stary baron i zdziecinniały marszałek, któremu zamiast żony potrzeba było raczej niańki, by ocierała mu usta.

Bez szybkiego ślubu zabezpieczającego jej przyszłość czekało ją w najlepszym przypadku zastawienie w lombardzie rodowych sreber i porcelanowego serwisu. W najgorszym zaś rujnacja, poniżenie i zakon. Gdy zrozpaczona taką perspektywą Izabela pyta hrabinę Karolową, czy ma w takim razie wybierać między sprzedażą siebie a serwisu, ciotka odpowiada spokojnie, że szkoda przecież tak drogich rodzinnych pamiątek. W przeciwieństwie do herbowej zastawy dobrze urodzone panny traciły z czasem na wartości.

Lalki, kwiatki i papugi. Jednym z głównym tematów powieści Bolesława Prusa jest przemijanie starego świata i nadejście nowoczesności. Ci, którzy potrafią się przystosować, mogą osiągnąć wielkie rzeczy. Ci, którzy nie idą do przodu, są skazani na pielęgnowanie starego porządku w dusznym zamkniętym salonie. A grupą zupełnie zamrożoną w bezruchu były uwiązane w niewoli konwenansu kobiety z klasy wyższej.

Prus pisał w jednym ze swoich felietonów, że społeczeństwo drugiej połowy XIX w. każe kobietom płacić wysoką cenę za specjalne traktowanie. Wszystkie dowody szacunku i uwielbienia, jak prowadzenie pod rękę, ukłony, grzeczność i pobłażliwość dla damskich humorów, mężczyźni rekompensowali realną kontrolą nad każdym aspektem kobiecego życia. Ojciec, a następnie mąż decydowali, z kim młoda panna z dobrej rodziny rozmawia, czym się zajmuje, gdzie

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Dobrze urodzone damy, od lewej: Micewska, Brunicka, Szembekowa, Czartoryska, Łubieńska, Lisicka, 1879 r.

mieszka, co czyta, a także kiedy i czy w ogóle z ich wspólnego domu wychodzi. Zależne od mężczyzn dziewczęta poświęcały więc wiele wysiłku, by zyskać ich przychylność. Anastazja Dzieduszycka, autorka książek o wychowaniu dzieci, porównywała kobiety na wydaniu do tresowanych pudli, Eliza Orzeszkowa do łaszących się kotów, lalek i delikatnych roślin doniczkowych. Rynek matrymonialny nazywała „pozłacaną klatką, w której papugi o malowanych piórach niezgrabnie naśladują mowę i obyczaje ludzkie". Wszystko to po to, by unaocznić beznadziejną sytuację, w której znajdowały się panny na wydaniu.

Na przeszkodzie ku samodzielności stały zarówno oczekiwania społeczeństwa, jak i umiejętności dorastających dziewcząt. Po kilkunastu latach nauki na pensji lub w domu umiały konwersować o literaturze i sztuce, znały się na muzyce i mówiły obcymi językami. Nie były jednak przygotowane do żadnej roli poza tą żony i matki. Obowiązująca norma kulturowa nie przewidywała okoliczności, w których przy aprobacie społeczeństwa mogłyby same decydować o swoim losie, a już na pewno nie same się utrzymać. Choćby zmuszała je do tego niechęć emancypacji, ale wypadek losowy: nagłe zubożenie, śmierć głowy rodziny, choroba. Nie chodziło jednak jedynie o sposób wychowania młodych panien. Na przeszkodzie stała także litera prawa.

Wieczyście małoletnie. Kodeks cywilny Królestwa Polskiego (KCKP), obowiązujący od 1826 r. i nowelizowany w 1836 r., był oparty na Kodeksie Napoleona, który nie traktował kobiet jak pełnoprawnych obywateli. Niesławna zasada, że kobieta jest wieczyście małoletnia, tzn. nie może bez zgody mężczyzny m.in. rozporządzać majątkiem, podpisywać umów i zeznawać w sądzie, odnosiła się tylko do mężatek. Po ślubie do wszystkich spraw administracyjnych kobiety potrzebowały upoważnienia męża. Według prawa żona była zobowiązana „mieszkać z mężem i iść za nim wszędzie, gdzie mu się zostawać podoba". W razie ucieczki policja pomagała szukać zbiegłej żony, a sąd mógł zwolnić męża z obowiązku utrzymywania jej i „działań moralnych" na rzecz tego, by zechciała wrócić pod wspólny dach. Jeśli kobieta chciała odejść od męża, dzieci zostawały z nim, chyba że udało jej się udowodnić mu cudzołóstwo, nadmierną przemoc lub popełnienie przestępstwa. Od 1836 r. rozwód nie wchodził w grę, dla katolików pozostawały jedynie separacja bądź kanoniczne unieważnienie małżeństwa przez sąd kościelny.

Jedną z pierwszych (choć niesamodzielnych) decyzji finansowych kobiety była sprawa zabezpieczenia posagu. Posag – w zależności od klasy społecznej i zamożności rodziny dawany w gotówce, sprzętach czy nieruchomościach – według zasad ogólnych KCKP przechodził po ślubie na własność męża. To on zarządzał wszystkim, co należało do żony, a więc decydował np. o sprzedaży czy zadłużeniu jej nieruchomości, a także był właścicielem wszystkich przynoszonych przez nie dochodów. Do niego należały pieniądze zarobione przez kobietę w trakcie małżeństwa. Kodeks domniemywał, że wszystko, co posiada małżeństwo, należy do mężczyzny – kobiecie przysługiwało prawo posiadania jedynie przedmiotów osobistych, takich jak bielizna, ubrania i sprzęty kobiece. Należało więc wykazać się zapobiegliwością i, jak to ujmował jeden z poradników dla panien z 1904 r., „skupić się i rozważyć, że droga życia nie jest bynajmniej pudełkiem pralinek".

Jedynym sposobem na pewną niezależność finansową i ochronę wnoszonego majątku przed złymi inwestycjami męża albo wierzycielami było sporządzenie inwentarza przedślubnego. Zwykle jednak umowy przedślubne, o ile w ogóle do nich dochodziło, ograniczały się do spisania nieruchomości i ruchomości żony oraz pokwitowania przejęcia posagu przez przyszłego małżonka. A po ślubie na autonomiczne decyzje było już za późno.

eprasa.pl 37c4d1858f

Stare panny. Skoro więc małżeństwo oznaczało koniec niezależności, a kobieta stawała się wieczyście małoletnia, być może lepiej było nie wychodzić za mąż? W realiach życia codziennego klas wyższych nie była to łatwa decyzja. W drugiej połowie XIX w. emancypantki i działacze społeczni zwracali uwagę, że los kobiety jest trudny niezależnie od podjętej w tej sprawie decyzji. Mężatka musiała poddać się woli męża, kobieta samotna skazana była na los wyśmiewanej starej panny.

Ówczesna prasa i poradniki pełne są niewybrednych żartów z kobiet, którym nie udało się znaleźć partnera. Obśmiewano humory, dewocję, umiłowanie plotek, udawanie młodszych. Nawet Eliza Orzeszkowa pisała, choć nie bez współczucia, że te kobiety „pozbawione rodzinnego życia, nie umiejąc wybrać sobie żadnego celu ani mogąc rozmiłować się w żadnym, czują w sobie samych próżnię, której nie mają czym zapełnić. Więc do młyna duszy starych panien idzie zazdrość i nienawiść, idą ołtarzyki i różańce, grzeszki sąsiadek, pieski, koty i papugi".

Przywary charakteru i zachowania starych panien pogłębiała najstraszniejsza konsekwencja samotności, czyli bieda. Kobieta, która nie umiała i nie mogła pracować, gdy nie znajdowała oparcia w mężczyźnie, była skazana na ciąg upokorzeń. Najgorszym z nich było oddanie się na łaskę bliższej czy dalszej rodziny i zamieszkanie z nimi w zamian za pełnienie funkcji nieoficjalnej opiekunki do dzieci czy gospodyni domu. Taki los przypadł w udziale pannie Florentynie, nieodłącznej towarzyszce panny Łęckiej.

Jedyne zajęcia, w których potencjalnie mogły realizować się samotne kobiety z klas wyższych, wiązały się z opieką nad słabszymi. Zostawały więc nauczycielkami, opiekunkami osób starszych, bonami, guwernantkami lub wstępowały do klasztoru. Do pracy w edukacji należało mieć jednak jakiekolwiek kwalifikacje, nie mówiąc już o predyspozycjach. Zresztą żadna z tych ról nie była ani wysoko opłacana, ani poważana, ani przyjemna. W powszechnej opinii wszystko było jednak lepsze niż egzystencja w roli ubogiej krewnej.

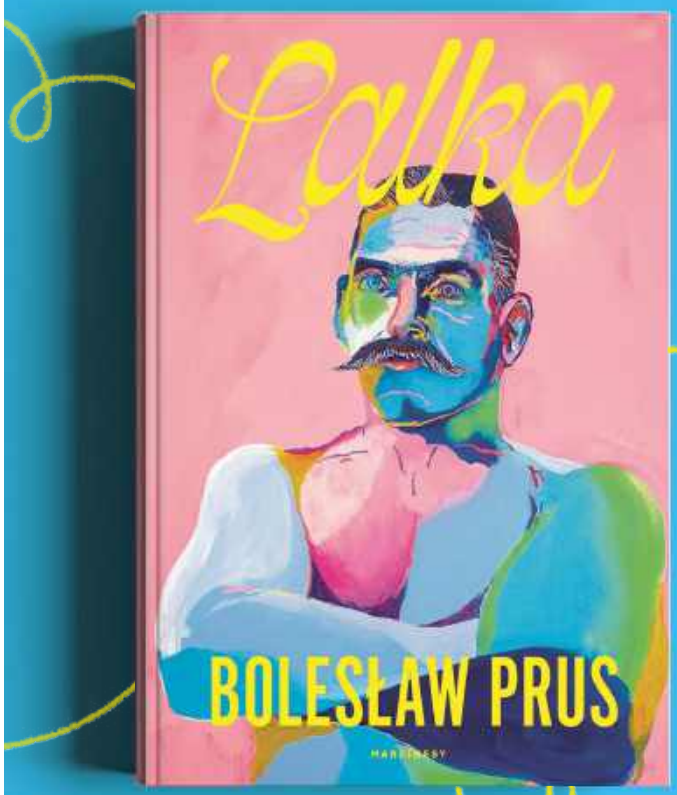
Moment osunięcia się w staropanieństwo przychodził dość wcześnie. Jak stwierdzała kategorycznie autorka poradnika z 1873 r.: „trzydziesty rok życia jest to pora, w której młodość przemija już prawie bez śladu". U kobiet, oczywiście.

Ślub transakcją finansową. „Rozumiejąc, że wielki świat jest wyższym światem, panna Izabela dowiedziała się powoli, że do tych wyżyn wzbić się można i stale na nich przebywać tylko za pomocą dwóch skrzydeł: urodzenia i majątku. Urodzenie zaś i majątek są przywiązane do pewnych wybranych familii, jak kwiat i owoc pomarańczy do pomarańczowego drzewa" – pisał ironicznie Prus. Biorąc pod uwagę, jak kluczową rolę w kojarzeniu małżeństw odgrywały kwestie finansowe, zaskakujące jest, jak wiele czasu i uwagi poświęcano na tłumaczenie kobietom, że nie jest to sprawa najważniejsza.

W drugiej połowie XIX w. małżeństwo dla pieniędzy traktowano jako coś wulgarnego, a osoby (szczególnie kobiety) decydujące się na ten krok posądzano o interesowność i nie wróżono ich związkom przyszłości. W 1885 r. czasopismo „Fortuna" publikowało dowcip o pewnej przedsiębiorczej pannie: „Otrucie grzybem! Straszny ten wypadek dotknął ośmnastoletnią Fruzię. Pragnąc polepszenia losu oddała ona rękę siedemdziesięcioletniemu niedołędze. Obecnie Fruzia narzeka, że grzyb posiada właściwości trujące. Co smutniejsze, iż trucizna działa nie natychmiastowo, lecz powolnie, na przeciąg całego

REKLAMA

CO LALKA MA W ŚRODKU?



„LALKA" TO POWIEŚĆ PEŁNA TAJEMNIC.

Nie znamy rozstrzygnięcia losów bohatera, nie wiemy, dlaczego Rzecki zbiera informacje o życiu osobistym swoich współpracowników ani dlaczego jego pies nosi imię złożone z inicjałów swojego pana, dlaczego Wokulski pomaga Suzinowi nielegalnie kupować karabiny dla Rosji. Czy „lalka" to Izabela Łęcka, a może człowiek marionetka z zabawy Rzeckiego, czy raczej lalka Heluni Stawskiej? A może to Wokulski jest zbuntowaną lalką? Nie będziemy tego wiedzieć nigdy. A to przecież dopiero tytuł.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 37c4d1858f

życia! Aha, nie trzeba było się wdawać ze spruchniałemi grzybami!”.

Autor anegdotki (i jego chichoczący czytelnicy) nie brali pod uwagę, że wobec obowiązujących norm społecznych transakcja zawarcia związku małżeńskiego była dla kobiet właśnie tym – najważniejszą decyzją ekonomiczną życia determinującą ich dalsze losy.

Nie znaczy to jednak, że mężczyźni wolni byli od takich decyzji. Wybieranie bogatych dziedziczek dla posagu i córek fabrykantów dla koneksji teścia krytykował m.in. Władysław Reymont, opisując drapieżny kapitalizm matrymonialny Łodzi, gdzie mężczyźni opisują między sobą kobiety na wydaniu kwotami ich posagu. Jedna to „dwieście tysięcy w wysortowanych towarach albo w niepewnych wekslach”, inna zaś „pięćdziesiąt tysięcy *bares geld* na stół, ale papa może się jeszcze raz spalić, to posag się skwadratuje”. August Bebel, socjalista, pisał gorzko w 1907 r., że na rynku małżeńskim „pieniądz powetować może wszelkie straty, pokryć wszelkie wady”. Olśniewająca wyprawa nie zawsze jednak wygrywała ze skandalem towarzyszącym społecznej transgresji w przypadku, gdy małżeństwo było uznane za wyjątkowo nierówne.

Mariaż nazwiska z kapitałem. Choć panna Izabela „oświadczyny jakiegoś amerykańskiego milionera zbyła wybuchem śmiechu”, małżeństwa między przedstawicielami biznesu i arystokracji pod koniec XIX w. zdarzały się coraz częściej. W kulturze anglosaskiej mówiono o dolarowych księżniczkach, czyli córkach amerykańskich bogaczy, które bajecznymi posagami ratowały podupadające rezydencje brytyjskich arystokratów. W Królestwie Polskim po upadku powstania styczniowego, gdy w wyniku represji klasy wyższe znalazły się w bardzo trudnej sytuacji finansowej i politycznej, cieplejszym wzrokiem patrzono na związki nazwiska z kapitałem, czyli śluby ziemian i arystokratów z córkami przedsiębiorców.

Do najbardziej znanych przypadków należał ślub hrabiego Karola Ignacego Zamoyskiego z Marią Różą Kronenberg, córką bankiera Leopolda Kronenberga (art. s. 20) w 1874 r. Za arystokratów wydano też wszystkie cztery córki Jana Blocha, potentata kolejowego, a bogate plebejki w swoim drzewie genealogicznym miały również rodziny Łubieńskich, Szymanowskich i Wielopolskich.

Mezalians mezaliansowi nierówny. Dystans klasowy często dało się skrócić lub wręcz unieważnić poważnym majątkiem, szczególnie jeśli pieniędzmi dysponowała pochodząca z niższej klasy kobieta. W takim związku to ona przechodziła do klasy społecznej męża, a urodzone w nim dzieci cieszyć się mogły zarówno tytułem ojca, jak i komfortowymi warunkami finansowymi zapewnionymi przez matkę. Gorzej, gdy to kobieta pochodziła z wyższej klasy społecznej niż jej wybranek. Wychodząc za mąż, musiała pogodzić się z utratą swojej dotychczasowej pozycji społecznej, a małżeństwo takie rzadziej (o ile w ogóle) cieszyło się społeczną akceptacją. Nawet jeśli mąż był zamożnym fabrykantem. Albo odnoszącym ogromne sukcesy handlowe kupcem, który dorobił się na dostawach dla armii na wojnie rosyjsko-tureckiej.

Autorzy poradników, na ogół reprezentujący wartości tradycyjne i zainteresowani utrzymaniem status quo, byli zgodni, że mezalians nie jest dobrą drogą. W tekście z 1899 r. przeczytać można apel do mężczyzn, by żenili się w granicach swojej klasy społecznej. „Żona z wyższej sfery towarzyskiej, o ile nie jest bardzo kochającą i bardzo rozumną, będzie się zawsze uważała za ofiarę losu”, a „dziewczyna



❖ Uczennice w pracowni malarskiej Kazimierza Alchimowicza w Warszawie, 1895 r.



❖ Narzeczeni arystokraci: Róża z Lubomirskich (17 lat) i Artur Potocki (27 lat) tuż przed ślubem, 1877 r.

eprasa.pl 37c4d1858f



z niższej sfery towarzyskiej musi i będzie odczuwała zawsze twoją umysłową, duchową czy towarzyską wyższość. Wyrodzi to w jej umyśle przygnębienie, bojaźliwość w obcowaniu i samopoczucie upośledzenia w domu".

Niezależnie od towarzyskich zawiłości ślub, w którym każda ze stron miała coś do zaoferowania – jedna majątek, druga nazwisko – nie był jeszcze końcem świata. Tak patrzono raczej na mezalianse radykalne, a więc ślub osoby z klasy posiadającej z przedstawicielem (a częściej przedstawicielką) klasy robotniczej. Niektórzy mężczyźni brali sobie za żony kobiety z ludu. Sławne przypadki związków Kazimierza Tetmajera i Lucjana Rydla z chłopkami z Bronowic, siostrami Anną i Jadwigą Mikołajczyk, odbiły się tak szerokim echem, że ślub Rydla i Jadwigi zapisał się w historii polskiej literatury jako inspiracja „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego. Rzeczywistość częściej wyglądała jednak tak jak losy bohaterów sztuki Gabrieli Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej". Arystokraci, ziemianie i miejscy inteligenci zwykle nie oświadczali się praczkom, służącym ani robotnicom fabrycznym. Wykorzystywali swoją pozycję władzy i wchodzili z proletariuszkami w relacje seksualne, nierzadko posiłkując się przekupstwem, szantażem i przemocą. Ci zaś, którzy mieli na to środki, opłacali szeroko dostępne usługi pracownic seksualnych.

Służące, praczki, robotnice. Wydawać by się mogło, że te bolączki dotyczyły tylko niewielkiego wycinka społeczeństwa. Córki rzemieślników i kupców, od dziecka zatrudnione w rodzinnych biznesach, lub proletariuszki pracujące fizycznie w fabrykach i służące w domacvh prywatnych nie musiały przecież martwić się, jak przeżyją bez pomocy mężczyzn. Ale sprawa nie była tak prosta.



❖ Medal wybity z okazji 25-lecia małżeństwa Marii Kronenberg z przemysłowcem baronem Leonem Loewensteinem, 1895 r.

Po pierwsze, norma kulturowa bardzo silnie lansowała małżeństwo jako jedyną akceptowalną drogę dla kobiety niezależnie od jej przynależności do klasy społecznej. Wartość dziewcząt z klasy robotniczej również była mierzona sukcesem na rynku matrymonialnym, a nie umiejętnością zarabiania na utrzymanie rodziny. W przemyśle zarabiały mniej więcej połowę tego, co mężczyźni, a więc ich wkład w domowy budżet nie był tak ceniony. Ich wysiłek skutkujący zaniedbaniem domu niewart był przynoszonych przez nie marnych pieniędzy. W niektórych zawodach, jak w służbie domowej, małżeństwo równało się porzuceniu pracy. Służące mężatki były rzadkością – ze względu na specyfikę zatrudnienia, czyli konieczność mieszkania z pracodawcami.

Fizyczna praca zarobkowa była niezwykle wyczerpująca i często szkodliwa dla zdrowia. Robotnice w przemyśle włókienniczym zapadały na choroby płuc, ulegały wypadkom uszkadzającym ręce i oczy. Służące i wyrobnice cierpiały na przepuklinę i po latach dorabiały się zwyrodnień stawów i kręgosłupa, praczki zmagały się z reumatyzmem i chorobami skóry od kontaktów z chemikaliami. Praca fizyczna była dla młodych, wytrzymałych i silnych. Ponieważ ubezpieczenia społeczne i zdrowotne dla klasy robotniczej właściwie nie istniały, a zarobki zwykle nie pozwalały na odłożenie czegokolwiek na starość, utrata zatrudnienia oznaczała ubóstwo, głód, nawet śmierć. Dlatego wiele kobiet pracowało z nadzieją, że uda im się wyjść za mąż, zanim ciało odmówi posłuszeństwa. Małżeństwo bowiem, nawet jeśli kobieta dalej pracowała, oznaczało zwykle urodzenie dzieci, a te zobligowane były przez obyczaj do utrzymania starzejących się rodziców, szczególnie matek.

A jednak, mimo tak wyraźnego ryzyka, część kobiet z proletariatu wybierała staropanieństwo. Służąca, szwaczka czy robotnica mogła postrzegać małżeństwo jako transakcję nieopłacalną – dołożenie obowiązków rodzinnych i prawdopodobnie utratę samodzielności finansowej. W 1889 r. Sophia Drew, angielska mleczarka, w odpowiedzi na dziennikarskie pytanie, dlaczego nie chce męża, powiedziała: „Teraz jestem mleczarką. Gdybym wyszła za mąż, musiałabym być żoną, matką, pielęgniarką, gospodynią, pokojówką, szwaczką, praczką, pomywaczką i do tego mleczarką jednocześnie".

Rządy ekonomii. Małżeństwo było transakcją tak konieczną, jak niebezpieczną. Wyjście ze złego małżeństwa było praktycznie niemożliwe, ale poradzenie sobie bez mężczyzny wymagało samozaparcia, na które stać było tylko wyjątkowe jednostki. I to przy dużym szczęściu.

Progresywni działacze społeczni, a przede wszystkim emancypantki (art. s. 34), wskazywali na możliwe drogi wyjścia z tej sytuacji. Wpuszczenie kobiet na rynek pracy zawodowej, reforma edukacji, a także zmiana prawa dałyby pannom na wydaniu więcej możliwości, a tym samym zmniejszyły być może liczbę związków zawieranych z powodów czysto pragmatycznych, redukując tym samym liczbę tych zupełnie nieudanych. Na istotną zmianę społeczną trzeba było jednak poczekać do Wielkiej Wojny. Pod koniec XIX w. rynek matrymonialny rządził się prawami ekonomii. I podobnie jak ten giełdowy tworzył i łamał życiorysy w mgnieniu oka.

ALICJA URBANIK-KOPEĆ

eprasa.pl 37c4d1858f



Z „Lalki”: Od południa składano sobie i oddawano wizyty i rewizyty albo zjeżdżano się w magazynach. Ku wieczorowi bawiono się przed obiadem, w czasie obiadu i po obiedzie. Potem jechano na koncert lub do teatru (...) Po wyjściu z teatru znowu zbierano się w salonach, gdzie służba roznosiła zimne i gorące napoje, najęci artyści śpiewali.

❖ Na wyścigach konnych; rysunek Władysława Podkowińskiego, 1888 r.

Zobaczyć i być widzianym

Popularne rozrywki Warszawiaków.

Wika Filipowicz

Na salonach. Mimo natarczywej rusyfikacji i wszechobecnej cenzury życie towarzyskie w Warszawie kwitło. Ponieważ przestrzeń publiczna podlegała kontroli, skupiało się ono głównie na obszarze prywatnym. Wśród elit popularny stał się zwyczaj organizowania regularnych spotkań zwanych *jour fixe* (fr. stały dzień). Odbywały się raz w tygodniu, popołudniami i wieczorami, czasem przeciągając się do późnych godzin nocnych. Czas wypełniano muzykowaniem, popisami wokalnymi, recytowaniem poezji, dyskusjami o literaturze, sztuce i wydarzeniach kulturalnych, ale też zabawami towarzyskimi i plotkami. Z zapałem organizowano przedstawienia amatorskie, wystawiając zabawne jednoaktówki lub tzw. żywe obrazy.

Jeden z najsłynniejszych salonów prowadziła Jadwiga Łuszczewska, pisarka znana pod pseudonimem Deotyma. Na Marszałkowskiej 153 zbierano się co czwartek, by deklamować poezję, czytać epickie poematy autorstwa gospodyni oraz słuchać jej improwizacji. Tradycją spotkań był skromny poczęstunek i wytworny strój, dla pań koniecznie w ulubionym przez Deotymę kolorze niebieskim. Równie prestiżowy był udział w spotkaniach u hrabianki Marii Kalergis-Muchanow, żony dyrektora rządowych teatrów warszawskich, animatorki życia muzycznego. Przy Krakowskim Przedmieściu 15 bywało nieliczne, lecz doborowe grono artystów i ludzi pióra, a o wieczorach u pani Muchanow – zwłaszcza gdy dawali na nich swój występ tacy artyści jak Helena Modrzejewska czy Wincenty Rapacki – mówiło z atencją całe miasto. Spotykano się także u pań Cecylii Walewskiej, Walerii Marrené-Morzkowskiej, Elizy Orzeszkowej i Heleny Modrzejewskiej, gdy akurat przebywały w Warszawie, u małżeństwa Krausharów, Zielińskich i Rajchmanów.

Dużą frekwencją cieszył się salon autorki poradników i redaktorki tygodnika „Bluszcz” Lucyny Ćwierczakiewiczowej przy Królewskiej 3. Na jej obiadach czwartkowych zdarzało się również spotkać rosyjskich notabli. Wybaczano to, bo smakiem podawanych potraw tak ich obłaskawiała, że nie potrafili jej odmówić, gdy wstawiała się o uwolnienie lub poprawę bytu polskich działaczy politycznych więzionych w Cytadeli. Niemniej słynne były spotkania w salonach burżuazji: Kronenbergów (art. s. 20), Blochów, Epsteinów, Szlenkierów i Marconich. Tu – prócz wytwornych rozmów i stołu – można było zobaczyć najokazalszą w Warszawie kolekcję brylantów zdobiącą dekolty pań.

Ozdobą *jour fixe* byli artyści, muzycy, literaci i uczeni. Bywalcami byli więc: pisarze Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus (art. s. 16) i Józef Ignacy Kraszewski, pianista Ignacy Jan Paderewski, skrzypek Henryk Wieniawski, poetka i tłumaczka Helena Boguska znana pod pseudonimen Hajota, malarz portrecista Leopold Horowitz, naukowiec Julian Ocho-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Bal w sali ratusza warszawskiego na rzecz szpitala dla dzieci; rysunek Józefa Ryszkiewicza, 1883 r., pokolorowany.

rowicz (art. s. 40). Ten ostatni w życie salonowe wprowadził pierwiastek metafizyczny. Jego seanse z udziałem medium Eusapii Palladino, odbywające się na początku lat 90., w których uczestniczyli m.in. Bolesław Prus, Ignacy Matuszewski, a nawet sam prezydent miasta Sokrat Starynkiewicz (art. s. 48), dzięki relacjom „Kuriera Warszawskiego" oraz „Nowin" emocjonowały nie tylko Warszawę.

W mieszczańskich i inteligenckich domach także organizowano regularne spotkania dla bliskich i znajomych. Wspólny czas spędzano na omawianiu wydarzeń, obejrzanych wystaw, wysłuchanych odczytów o podróżach albo nowych odkryciach nauki, lekturze modnych powieści, śpiewach i grach towarzyskich. Czasem ktoś siadał do pianina i panowie prosili panie do tańca.

Na świeżym powietrzu. Warszawskie życie towarzyskie miało także swój wymiar sezonowy. W wiosenne oraz wczesnojesienne popołudnia zielonymi salonami miasta stawały się parki i ogrody. Spacer po Ogrodzie Saskim był dla elity obowiązkowym punktem dnia, z którego zwalniała tylko niesprzyjająca aura. Przechadzano się po starannie utrzymanych zielonych przestrzeniach, ogrodzonych i nadzorowanych przez dozorców, którzy strzegli, by obnośni handlarze, żebracy i chałatowi Żydzi nie zakłócali wytwornemu towarzystwu przechadzki. W zachodniej części ogrodu, w utworzonym tam jeszcze w 1847 r. Instytucie Wód Mineralnych, od maja do października można było – niczym w kurorcie – napić się wód mineralnych, słuchając koncertów granych w altance szumnie zwanej muszlą koncertową. Nieopodal w działającym od 1869 r. Zakładzie Leczenia Kumysem można było dla poprawy zdrowia wychylić kubek sfermentowanego kobylego mleka. Sam doktor Tytus Chałubiński wychwalał doskonałe efekty, jakie przynosiło picie kumysu połączone ze spacerem.

Innym odwiedzanym parkiem były Łazienki Królewskie. Ci, których zmęczyły tłumy w ogrodach publicznych, mogli wybrać się na zwiedzanie ogrodów wypoczynkowo-rozrywkowych na prywatnych posesjach. Wystarczyło kupić bilet do Doliny Szwajcarskiej położonej między dzisiejszą Aleją Róż a ul. Chopina i można było miło spędzić kilka godzin na podziwianiu kompozycji kwiatowych, napić się kawy, zjeść lody w jednym z licznych pawilonów utrzymanych w szwajcarskim stylu oraz posłuchać muzyki w największej w stolicy sali koncertowej zwanej Salonem Wielkiej Alei. Szczególnym powodzeniem cieszyły się koncerty Leopolda Lewandowskiego, skrzypka i dyrygenta nazywanego polskim Straussem, za którym szalała warszawska publiczność.

W niedziele i święta socjeta ruszała na tzw. corso – przejażdżkę trasą spacerową wiodącą przez najważniejsze arterie, czyli Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Aleje Ujazdowskie i Aleje Jerozolimskie. Środek ulic zajmowały rzędy pojazdów, a z boku po chodnikach przesuwał się odświętnie wystrojony tłum pieszych. Celem było – jak mawiano – zobaczyć i być widzianym. Jechało się wolno, wymieniając ukłony i pozdrowienia. Z uwagą przyglądano się nowym koniom, landom i faetonom (eleganckim dwuosobowym pojazdom), a jeśli ktoś jechał dorożką (koniecznie pierwszej klasy – dwukonną i na gumach), to przynajmniej nowym sukniom i kapeluszom, by mieć przez następny tydzień temat do plotek.

Na wilegiaturze. Latem Warszawa pustoszała. Kto mógł, ruszał do wód i uzdrowisk. Modny stał się też wypoczynek

eprasa.pl 37c4d1858f

w podwarszawskich miejscowościach zwanych wilegiaturami (wł. *villeggiatura* – wakacje, letnisko), położonych wzdłuż trasy Kolei Nadwiślańskiej, a więc w Wawrze, Falenicy, Józefowie, Świdrze i Otwocku oraz wzdłuż linii Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej: w Brwinowie i Milanówku. Pierwszym, który docenił uroki wypoczynku nad Świdrem, był rysownik i malarz, weteran powstania 1863 r., Michał Elwiro Andriolli. W 1880 r. został posiadaczem 12 włók ziemi pod Otwockiem i zbudował dom według własnego projektu – drewniany, bogato ornamentowany (ten styl znamy dziś jako świdermajer) i kilka podobnych na wynajem. Gdy zauważono, jak korzystny dla zdrowia jest miejscowy mikroklimat, okolica stała się modnym miejscem letniego wypoczynku warszawskiej inteligencji.

Tym, których latem nie było stać na wynajęcie letniska, pozostawały niedzielne wyjazdy na zieloną trawkę. Wybierano się więc na wycieczki do podmiejskich wsi: Bielan, Marymontu czy Saskiej Kępy. Marzeniem nie tylko dzieciaków było popłynąć statkiem do Młocin, pograć w serso i pokręcić się na karuzeli. Prócz tego doświadczyć atrakcji takich jak gabinet krzywych luster, fotoplastykon, występy żonglerów, huśtawki i tańce. Nawet dźwięki katarynki z papugą wyciągającą z kapelusza szczęśliwy los, rozlegające się codziennie na warszawskich podwórkach, brzmiały tu jakoś inaczej.

W mieście również bawiono się m.in. na Placu Ujazdowskim, gdzie prócz tańców organizowane były wystawy i rewie. Na Nalewkach zabawę urozmaicały popisy akrobatów i różne osobliwości, takie jak np. figury woskowe, żywe małpki, a nawet „aparat egipski do wylęgania kurcząt z jaj".

Na balu. Zimą warszawskie towarzystwo powiększało się o tłumy ziemian zjeżdżających do miasta z córkami na wydaniu. Karnawał bowiem był idealną okazją do znalezienia im mężów (art. s. 87). Wiele osób uczestniczyło w balach publicznych w Salach Redutowych Teatru Wielkiego, w ratuszowej Sali Aleksandryjskiej, w hotelach Europejskim i Bristolu, w resursach Obywatelskiej i Kupieckiej oraz w Dolinie Szwajcarskiej. Najchętniej jednak bawiono się na balach urządzanych w prywatnych domach. Bolesław Prus w swoich „Kronikach" zapewniał, że w karnawale „nie ma domu, w którym by od dziesiątej wieczór do ósmej rano nie drżały ściany i podłogi".

Choć raz w czasie karnawału wypadało pokazać się także na balu dobroczynnym, połączonym ze zbiórką pieniędzy na ubogich (art. s. 84). Obserwatorzy życia społecznego krytykowali te imprezy, uważając, że koszty włożone w przygotowania są tak wysokie, że dla beneficjentów zostają tylko marne grosze. Aby więc na szczytne cele przeznaczyć więcej pieniędzy, organizowano – zwłaszcza w latach 80. – bale perkalowe lub wełniane, na których „ubrania nie przekraczały warunków obecnie przyjętej zasady skromności" – pisał Prus. I dodawał: „Ale za to ileż gustu, co pomysłów szczęśliwych w udrapowaniu i ułożeniu każdej części ubrania".

Na wyścigach. Prócz zimowego miała Warszawa jeszcze jeden karnawał. Zwano go zielonym lub końskim. Mowa o trwającym kilka tygodni okresie ożywienia towarzyskiego następującym po Wielkanocy, a przed sezonem wyjazdów wakacyjnych. Osią wydarzeń był wiosenny sezon wyścigów konnych. Znów pojawiali się w Warszawie goście z prowincji i balowano, fetując wygrane bądź pocieszając się po porażkach na torze. Eleganckie ekwipaże wypełnione doborowym towarzystwem tym razem kursowały na Pole Mokotowskie, gdzie na tamtejszym hipodromie odbywały się gonitwy. Dopóki nie było trybun i lóż (te zbudowano w 1895 r. ze środków pochodzących z uruchomionego w 1880 r. totalizatora), śledzono przebieg wyścigów z powozów.

Jednak i tu ważniejsze niż pasja do sportu jeździeckiego było zaprezentowanie się. Panowie na tę okazję zakładali najmodniejsze żakiety angielskie, panie „obwieszone koronkami, mantylami, prezentowały piękne suknie i okrycia od Hersego lub sprowadzone wprost z Paryża" – opisywano w gazetach. Czas między gonitwami mijał na plotkach, flirtach, popijaniu orzeźwiających napojów i komentowaniu poczynań innych uczestników. Wieczory natomiast spędzano na balach lub w teatrze.

Na widowni teatru i teatrzyku. W Warszawie działały wówczas cztery teatry stałe i trzy sezonowe. Reprezentacyjny był Teatr Wielki, którego zespół operowy, baletowy i dramatyczny tworzyły największe polskie gwiazdy tamtej epoki. Na deskach można było podziwiać Modrzejewską i innych tuzów teatru, jak Jan Królikowski czy Alojzy Żółkowski. Występy dawali też Bronisława Dowiakowska, primadonna opery i operetki, Józefina i Edward Reszkowie, Jan Quattrini, Władysław Myszuga. Wystawiano opery, głównie włoskie m.in. „Traviatę" i „Aidę" Verdiego. W 1879 r. wielkim wydarzeniem okazała się warszawska prapremiera „Lohengrina" Richarda Wagnera. Prezentowano sztuki Williama Szekspira, Friedricha Schillera, Aleksandra Fredry. Po raz pierwszy ukazały się też na scenie dwa dramaty Juliusza Słowackiego, dzięki wstawiennictwu Siergieja Muchanowa, umiarkowanie tylko okrojone przez cenzurę.

Równie chętnie bywano w Teatrach Rozmaitości położonym w sąsiedztwie Teatru Wielkiego, Małym przy ul. Daniłłowiczowskiej i Nowym przy ul. Królewskiej. Latem działał w Ogrodzie Saskim Teatr Letni, a w Łazienkach – Teatr na Wyspie. Gdy do Warszawy przybywał carski dwór, ożywała także Pomarańczarnia, gdzie wystawiano sztuki i koncertowano.

Bilety do teatru były sporym wydatkiem. Ceny wahały się od 3 do 5 rubli za najlepsze miejsca w lożach parteru i pierwszego piętra. Wstęp na galerię nazywaną paradyzem lub jaskółką, skąd oglądało się spektakl na stojąco, kosztował 60–80 kopiejek. Okupujący ją studenci, urzędnicy niższego szczebla, czasem nawet rzemieślnicy czy służący, nieskrępowani etykietą reagowali żywiołowo na grę aktorów i najgłośniej bili brawo. Choć krytycy zarzucali im brak wyrobienia i prymitywne gusta, ich reakcje często były wyznacznikiem sukcesu lub klapy spektaklu. Zdarzało się, że drobne gratyfikacje aktorów, aktorek lub ich wielbicieli wzmacniały zapał paradyzników do owacji dla tego lub wygwizdania innego artysty. Sławnych aktorów wielbiono. Po spektaklach wywoływano wielokrotnie na scenę, obdarowywano koszami kwiatów, drogimi prezentami i fetowano bankietami. Do tradycji należało wygłaszanie ze sceny lub z lóż improwizowanych wierszy na ich cześć, a pod domami lub hotelami, gdzie się zatrzymywali, organizowano pochody i grano serenady.

Występy artystyczne można było podziwiać również w teatrzykach ogródkowych przy piwiarniach. Właściciele, aby przyciągnąć klientów, dzierżawili plac trupom cyrkowym i objazdowym teatrom. Wznoszono drewniane sceny, altany oraz estrady, na których odbywały się przedstawienia. Tu królowały farsy, komedie i wodewile, a gwiazdami byli Adolfina Zimajer, Anastazy Trapszo, Adolf Delhau. Po działającym w latach 1868–76 Tivoli przy Królewskiej powstały kolejne teatrzyki: Alkazar i Arkadia. Z czasem ogródki piwne wyznaczyły nowe szlaki rekreacyjne Warszawiaków – popu-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Przechadzka w Łazienkach; drzeworyt Wilhelma Berga według Aleksandra Gierymskiego, 1885 r., pokolorowany.

larnymi celami wycieczek stały się zwłaszcza tereny Bielan oraz Saskiej Kępy, gdzie było sporo przybytków podkasanej muzy. Słomiani wdowcy, których małżonki wilegiaturowały w Otwocku czy Milanówku, po dniu pracy i popołudniu spędzonym w zadymionej cygarami kawiarni lub resursie chętnie relaksowali się na świeżym powietrzu z kufelkiem piwa lub kieliszkiem szampańskiego w dłoni, słuchając łatwo wpadających w ucho melodii. Nogi tancerek w czarnych pończochach fikające kankana na tle falbaniastych halek czyniły relaks urzekająco pikantnym.

Na sportowo. Skoro o świeżym powietrzu mowa, to sport nie był obcy Warszawiakom. Arystokracja lubiła jazdę konno. Grywano też w tenisa, jeżdżono na bicyklach i na wrotkach. Sporty te uprawiały również kobiety i – mimo gorsetów i długich sukni – świetnie dawały sobie radę. Ze sportów wodnych najchętniej uprawiano wioślarstwo. Właśnie w Warszawie w 1873 r. powstało jedno z pierwszych w Europie Towarzystwo Wioślarskie, a kilka lat później Towarzystwo Cyklistów (1886 r.) i Towarzystwo Łyżwiarskie (1893 r.).

Zima przynosiła nową paletę możliwości. Przy budynku sali koncertowej w Dolinie Szwajcarskiej w miejscu letniej wrotkarni wylewano lodowisko. Podobne były w Łazienkach i Ogrodzie Saskim. Można też było ślizgać się przy Oborze, ale tam było mniej elegancko. Najbardziej ekscytujące w jeździe na łyżwach było to, że ślizgano się w parach, co pozwalało pannom i kawalerom choć na chwilę wyrwać się spod opieki przyzwoitek. Panie niezbyt biegłe w holendrowaniu korzystały z lodowiska, siedząc na fotelikach z płozami pchanych po tafli przez wielbicieli. Przygrywała muzyka, a wieczorami lód oświetlały latarnie, najpierw gazowe, później elektryczne – i to była dopiero atrakcja! Młodzież robotnicza natomiast korzystała z lodowisk na Wiśle, a latem z nadbrzeżnych kąpielisk i wypożyczalni łódek.

Menażerie i zoologi. Popularne odczyty o dalekich krajach i relacje z podróży rozbudzały ciekawość świata. Upust zainteresowaniu zamorską florą dawano, zwiedzając Ogród Botaniczny. Chęć obejrzenia obcej fauny wiodła chętnych na wystawy, których częścią były ekspozycje wypchanych nosorożców, tygrysów czy krokodyli. Sensacją stała się menażeria założona 1873 r. na rogu Hożej i Kruczej przez firmę Bartels, Kloss&Comp. Niestety, mało w niej było egzotyki. Bolesław Prus, który odwiedził ją z dziennikarskiego obowiązku, odnotował, że w części ogrodowej można było zobaczyć „trzech bardzo niespokojnych niedźwiedzi, parę małoletnich lisów, chudego wilka z mocno wystającym językiem, trochę sów i jednego orła". W pomieszczeniach natomiast trzymano papugi, kury, gołębie i parę „ptaków rajskich" oraz „kilku naturalnych dudków". Zdarzyło się, że jeden z niedźwiedzi wyrwał się ze swojego więzienia – czego również nie omieszkała odnotować ówczesna prasa – i ruszył na spacer ulicami miasta. Tym razem to on postanowił bliżej przyjrzeć się dwunogim istotom. „Nastraszył solidnie kilka kobiet, a na jednej nawet poszarpał odzienie" – odnotowano. Mrożącą krew w żyłach sytuację opanował „niejaki pan C., urzędnik magistratu i człek wielkiej odwagi, który energicznym swym postępowaniem zmusił niedźwiedzia do posłuszeństwa" i odprowadził na powrót do zoologu.

Menażeria po kilku latach zbankrutowała, lecz już w 1884 r. Warszawiacy mogli oglądać słonicę Kaśkę, lwa, żyrafy, wielbłąda, niedźwiedzie, kuny, borsuki i ptaki w menażerii przy Bagateli, założonej z inicjatywy Jana Maurycego Kamieńskiego. Dodatkowo organizowano dla zwiedzających widowiska m.in. z udziałem Dahomejczyków i Hotentotów oraz stworzono ekspozycję etnograficzną na bazie zbiorów podróżników Leopolda Janikowskiego i Stefana Szolc-Rogozińskiego. Mimo dużego zainteresowania w 1888 r. przedsięwzięcie upadło z powodów finansowych. Kolekcja etnograficzna stała się zaczątkiem warszawskiego Muzeum Etnograficznego. Aż do 1928 r., kiedy to założono ogród zoologiczny przy ul. Ratuszowej (istniejący do dziś), egzotyczne zwierzęta można było oglądać jedynie w cyrkach.

Na cyrkowej arenie. Tresowane psy, ekwilibryści, połykacze ognia, linoskoczkowie i klowni często bawili gawiedź na warszawskich podwórkach. Odświętna natomiast była wyprawa do cyrku. A cyrkiem pasjonowali się wszyscy. Królewska szczwalnia, tzw. heca (niem. *hetzen* – szczuć), czyli drewniany amfiteatr, w którym urządzano walki zwierząt i przedstawienia – dziś stoi tam Dom Braci Jabłkowskich – była wizytowana tak samo często jak teatr. I bilety kosztowały tyle samo co w teatrze. Cyrk Cinisellego przy Ordynackiej, luksusowy, murowany budynek otwarty w 1882 r., na widowni mógł pomieścić aż 3 tys. widzów. Tłumnie bywano także w cyrkach przy Włodzimierskiej (dziś Czackiego) i Siennej. Gdy w tym ostatnim wystawiano „wielką pantomimę – Juliusz Cezar na rzymskiej arenie", bilety były tak rozchwytywane, że kasjerzy żądali za lożę zamiast cennikowych 5 rubli aż 16!

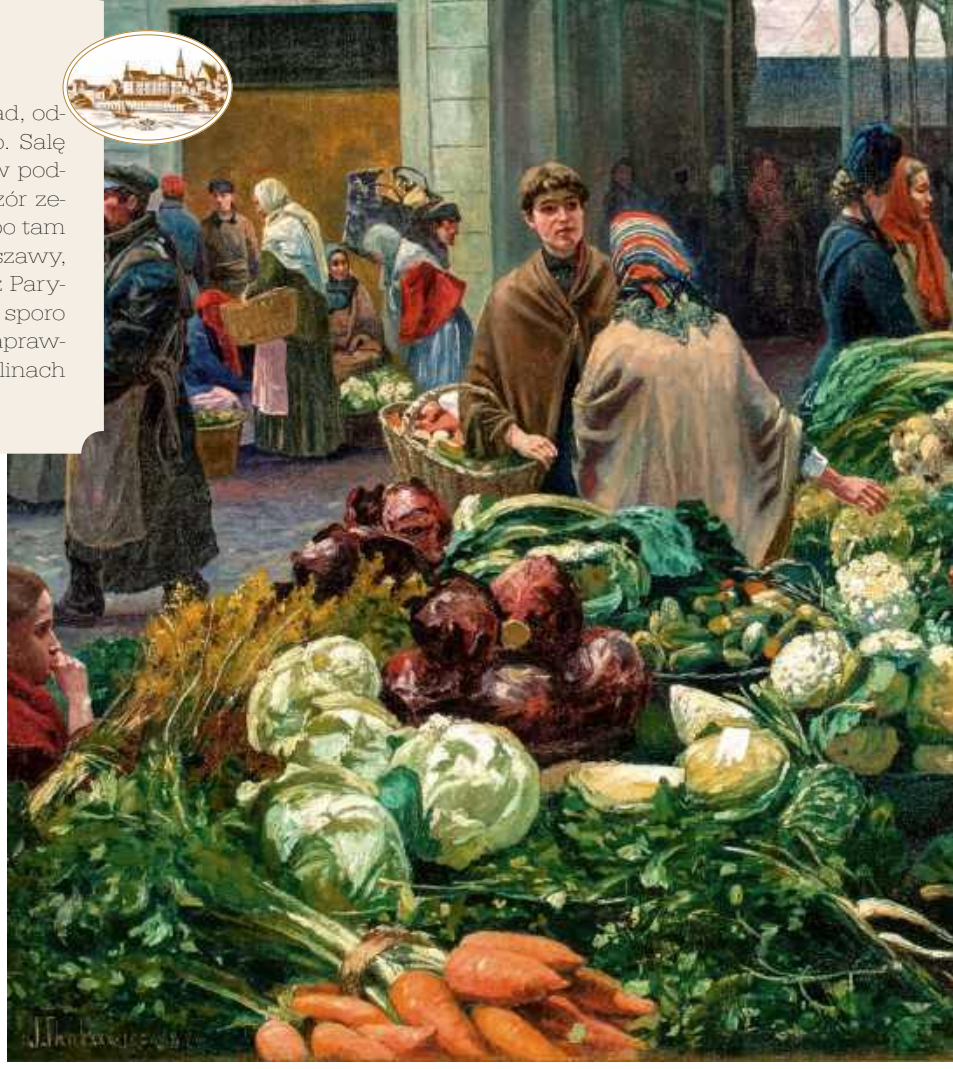
Areną popisów cyrkowych było także znane z konnych wyścigów Pole Mokotowskie. W 1884 r. na tamtejszym hipodromie dawała występ trupa Indian z Nebraski przedstawiająca scenki z Dzikiego Zachodu. Jakiś czas później podobny spektakl prezentował zespół Siuksów, który zatrzymał się w Polsce w drodze z Berlina do Petersburga.

Widownia cyrkowa największym uwielbieniem darzyła atletów. Ich występy szczególnie inspirowały do ćwiczeń i tworzenia licznych towarzystw gimnastycznych. Dla miłośników tężyzny fizycznej pragnących mieć krzepę niczym słynny Pytlas, czyli Władysław Pytlasiński, ojciec polskiego zapaśnictwa, który swoją karierę rozpoczynał od walk na arenach cyrkowych, powstawały więc sale gimnastyczne z przyrządami do ćwiczeń, przypominające dzisiejsze siłownie.

Wika Filipowicz

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Główna uroczystość, czyli obiad, odbyła się w wielkiej sali Hotelu Europejskiego. Salę ubrano w kwiaty, ustawiono ogromne stoły w podkowę, sprowadzono muzykę i o szóstej wieczór zebrało się przeszło sto pięćdziesiąt osób. Kogo bo tam nie było!... Głównie kupcy i fabrykanci z Warszawy, z prowincji, z Moskwy, ba, nawet z Wiednia i z Paryża. Znalazło się też dwu hrabiów, jeden książę i sporo szlachty. O trunkach nie wspominam, gdyż naprawdę nie wiem, czego było więcej: listków na roślinach zdobiących salę czy butelek.



Majonez z kapłonów, kompoty z pomarańczy

Jak i gdzie jadali Warszawiacy.

Wika Filipowicz

Idziemy na zakupy. W drugiej połowie XIX w. każda dzielnica miała plac handlowy, na który o świcie z podwarszawskich majątków zjeżdżały wozy z dostawami. Piaseczno i Góra Kalwaria dostarczały głównie mąkę i wyroby piekarskie, Karczew – mięso, Kamionek, Grochów, Gocław, Wawer i Rembertów – warzywa i owoce, a Jabłonna specjalizowała się w nabiale. Największy handel odbywał się na rynkach Starego i Nowego Miasta, na Placu Kercelego na Woli, na Grzybowskim, w Gościnnym Dworze – monumentalnym obiekcie handlowym wzniesionym w 1841 r. przy Placu Żelaznej Bramy i otaczającym go targowisku, na Nalewkach oraz na Bazarze Różyckiego na Pradze. Nawet za eleganckimi fasadami Nowego Światu kryło się niezbyt duże, ale prężnie działające targowisko, z warszawska zwane „na Zrazowskiem”, z powstałym w 1848 r. nowoczesnym budynkiem jatek mięsnych.

Rankiem panie domu krążyły wśród straganów z koszyczkami w sam raz na kilka jabłek lub pół kwarty poziomek do deseru, a za nimi służące dźwigały obładowane kosze. Kasze, mąkę, groch wsypywano do przyniesionych ze sobą płóciennych woreczków, a na produkty płynne trzeba było mieć własne słoje lub blaszane bańki. Targowanie się było obowiązkowe. Umiejętność ta była ceniona u służącej tak bardzo, że jednym z pierwszych pytań zadawanych przy zatrudnieniu było: Targować się umie?

Płatności dokonywano w obowiązującej walucie, czyli rublach i kopiejkach, ale polska ludność w handlu codziennym nadal posługiwała się dawnymi nazwami, mentalnie przeliczając kwotę na złotówki. Kurs był stały: 1 zł polski (dzielił się na 30 groszy) stanowił równowartość 15 kopiejek, 1 rubel (100 kopiejek) był równy 6,6 zł, a kopiejka – 2 groszom. Na kilogram chleba razowego trzeba było wydać 4–6 kopiejek, czyli 8–12 groszy, na mąkę żytnią ok. 4 kopiejek za funt (409,5 g). Za funtową osełkę masła żądano ok. 30–45 kopiejek, jajka były w cenie 15–20 kopiejek za mendel (15 sztuk), ziemniaki – 30–50 kopiejek za pud (16,3 kg) – co dawało ok. 2–3 kopiejek za 1 kg. Mięso wołowe lub wieprzowe kosztowało ok. 25 do 40 kopiejek za kilogram, a śledzie – 3–5 kopiejek za sztukę.

W drodze powrotnej z targu do dźwiganych przez służącą koszy dorzucano jeszcze to i owo z owocarni, mleczarni, wędliniarni, piekarni czy sklepu kolonialnego, do którego pani wstępowała po kilka łutów (łut – 13 g) herbaty, nawet po rublu za funt, jeśli była w doskonałym gatunku, trochę kawy po 40–80 kopiejek za funt, kapary, pieprz albo rodzynki. W sklepach oferujących dobra luksusowe dominował zachodni model handlu – ceny były stałe i nie wypadało się targować.

Na podstawowe zakupy żywnościowe dla czteroosobowej rodziny pani domu z klasy średniej w latach 1870–80 wydawała tygodniowo ok. 3–5 rubli. Przeliczając to na obecne realia, wartość 1 rubla z tamtego okresu szacować można na 80–110 dzisiejszych zł. W przypadku rodzin robotniczych o dochodach 15–24 rubli miesięcznie nawet 3 ruble tygodniowo na jedzenie były sporym obciążeniem. Natomiast ci, którzy nie musieli się liczyć z groszem, wydawali na swój stół odpowiednio więcej.

Siadamy do stołu. Co jadali na co dzień średniozamożni Warszawiacy? Na śniadanie najczęściej zupę mleczną, jajka, sery, pieczywo (chleb, bułki, rogaliki) z masłem i wędliną, konfiturą lub miodem, a popijali kawą zbożową, kakao lub herbatą. O menu obiadowym najlepiej opowie ku-

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Targ przy Żelaznej Bramie; obraz Józefa Pankiewicza, 1888 r.

chenna biblia tamtych czasów, czyli „365 obiadów" Lucyny Ćwierczakiewiczowej. A więc: „krupnik z perłową kaszą, sztufada z kartoflami, naleśniki z jabłkami" lub „barszcz z botwiny z jajami, kotlety baranie z marchewką, pieczeń wołowa z pieca z sałatą, ciastka z kremem". W dzień postny: „zupa rybna z kluseczkami, sandacz z jajami i kartoflami oraz pierożki leniwe z sera".

Ponieważ mężczyźni spędzali większość dnia poza domem, pracując, obiad podawano ok. godz. 15, a bywało, że i o 17. Domownicy czekali na powrót ojców rodzin, by wspólnie zasiąść do stołu. Kolację jedzono po godz. 20. Składała się zazwyczaj z tego, co pozostało z obiadu, np. odsmażanych ziemniaków, mięs na zimno z pieczywem, czasem był to przekrój tygodnia, czyli bigos, w poście śledź lub kluski z serem.

Od czasu do czasu należało wydać także obiad proszony. W domach mniej zamożnych był po prostu odświętnym posiłkiem, w bogatych – demonstracją statusu i prestiżu. Wyjmowano z kredensu galową zastawę, rodzinne srebra i kryształy, a gdy była potrzeba, wypożyczano z restauracji kucharza i dodatkową obsługę. Goście zjawiali się o wyznaczonej porze – zwykle były to godziny od 15 do 17 lub po 19 i na stół wnoszono dania. Według propozycji Ćwierczakiewiczowej na obiad wystawny podczas zimy: dwie zupy do wyboru: żółwiowa lub purée à la reine z drobiu, do nich paszteciki rozmaite. Potem majonez z kapłonów, łosoś z sosem holenderskim lub turboty, udziec lub comber sarni z sosem truflowym i purée z kasztanów, kuropatwy lub perliczki z mieszanymi kompotami z konserw, sałata–endywia i „różne kompoty z pomarańcz, brzoskwiń, ananasów", dalej jarzynki konserwowane, groszek zielony z puszek, fasolka zielona z „młodem masłem". Wreszcie bomby z lodów i sery oraz owoce: mandarynki, winogrona, jabłka tyrolskie i owoce smażone w cukrze. Oczywiście do każdego dania odpowiednie wino, a na koniec kawa.

Ważnym momentem w rozkładzie kulinarnym mieszczańskiego dnia była wieczorna herbata. Samowar nastawiano rano, by zaparzyć ją do śniadania, ale dopiero pita pod wieczór w gronie rodziny i przyjaciół była prawdziwym rytuałem. Napar przygotowywano w czajniczku umieszczonym na szczycie samowara, następnie tę esencję, zwaną zawarką, pani domu nalewała do filiżanek, uzupełniając wrzątkiem. Często serwowano herbatę rosyjskim zwyczajem – w szklankach umieszczonych w srebrnych albo platerowanych koszyczkach, zwanych podstakannikami. Zdarzali się też amatorzy picia ze spodka, z kawałkiem cukru trzymanym w ustach. W kręgach arystokratycznych uważano to za przejaw prostactwa, ale w domach mieszczańskich oraz inteligenckich zwyczaj był akceptowany.

Do herbaty podawano cukier łupany z głowy, czyli cukrowej bryły, ważącej od ok. 1,5 do 5 kg, w jakich wtedy produkt ten sprzedawano (sypkiego używano tylko do przetworów). Obok niego stawiano śmietankę, plasterki cytryny, konfitury do podjadania między łykami herbaty, a z konkretniejszych rzeczy – bułeczki z szynką lub pasztetem, briosze, praliny, drobne ciastka – przynajmniej trzy rodzaje, baby i ciastka wiedeńskie kupowane w cukierniach.

Nie wszyscy cieszyli się ogniskiem domowym ze stołem zastawionym specjałami. Nieżonaci mężczyźni, ale też i samotne kobiety pracujące (nauczycielki, modystki, introligatorki) znajdowali jego namiastkę, korzystając z tzw. obiadów domowych. Wydawały je rodziny, a często wdowy, dorabiając w ten sposób. Potrawy podawano w jadalni i spożywano w gronie mniej więcej znanych sobie osób, tyle że trzeba było zawczasu umówić się w kwestii korzystania z tej usługi i opłacić abonament.

W rodzinach robotniczych przygotowanie posiłków było dużym wyzwaniem nie tylko ze względów finansowych. Tanie mieszkania na wynajem (często nazwa ta brzmiała zbyt dumnie w stosunku do nor, w jakich przychodziło im żyć) nie miały osobnego pomieszczenia kuchennego, były to zwykle jednoizbowe klitki, w których musiała pomieścić się cała rodzina. Rolę kuchni odgrywał więc kąt izby, a sprzęty ograniczały się do żeliwnej kuchenki jednofajerkowej, zwanej cygankiem. Mieszkańcy takiego lokum zadowalać się musieli daniem jednogarnkowym, które dało się w tych warunkach przyrządzić. Często zatem – zwłaszcza gdy pracowali oboje – stołowali się w tanich jadłodajniach albo przynosili stamtąd jedzenie, by je podgrzać i zjeść z rodziną. Porcję treściwej zupy z wkładką w garkuchni można było kupić już za 2–3 kopiejki. Były też punkty pod patronatem organizacji dobroczynnych, gdzie wydawano ją za darmo.

Jemy na mieście. Ceny posiłków w tanich kuchniach i traktierniach – jak zwano jadłodajnie drugiej i trzeciej klasy – wyznaczał urząd Prezydenta Policji i ogłaszał w dziennikach rządowych. Jakość posiłków oraz stosowanie się do wyznaczonych cen były kontrolowane. Według urzędowych wyliczeń na obiad (zupa plus drugie) konsument powinien wydać ok. 15 kopiejek. Sama zupa (barszcz, krupnik, grochówka) kosztowała 5–6 kopiejek, sztuka mięsa z kartoflami – 10–12 kopiejek, a bigos lub flaki ok. 10 kopiejek. Za pieczeń wołową z dodatkami trzeba było zapłacić już 15–20 kopiejek, zaś za solidny obiad złożony z zupy, dwóch dań mięsnych i jarzyny – 30.

eprasa.pl 37c4d1858f

Wiele tanich lokali gastronomicznych prowadzili Żydzi. Do nich należała też większość tzw. handelków, czyli sklepików, gdzie od frontu sprzedawano produkty, a od zaplecza – funkcjonowała mała gastronomia oferująca np. bułkę z serdelkiem, flaki, pyzy. Te kluski z kartofli z nadzieniem lub bez, przybyłe wraz z ludnością wiejską napływającą do Warszawy, zrobiły karierę na targowiskach i w przyległych szynkach jako potrawa tania, sycąca i łatwa do podania, a przy tym komponująca się z alkoholem, wspierającym często pertraktacje handlowe.

Warszawska gastronomia w drugiej połowie XIX w. odzwierciedlała strukturę społeczną miasta. Peryferia i dzielnice zamieszkiwane przez robotników oraz biedotę – m.in. Praga, Wola, Powiśle – oferowały wyżywienie w tanich lokalach, z których niejeden określano mianem spelunki czy mordowni. W wielu z tych garkuchni posiłki podawano na metalowych talerzach, a wśród klienteli można było spotkać przestępców z półświatka. Natomiast centralne dzielnice miasta biły w oczy luksusem restauracji, oferujących menu na światowym poziomie. Najlepsze mieściły się przy prestiżowych hotelach, jak Europejski, Angielski, Rzymski, Niemiecki czy Saski, i w nich skupiało życie towarzyskie arystokracji krwi i pieniądza.

Prym wiodła tu kuchnia francuska, a do sztandarowych dań należały buliony (*consommé*), polędwica wołowa (*filet de boeuf*), dziczyzna, szczególnie kuropatwy i bażanty oraz ostrygi. Można również było zamówić zupę rakową, szczupaka po polsku, wykwintne desery z hotelowych cukierni i najlepsze trunki. W hotelowych restauracjach i lokalach pierwszej klasy nie obowiązywały urzędowe cenniki. Za obiad firmowy w hotelu w ramach *table d'hôte*, serwowany w stałych godzinach, płacono zazwyczaj 1–1,5 rubla. Wybór dań à la carte i dodatek importowanego wina podnosił rachunek nawet do 3–5 rubli.

Dobrą kuchnię, sprawną obsługę i miłą atmosferę przy nieco niższych cenach (z wyjątkiem bufetu dla niezamożnych podróżnych) oferowały restauracje dworcowe. Powstałe w związku z dynamicznym rozwojem linii kolejowych służyły zarówno podróżnym, jak i warszawskiej klasie średniej. Szczególnie wyróżniane były lokale przy Dworcu Wiedeńskim w Alejach Jerozolimskich oraz przy Dworcu Petersburskim na Pradze.

Powodzeniem cieszyły się także restauracja pierwszej klasy w Ogrodzie Saskim oraz lokal Wróblewskich przy Senatorskiej. Serwowane w tej kategorii lokali menu było kwintesencją warszawskiej kuchni korzystającej z tradycji polsko-francuskich z inspiracjami zaczerpniętymi z kuchni Rosjan, Niemców, Ormian, Włochów, Żydów. Z menu można było wybrać nie tylko befsztyk, zrazy nelsońskie, kotlety po wiedeńsku, pulardy czy sandacza po parysku, ale także i flaki, tyle że z pulpetami ze szpiku lub z cielęciny, a nie łoju wołowego jak w podrzędniejszych lokalach, rosół, barszcz z uszkami, sztufadę lub ozór wołowy z chrzanem, karpia po żydowsku, śledzie, a w sezonie – raki. Obiad złożony z zupy i dwóch potraw mięsnych z jarzynami kosztował ok. 2 rubli. Do tego można było zamówić importowane wino, wódkę i piwa warzone m.in. przez warszawskie browary Haberbusch i Schiele czy K.J. Szwede.

Zamawiamy trunki i napoje. Alkohol, w tym wina – z wyjątkiem szampana i win węgierskich – podawano w większości traktierni. W szynkach, których według danych z 1873 r. było w Warszawie prawie 400, królowały wódka (po 2–3 kopiejki za kieliszek) i piwo. Zakąska była obowiązkowa i wymagała wydania 3–5 kopiejek na śledzia z cebulą, 1–2 kopiejek na chleb ze smalcem, a na kiszony ogórek – 1 kopiejki. Amatorzy piwa chodzili na nie do piwiarni, które oferowały szeroki wybór tego trunku lub do bawarii, specjalizujących się w piwach bawarskich. Kuflowe kosztowało 3 kopiejki, a butelkowe 5–7.

Na wino najlepiej było wstąpić do tzw. handlu win. U Bocqueta czy u Stępkowskiego na Placu Teatralnym lub ⁋u Purwina na Miodowej⁋ można było skosztować wszelkich trunków sprzedawanych na kieliszki lub na karafki.⁋ U Fukiera na Starym Mieście królowały węgierskie tokaje, do których podawano drobne zakąski: sery, winogrona, bakalie. Simon i Stecki na Krakowskim Przedmieściu proponował wybór win francuskich z wędlinami i serami. Na zjedzenie wykwintnego obiadu w obu ostatnich lokalach konsumenci musieli poczekać aż do lat 20. XX w., kiedy to sklepy winiarskie właściciele przekształcili w restauracje.

Warszawiacy lubili kawę, toteż kawiarnie nigdy nie narzekały na brak klientów. Tańsze oferowały kawopodobne erzace, a luksusowe – najlepsze gatunki parzone na różne sposoby. Były to lokale urządzone na wzór wiedeński i ku wygodzie mężczyzn, bo to oni byli klientami. Przy kawie, koniaku, mazagranie lub likierze i przekąskach mogli czytać prasę, grać w bilard, domino lub szachy i dyskutować o interesach.

Cukiernie natomiast były otwarte również dla kobiet, pod warunkiem że towarzyszył im mąż, ojciec czy brat, ewentualnie dzieci lub starsza przyjaciółka. Do Semadeniego, Bliklego, Plerscha i Starorypińskich chodzono na kawę, czekoladę oraz wypieki, w tym baby drożdżowe i pączki, które można było też kupić na wynos. Renomą cieszyły się cukiernie działające pod nazwą firmową Lourse, prowadzone w ostatnim czterdziestoleciu XIX w. przez rodzinę Semadenich. Do Lourse działającej od 1871 r. w Hotelu Europejskim wstępowało się na ciastka półfrancuskie, napoleonki z konfiturą wiśniową, tort hiszpański, bomby hrabskie, czyli kule lodowo-kremowe w czekoladzie, sękacze oraz brioszki i sucharki. Kawa ze śmietanką kosztowała tu 10–15 kopiejek, podczas gdy w innych lokalach płaciło się za nią ok. 7–8, filiżanka czekolady z ciastkiem 30–50 kopiejek, rożki, ptysie i rurki z kremem były po 3–5 kopiejek za sztukę. Café des Théâtres, czyli późniejsza Pod Filarami, zlokalizowana w zachodnim skrzydle Teatru Wielkiego i w pobliżu Teatru Rozmaitości, specjalizowała się w produkcji bombonierek chętnie kupowanych przed spektaklami, a także rożków śmietankowych, babeczek migdałowych, drobnych ciasteczek *petits fours* i owoców w cukrze.

I wreszcie mleczarnie. Początkowo były to wydzielone części sklepów z nabiałem, gdzie robiąc zakupy, można było napić się białej kawy, gorącego mleka zimą, chłodnej maślanki latem, a do tego zjeść bułkę z twarogiem lub żółtym serem albo jajecznicę. Produkty były świeże i tanie, toteż wstępowali tu na śniadanie ludzie spieszący do pracy, studenci, osoby wracające na czczo z porannej mszy, urzędnicy i uczniowie chcący przekąsić coś na drugie śniadanie. Wprawdzie już na początku lat 80. w jadłodajni pani Wróblowej przy Złotej obok innych wydawano także jarskie obiady, lecz lokal przeznaczony spożyciu wyłącznie dań mlecznych i jarskich otworzył dopiero w lutym 1896 r. na Nowym Świecie ziemianin Stanisław Dłużewski. Po Mleczarni Nadświdrzańskiej – bo tak się nazywał – zaczęły otwierać się następne – przy Brackiej, Marszałkowskiej, na Placu Teatralnym oraz w Ogrodach Saskim i Krasińskich. Do dziś lokale tego typu pozostają wyłącznie polską specjalnością.

Wika Filipowicz

eprasa.pl 37c4d1858f

REKLAMA

BLIKLE Z CZASÓW Wokulskiego



CO ŁĄCZY SŁYNNĄ CUKIERNIĘ Z „LALKĄ" BOLESŁAWA PRUSA?

Wszystko zaczęło się w 1869 roku

Historia firmy Blikle rozpoczęła się w 1869 roku, kiedy Antoni Blikle otworzył pierwszą cukiernię przy ulicy Nowy Świat w Warszawie. Firma przetrwała wiele trudnych wydarzeń, które dotknęły Warszawę i całą Polskę, w tym I wojnę światową, odzyskanie przez Polskę niepodległości oraz II wojnę światową. Szczególnie trudnym okresem była II wojna światowa i zniszczenie Warszawy. Mimo ogromnych strat firma zdołała przetrwać, a po wojnie ponownie rozpoczęła działalność. Kolejnym wyzwaniem były czasy PRL-u, kiedy prywatne przedsiębiorstwa miały ograniczone możliwości rozwoju. Mimo zmieniających się warunków Blikle zachował swoją markę, tradycję i charakter. Po przemianach ustrojowych w 1989 roku firma mogła ponownie dynamiczniej się rozwijać. Z czasem Blikle stał się symbolem warszawskiej tradycji cukierniczej. Ponad 150 lat historii sprawiło, że marka przetrwała wojny, kryzysy i zmiany polityczne, pozostając jednym z najbardziej znanych nazwisk polskiego cukiernictwa.

CZY PRUS BYWAŁ U BLIKLEGO?

To pytanie jest szczególnie kuszące. Nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Wiadomo jednak, że Prus znał warszawskie środowisko lokali gastronomicznych i handlowych, w którym funkcjonowała także firma Blikle.



Smak Warszawy, który przetrwał

Dziś nie musimy już tylko wyobrażać sobie Warszawy z czasów Wokulskiego. Możemy jej posmakować. Przy Nowym Świecie 33 historia spotyka się ze współczesnością. Można usiąść przy kawie, zamówić klasycznego pączka z różą, kawałek tortu lub napoleonki i na chwilę przenieść się do świata, w którym Warszawa wyglądała zupełnie inaczej, ale ludzie podobnie jak dziś spotykali się, rozmawiali i szukali chwili przyjemności. Pączek z różą w Bliklem to nie tylko deser. To kawałek warszawskiej historii. A jeśli „Lalka" była literacką podróżą po Warszawie, wizyta w Bliklem może być jej smakowym odpowiednikiem.

A. Blikle® 1869 SMAK NATURY

Następnym razem, gdy będziesz spacerować Nowym Światem, zatrzymaj się przy numerze 33. Wejdź do środka. Zamów kawę i pączka z różą. Usiądź na chwilę. Może właśnie przy tym samym stoliku, przy którym dziś spotykają się warszawiacy, da się najlepiej poczuć atmosferę miasta Wokulskiego.

NIEKTÓRE HISTORIE NAJLEPIEJ SIĘ CZYTA. A TE NAJPIĘKNIEJSZE MOŻNA RÓWNIEŻ SPRÓBOWAĆ.

ŚWIAT WOKULSKIEGO I ŚWIAT BLIKLEGO

Dziś Blikle to marka, która kojarzy się przede wszystkim z pięknymi tortami artystycznymi, które idealnie wpasują się w celebrację wyjątkowych wydarzeń takich jak wesela czy urodziny. Dodatkowo **firma oferuję szeroki wachlarz możliwości** personalizacji słodkości, takich jak makaroniki czy maślane ciastka. Nadrukujesz na nich zdjęcie swojej pociechy, logo firmy albo grafikę. Marka idąc z duchem czasu dopasowuje swój asortyment do aktualnych smaków i trendów. Pozostaje w tym wszystkich wierna swoim recepturom i tradycji cukiernictwa.

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Bierze „Le Moniteur de la Mode” i zaczyna go przeglądać z największą uwagą. Oto jest toaleta obiadowa; oto ubiory wiosenne dla panienek, panien, mężatek, młodych mężatek i ich matek; oto suknie wizytowe, ceremonialne, spacerowe; sześć nowych form kapeluszy, z dziesięć materiałów, kilkadziesiąt barw... Co tu wybrać, o Boże?... Niepodobna wybierać bez naradzenia się z panną Florentyną i z magazynierką...

W najświeższych fasonach

Jak nosiła się elita Warszawy końca XIX w.

Karolina Żebrowska



❖ Anna Gralewska w sukni balowej; obraz Jacka Malczewskiego, 1887 r.

Królewski przepych. W modzie lata 70. XIX w. – w końcu tej dekady jest osadzona akcja „Lalki” – były czasem absurdalnego nieraz przepychu, ogromnej liczby dekoracji, skomplikowanej formy i draperii, a zarazem nienagannego kroju. Za kobietami ciągnęły się zwały tkaniny upiętej w kilkuwarstwową spódnicę. Dopasowane staniki o lekko podwyższonej talii były zdobione koronką i misternie układaną tkaniną, rękawy często rozszerzały się w okolicy nadgarstka, nawiązując do kroju modnego za czasów królowej Marii Antoniny. Inspirowana jej garderobą była zresztą wówczas cała sylwetka – podpięte z tyłu spódnice przypominały osiemnastowieczną suknię *robe a la polonaise*. Za charakterystyczny kuperek odpowiadała turniura, czyli wykonany z tkaniny i drutu stelaż noszony pod halkami, a wywodzący się z popularnej dotychczas krynoliny.

W modzie męskiej królowały idealnie skrojone surduty, dopasowane kamizelki, a także sztywno krochmalone kołnierzyki i mankiety. O elegancji dżentelmena stanowił nie tylko kunszt jego krawca, ale też liczne dodatki – rzeźbiona laska, zegarek na łańcuszku, krawat, kapelusz.

Sklepy i ceny. Gdzie w takie obfite suknie i misterne akcesoria mogła zaopatrywać się socjeta z czasów „Lalki”? Warszawa tego okresu obfitowała w biznesy rzemieślników związanych z modą i ubiorem, zakłady krawieckie i magazyny. Przy głównych ulicach, jak Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Chmielna czy Nowo-Senatorska (obecnie Moliera) znajdowało się zazwyczaj po kilkanaście lokali handlujących odzieżą lub modnymi dodatkami.

Spacerując Nowym Światem w stronę Starego Miasta, modna dama mogła zaopatrzyć się w praktycznie całą garderobę. Pod numerami 41, 45, 55 i 57 znajdowały się kolejno magazyny mód „Parizet”, „Mottier”, u Madame Alexandrine (z modą dziecięcą) i u Elżbiety z Moniuszków Nawroczyńskiej. Oferowały wyroby na zamówienie, tzw. obstalunek, np. suknie skrojone według aktualnych paryskich trendów. Niektórzy, jak Madame Alexandrine, mająca również magazyn przy Czystej, przywozili półprodukty (tkaniny czy ozdoby) prosto z Paryża. Rzadko handlowano gotowym ubiorem

eprasa.pl 37c4d1858f

– ta praktyka pojawiła się dopiero pod sam koniec XIX w. Zazwyczaj proponowano klientkom samodzielny dobór tkaniny i dekoracji ze sklepowego asortymentu („Parizet" chwalił się, że wysyła na żądanie ich próbki) lub oferowano wykonanie najmodniejszych modeli z dostarczonych przez klientki materiałów.

Ceny? Elżbieta z Moniuszków Nawroczyńska za wykonanie w swoim magazynie zwykłej sukni dziennej kopiowanej z paryskiego wzoru brała od 3 do 6 rubli, a za najtańsze suknie balowe „z najlepszych materjałów z kwiatami" – 15 rubli. Najdroższe były suknie ślubne – ok. 18 rubli. Dla porównania, średnie zarobki w Cesarstwie Rosyjskim wynosiły w czasach „Lalki" ok. 25–30 rubli na miesiąc.

Koszt zależał również od klasy społecznej damy zamawiającej strój i od jakości użytych materiałów. Wokulski, lustrując Izabelę, tak wycenił jej ubranie: „Suknia. Piętnaście łokci surowego jedwabiu po rublu – piętnaście rubli... Koronki z dziesięć rubli, a robota z piętnaście... Razem czterdzieści rubli suknia, ze sto pięćdziesiąt rubli kolczyki i dziesięć groszy róża...".

Wyjątkową okazją w życiu Warszawianki z wyższych sfer był bal kostiumowy. Jako jedne z nielicznych momentów pozwalających na puszczenie wodzy fantazji i na ubiór nieco swobodniejszy (np. odkrywający kostki) bale kostiumowe i maskowe odbywające się zazwyczaj w sezonie zimowym ekscytowały warszawską elitę. Nabycie odpowiedniego kostiumu, który mógł nawiązywać zarówno do fauny czy flory, jak i postaci mitycznych, historycznych czy znanych z baśni, przysparzało nie lada problemów. Dlatego kostium można było wynająć. Takie usługi oferowano w magazynie Dziechcińskiego przy Miodowej 14. Można tam było również wynająć domina, czyli karnawałowe peleryny, będące od XVIII w. nieodłącznym elementem maskarady.

Suknie na specjalne okazje nie zawsze oznaczały wyjście na bal czy ślub. Pomiędzy „Mottier" a lokalem Madame Alexandrine znajdował się np. magazyn, w którym można było zaopatrzyć się w suknie i dodatki żałobne, a nawet „suknie pośmiertne".

Na razie jednak nasza dama idzie dalej Krakowskim Przedmieściem, ulicą, która w „Lalce" odgrywa szczególną rolę. Według badaczy to właśnie tam, pod numerem 9, znajdował się fikcyjny sklep, który Wokulski prowadził z Minclem, pod numerem 7 zaś otworzył nowy lokal, który podług relacji Rzeckiego obejmował: „pięć ogromnych salonów. W pierwszym pokoju na lewo mieszczą się same ruskie tkaniny, perkale, kretony, jedwabie i aksamity. Drugi pokój zajęty w połowie na drobiazgi do ubrania służące: kapelusze, kołnierzyki, krawaty, parasolki. W salonie frontowym najwykwintniejsza galanteria: brązy, majoliki, kryształy, kość słoniowa. Następny pokój, na prawo, lokuje zabawki, tudzież wyroby z drewna i metalów, a w ostatnim pokoju, na prawo, są towary z gumy i skóry".



❖ Od góry: Bluzka wizytowa z lat 90. XIX w., parasolka damska z końca XIX w., gorset jedwabny z lat 80. XIX w., trzewiki z ok. 1900 r.

Dama mogła nabyć u Wokulskiego parasolkę i rękawiczki, a następnie udać się pod numer 15, gdzie prawdziwy już Edward Loth miał magazyn kapeluszy. W ofercie pojawiały się kapelusze słomkowe, filcowe i fantazyjne, a także „z ubraniem lub bez". Chodziło o ozdoby: wstążki, pióra, sztuczne kwiaty. Decydując się na kapelusz bez ubrania, klientka mogła sama wybrać stosowne dekoracje – np. kawałek dalej, pod numerem 65, gdzie Wanda Siwińska wytwarzała sztuczne kwiaty i liście do zdobienia kapeluszy i sukni.

Po zakupieniu kapelusza można było zatrzymać się pod numerem 39 u Marii Grochowskiej i zamówić gorset na wymiar. Kunszt wykonania produktów Grochowskiej możemy podziwiać do dziś, bo piękny gorset z jej pracowni przetrwał zawieruchę dziejów i zachował się w kolekcji Kent State University Museum. Jeśli jednak budżet nie pozwalał na szycie gorsetu na zamówienie, pod numerem 53 znajdował się lokal Joanny Bergers sprowadzającej z Francji gorsety „w najświeższych fasonach i z najlepszych fabryk paryzkich".

Wreszcie, pod numerem 79, u A. Krzewskiego, przejrzeć można było najnowsze modele obuwia, a pod numerem 85, w zakładzie nauki kroju A. Gałeckiej – nabyć świeżo przywiezione z Paryża bibułkowe wykroje na ubiory dla kobiet i dzieci.

Na panów także czekała w Warszawie ogromna liczba magazynów i sklepów. O ile zakłady oferujące stroje dla dam stawiały głównie na najnowsze trendy, o tyle te z ubiorami i dodatkami dla dżentelmenów podkreślały nienaganne wykonanie i doskonałą jakość. Przy Długiej 550 działał „Magazyn Zjednoczonych Krawców Warszawskich", który proponował „znaczny zapas garderoby męzkiej, tak z materyałów tutejszych, jako też zagranicznych, podług najświeższych żurnalów wykończonej. Garderoba o której mowa, pod względem dokładności w wykończeniu, oraz nałożenia ceny na takową, ulega krytyce specyalnych biegłych".

Krawcowa poszukiwana. Samodzielne szycie z wykroju stanowiło alternatywę dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na zamawianie skomplikowanych toalet. Również na Krakowskim Przedmieściu pod numerem 69 można było nabyć maszynę do szycia w składzie pierwszej krajowej fabryki maszyn do szycia J.A. Kraszewskiego. Może tam właśnie wybrałby się Wokulski,

eprasa.pl 37c4d1858f

szukając sprzętu dla Marianny, której obiecał pomoc w znalezieniu pracy: „Pokój będzie pani miała osobny, stołować się pani będzie u nich, a maszyna i wszystko, co się okaże potrzebnym do szycia bielizny, znajdzie się także. Rekomendacje do składu bielizny dam pani, a po paru miesiącach zobaczymy, czy utrzyma się pani z tej roboty".

Szycie było pożądaną umiejętnością, a szwaczki i krawcowe – rozchwytywane. Wspomniana wcześniej Madame Alexandrine szukała do swojego zakładu aż „10 panien do szycia, za dobrem wynagrodzeniem". Z kolei szwalnia na Nowolipkach anonsowała: „Zaraz potrzebne są panny do szycia na maszynie, a także zdatne do staników". Powstawały więc kolejne szkoły krawiectwa, szycia i kroju. Jeden z takich kursów reklamował naukę „podług francuskiej najlepszej i udoskonalonej metody", prowadzoną „przez osobę posiadającą wyższą teoretyczną i praktyczną znajomość krawiecczyzny damskiej, osobom pragnącym gruntownego wykształcenia i wydoskonalenia się w tym fachu".

Potrzebne do szycia tkaniny nabywano w specjalnych składach bławatnych. Magazyn Towarów Bławatnych B. Szyszka przy Wierzbowej oferował na płaszcze „w wielkim wyborze: Aksamity czarne, Materje czarne, Materje kolorowe (droższe), Cachemiry czarne".

Z drugiej ręki. A co, jeśli ktoś nie miał umiejętności krawieckich i nie było go stać na kupno nowej odzieży? Można było szukać używanej. „Z powodu wyjazdu jest do sprzedania suknia balowa, mało używana, kolor jej jest jasno lila, z ciężkiej materji, za bardzo przystępną cenę", ogłaszała jakaś dama w „Kurierze Codziennym" z 28 stycznia 1878 r., a więc w szczycie sezonu towarzyskiego. Kilka dni później do odsprzedania była inna suknia balowa – „zupełnie świeża, za przystępną cenę".

W używaną odzież można było również zaopatrzyć się na Pociejowie – żydowskim targowisku zlokalizowanym w pobliżu ul. Bagno. Pociejów słynął z tanich produktów wątpliwej jakości, rzeczy zniszczonych i kradzionych, a w kontekście ubioru kojarzył się z tandetą i złym gustem. Stanowił jednak alternatywę dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na zakupy w drogich magazynach pełnych paryskich perełek.

Nawet bogaci bardzo cenili swoje ubrania i uważali na nie. Pończochy reperowano jeśli nie samemu, to u wyszkolonych specjalistek lub w zakładach dziewiarskich. Taki zakład prowadziła przy swoim magazynie mód Anna Helman przy Zielnej 32, przyjmując „do roboty i nadrabiania wszelkiego rodzaju pończochy i skarpetki, tak z własnego jak również i z powierzonego materyału".

Bardzo żałowano też zgubionych części ubioru. W „Kurierze Codziennym" często ogłaszano zagubienie wachlarza czy futerału na okulary. Wyjątkowo wartościowe były futrzane mufki, a za ich znalezienie oferowano wysokie nagrody. „W piątek wieczorem na ulicy Miodowej, zgubioną została mufka sobolowa, z czarną podszewką, w środku nieco zniszczona. Uprasza się o oddanie takowej do Redakcyi", napisano w „Kurierze Codziennym" 26 stycznia 1878 r., oferując jako nagrodę aż 5 rubli (dla porównania, za zaginione psy proponowano od 1 do 3 rubli). Jeszcze większą nagrodę mógł zgarnąć znalazca mufki opisanej w „Kurierze" kilka tygodni później, 11 lutego: „NAGRODY rsr. [rubli srebrnych] 10. Zgubioną została Mufka nurkowa z białem futerkiem wewnątrz, w sankach, przejeżdżając z Nalewek w ulicę Marszałkowską. Łaskawy znalazca raczy oddać pod Nr. 7 na ulicę Przejazd". Ginęły również cenne akcesoria męskie, jak portfele czy futerały na okulary, za które także oferowano niemałe sumy.

Przetrwały do dziś. Mimo zawieruchy dziejów, która nie oszczędzała Warszawy, niektóre zakłady istniejące za czasów „Lalki" przetrwały do naszych czasów. W czasie ukazywania się kolejnych odcinków powieści powstał na Wilczej lokal zajmujący się wyrobem i sprzedażą skórzanych pasków. Antoni i Katarzyna Stojowscy założyli w 1888 r. pracownię kaletniczą, w której mogli zaopatrywać się czytelnicy „Kuriera Codziennego", śledzący na bieżąco losy Wokulskiego i Łęckiej. Potomkowie Stojowskich do dziś prowadzą warszawski zakład, nadal oferując klientom wyroby skórzane i usługi z zakresu naprawy galanterii.

Nieprzerwanie od 1883 r. działa też pracownia obuwia „Jan Kielman i Syn" mieszcząca się przy Chmielnej. Od czasów Prusa wytwarza kunsztowne obuwie skórzane dla pań i panów. Niewykluczone, że z usług Kielmana korzystał nawet sam autor – niestety już się tego nie dowiemy, bo firmowa dokumentacja spłonęła wraz z oryginalnym lokalem podczas powstania warszawskiego.

Sztuczne loki, farbowane wąsy. Żaden strój, choćby nie wiadomo jak dobrze wykonany i opatrzony dopracowanymi dodatkami, nie robiłby jednak wrażenia bez kluczowego elementu, jakim była elegancka fryzura. Damy, na których głowach w tym czasie piętrzyły się loki i warkocze, nie zawsze polegały wyłącznie na swoich włosach w wyczarowaniu modnej fryzury. Z pomocą przychodziły doczepiane elementy z włosów prawdziwych lub sztucznych. W Warszawie czasów „Lalki" specjalizował się w nich Jan Kalinowski, właściciel zakładu fryzjersko-perukarskiego, jak i pierwszej w kraju fabryki warkoczy ze sztucznych włosów przy Marszałkowskiej 61. Cena warkocza ze sztucznego włosa sięgała od 1 do 5 rubli, czyli dość sporo – za 3 ruble można było już kupić najtańszą suknię.

Kalinowski tak opisywał swoje usługi: „Zakład [...] poleca się z wszelkiemi wyrobami fryzyerskiemi w wielkim wyborze, posiada znaczny zapas włosów w różnych kolorach, przyjmuje zamówienia na wszelkie wyroby tak z włosów własnych jak i dostarczonych sobie, wykonywając takowe ze specyalną znajomością sztuki fryzyerskiej. Uskutecznia czesanie Dam tak w zakładzie jak również przyjmuje zamówienia".

Choć w przypadku panów sytuacja była nieco prostsza, używano specjalnych kosmetyków, a nawet lokówek, aby uzyskać modne uczesanie. Charakterystyczna fala nad czołem wyciskana była przy pomocy tzw. żelazka Marcela. Nie stroniono również od farby. Podczas jednej z wizyt fryzjer proponuje Wokulskiemu: „Może by trochę poczernić włosy?". Z kolei baron Dalski chwali się, że jego wyrozumiała narzeczona preferuje jego naturalną siwiznę: „Ja bardzo młodo zacząłem siwieć i nie bez tego, ażebym od czasu do czasu nie dotknął wąsów fiksatuarem. No i kto by, panie, pomyślał: ledwie spostrzegła to, raz na zawsze zabroniła mi fiksatuarować się; powiedziała, że ona ma szczególne upodobanie do siwych włosów i że dla niej prawdziwie pięknym może być tylko siwy mężczyzna".

Siwy czy nie, baron Dalski był raczej jednym z nielicznych eleganckich przechodniów zaludniających wówczas warszawskie ulice. Większość miasta wyglądała nędznie – wszechobecny brud, połatane łachmany i ubóstwo, a zamiast skórzanych butów od Jana Kielmana na stopach nieraz nie gościło żadne obuwie.

„Marionetki! Wszystko marionetki!", skomentowałby Rzecki, obserwując modnych przechodniów przez okno.

KAROLINA ŻEBROWSKA

eprasa.pl 37c4d1858f

Z „Lalki”: Potem jechano (...) do teatru, ażeby tam zobaczyć inny sztuczny świat, gdzie bohaterowie rzadko kiedy jedzą i pracują, ale za to wciąż gadają sami do siebie – gdzie niewierność kobiet staje się źródłem wielkich katastrof i gdzie kochanek, zabity przez męża w piątym akcie, na drugi dzień zmartwychwstaje w pierwszym akcie.



❖ Kamila Urzędowska (Izabela Łęcka) i Marcin Dorociński (Stanisław Wokulski) w filmie Macieja Kawalskiego, 2026 r.

Zobaczyć „Lalkę”

Kanoniczne ekranizacje, teatralne eksperymenty i najnowsze adaptacje powieści Prusa.

Aneta Kyzioł

Nowe adaptacje. Nowa filmowa adaptacja „Lalki” w reżyserii Macieja Kawalskiego jest reklamowana jako wierna powieści superprodukcja w gwiazdorskiej obsadzie. Marek Kondrat, który dla roli Ignacego Rzeckiego zrobił sobie urlop od aktorskiej emerytury, w wywiadach porównuje ekranizację do dawnych eposów filmowych w stylu „Wojny i pokoju” Siergieja Bondarczuka. A w obsadzie znajdują się także m.in. Agata Kulesza, Krystyna Janda, Maja Komorowska, Andrzej Seweryn, Mateusz Damięcki, Maria Dębska, Karolina Gruszka, Maja Ostaszewska, Borys Szyc, Dawid Ogrodnik, Cezary Żak, Andrzej Chyra, Filip Pławiak i Maciej Musiałowski.

Grający Stanisława Wokulskiego Marcin Dorociński musiał się na wstępie zmierzyć z krytyką, że jest zbyt przystojny jak na „pień z czerwonymi rękoma” (określenie autorstwa Izabeli Łęckiej). Do roli podchodził z pełną świadomością, że porównań z poprzednikami nie uniknie. „Są w polskiej kulturze postaci, które żyją i odbijają się echem w każdym z nas. Stanisław Wokulski jest jedną z nich, to człowiek pełen sprzeczności, marzyciel i pragmatyk, romantyk i rewolucjonista. Jestem zaszczycony, że będę mógł podążyć śladami wielkich aktorów: Mariusza Dmochowskiego oraz Jerzego Kamasa i zmierzyć się z legendą stworzoną przez Prusa, pokazać ją w nowym świetle i mojej interpretacji. Mam nadzieję, że widzowie zobaczą w Wokulskim nie tylko bohatera XIX w., ale i kogoś bliskiego naszym czasom” – mówił. Wtórowała mu grająca Izabelę Łęcką Kamila Urzędowska: „Praca nad tą rolą to dla mnie okazja, by oddać hołd klasyce, a jednocześnie tchnąć w Izabelę współczesną wrażliwość, która pozwoli nam wszystkim na nowo spojrzeć na jej historię”. Efekty ich wysiłków obejrzymy na kinowych ekranach od 30 września.

I będziemy mogli je porównać z sześcioodcinkowym serialem Netflixa z Tomaszem Schuchardtem i Sandrą Drzymalską w głównych rolach, który na platformie debiutuje 16 września. Reżyser Paweł Maślona – znany m.in. z nagradzanego „Kosa”, opowieści o Tadeuszu Kościuszce zrealizowanej w estetyce kina Quentina Tarantino – zapowiada inspirowany dziełem Prusa kostiumowy melodramat z elementami tragikomedii, kryminału, a nawet horroru, w którym równorzędny głos dostają obie strony: Wokulski i Łęcka. „Powieść Prusa jest punktem wyjścia dla naszej opowieści, traktujemy ją jako rodzaj trampoliny do tego, żeby stworzyć własną

eprasa.pl 37c4d1858f





❖ Sandra Drzymalska i Tomasz Schuchardt w serialu Pawła Maślony, 2026 r.

fantazję. Nie polecałbym na pewno maturzystom, by traktowali serial »Lalka« jako coś, co może im pomóc w przygotowaniu się do egzaminu" – tłumaczył w „Rzeczpospolitej".

Ogłoszenie startu prac nad aż dwiema nowymi „Lalkami", odpowiednio 48 lat po premierze serialu Ryszarda Bera i 58 lat po filmie Wojciecha Jerzego Hasa, z początku wzbudziło więcej wątpliwości niż aplauzu. Poprzednie ekranizacje uchodzą za kanoniczne, nie mamy też tradycji filmowego wracania do tych samych tytułów, jak choćby Wielka Brytania, gdzie każde pokolenie ogląda na ekranie własną wersję klasycznych powieści. Wyjątkiem jest „Znachor", melodramat wszech czasów Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, pierwszy raz zekranizowany jeszcze przed wojną i drugi raz w 1981 r., z wielką rolą Jerzego Bińczyckiego. Nowa zaś interpretacja – film Netflixa sprzed trzech lat w reż. Michała Gazdy – udała się na tyle, żeby rozbudzić apetyty na więcej. Efektem są właśnie dwie „Lalki", a także powstające nowe, serialowe „Noce i dnie" (reż. Kamila Tarabura, Netflix) z Tomaszem Schuchardtem i Jaśminą Polak w głównych rolach, oraz kilka kolejnych powtórnych ekranizacji klasyki w przygotowaniu (mówi się m.in. o „Trędowatej" Heleny Mniszkówny).

Porównaniom nie będzie więc końca. A przy okazji filmowcy reaktywują dawne zawody i umiejętności. Bo prace nad „Lalkami" pokazały, że dziś brakuje np. woźniców, którzy potrafią parkować tyłem wozami z końskim zaprzęgiem. Sztuka ta była powszechna w czasach, gdy po Warszawie powozami rozbijali się pan Wokulski i panna Łęcka.

Kanoniczne obrazy rozpadu i erotyczne sny. Doceniane dziś realizacje Wojciecha Jerzego Hasa i Ryszarda Bera też wywoływały dyskusje. Has postawił na ekspresjonizm i teatralność, na ekranie dominuje perspektywa Wokulskiego, obrazy śmierci i rozpadu. Część recenzentów krytykowała reżysera za eskapizm – ograniczenie tematyki społecznej. „Has z Wokulskiego zrobił bohatera byronowskiego, zagubionego wśród narodowego śmietnika" – pisano. Inni w silnym podkreśleniu osobności i wyobcowania Wokulskiego zobaczyli komentarz do wydarzeń Marca '68. „Patrząc na »Lalkę« Hasa, przypomniałem sobie piękne zdanie Cocteau, zacytowane przez Godarda w jednym z jego wywiadów: »Tylko film potrafi sfotografować śmierć w działaniu«. To niemalże kwintesencja tego filmu. Wszak widzimy na ekranie właśnie przełożony na język obrazów proces obumierania nadziei, uczuć, pragnień; dekompozycję ludzkiego losu" – pisał w „Ekranie" Konrad Eberhardt.

Ciekawy bywał odbiór za granicą. Amerykańska krytyczka Annette Insdorf pisała o dziele Hasa: „Gdyby Stanley Kubrick dokonał filmowej adaptacji prozy Antoniego Czechowa, jego film zapewne przypominałby »Lalkę«".

O dekadę późniejszy serial Ryszarda Bera, dziewięć ponadgodzinnych odcinków zrealizowanych z dbałością o realia epoki, to z kolei świetna panorama społeczna końca XIX w., z mocną krytyką namiętności pchających Polaków do powstań. Serial chwalono za wierność autorowi, choć reżyser pozwalał sobie na dopowiedzenia, zwłaszcza w kwestii motywacji i psychologii bohaterów. Przykładem erotyczne sny Izabeli, które bardzo podobały się wcielającej się w nią Małgorzacie Braunek. W przeciwieństwie do Beaty Tyszkiewicz z filmu – zdaniem wielu widzów i krytyków będącej ucieleśnieniem arystokratycznej, eterycznej kobiecości – chciała zagrać kobietę z krwi i kości. „Lubiłam tę postać, bo to jest postać tragiczna. Ona jest osobą, która za wszelką cenę chce zatrzymać odchodzący świat arystokracji. Całe jej postępowanie temu służy. Jednocześnie jest po prostu kobietą, z silnie rozwiniętymi wszystkimi kobiecymi potrzebami. Rozumiem ją – mówiła aktorka w „Gazecie Wyborczej". – To była trudna rola. Skazana na konfrontację z masowymi sympatiami, które, nie wiedzieć czemu, są po stronie Wokulskiego". Jerzy Kamas był nieoczywistym, zimnym Wokulskim, a największą sympatię widzów wzbudził Bronisław Pawlik w roli starego subiekta Ignacego Rzeckiego.

Eksperymenty na scenie. Teatr „Lalkami" bawi się znacznie częściej niż kino i telewizja. Inscenizacji powieści Prusa na polskich scenach mieliśmy już kilkanaście. I np. zanim Mariusz Dmochowski objawił się jako Wokulski na ekranach kin, mogli go w tej roli podziwiać widzowie spektaklu

eprasa.pl 37c4d1858f



❖ Mariusz Dmochowski i Beata Tyszkiewicz w filmie Wojciecha Hasa, 1968 r.

„Pan Wokulski" (1967 r.) w warszawskim Teatrze Powszechnym w adaptacji i reżyserii Adama Hanuszkiewicza.

W 2010 r. w Teatrze Muzycznym w Gdyni premierę miała „Lalka" musicalowa, zrealizowana z rozmachem przez Wojciecha Kościelniaka, z piosenkami autorstwa Rafała Dziwisza i Piotra Dziubka. Lalkami i marionetkami byli tu wszyscy bohaterowie, z pobielonymi twarzami i mechanicznymi ruchami. Wokulski wjeżdżał na scenę w skrzyni, po wygramoleniu się z niej zaczynał się wspinać po drabinie, na której szczycie była Łęcka. Twórcy odrzucili warstwę melodramatu, wyostrzyli zaś, także poprzez układy choreograficzne, temat zderzenia klas, kapitalistyczny kult pieniądza i motyw awansu społecznego.

Młodsze pokolenie reżyserów z upodobaniem osadza bohaterów i tematy Prusa we współczesnych realiach. I często nie bierze przy tym jeńców. „Gdybym miał odpowiedzieć jednym zdaniem, o czym jest spektakl, powiedziałbym, że o braku tożsamości czy o rozbitej tożsamości, o zdobywaniu chwilowej tożsamości" – mówił reżyser Wiktor Rubin w 2008 r. przed premierą swojej „Lalki" we wrocławskim Teatrze Polskim, uprzedzając, że ze sceny usłyszymy też słowa Elii Kazana, Adama Mickiewicza, Alberta Moravii i Jana Tomasza Grossa. Spektaklowy Wokulski (Bartosz Porczyk) wracał do Polski dotkniętej kryzysem ekonomicznym, co podkreślało 10-minutowe wyliczanie pensji przykładowych Kowalskich. Oderwane od realiów elity, na czele z Łęcką (Kinga Preis), celebrowały swój bal na „Titanicu", Rzecki okazywał się fanem patriotyzmu na modłę Młodzieży Wszechpolskiej, a Wokulski krążył zagubiony między tymi światami. W finale scenę wypełniała lalka olbrzym. Na miarę naszej niedojrzałości i niemożności – pisały media.

W przedstawieniu „Lalka. Najlepsze przed nami", wystawionym w 2015 r. w warszawskim Teatrze Powszechnym przez Wojciecha Farugę, Wokulski Marcina Czarnika wzbogacił się, torturując więźniów w Guantanamo albo w polskich Kiejkutach, i tylko to wspomnienie było w stanie

REKLAMA





❖ Małgorzata Braunek i Jerzy Kamas w rolach głównych, z lewej Emil Karewicz jako hrabia Łęcki w serialu Ryszarda Bera, 1978 r.

zapewnić mu seksualną satysfakcję. Ciotka Łęckiej była rzutką i cyniczną szefową fundacji, Starski coachem, o swoich uczuciach Łęcka (Anita Sokołowska) i Wokulski wyśpiewywali na imprezie karaoke. Między tymi dosłownymi obrazami sączył się subtelnie rozgrywany temat życia fikcją. Wokulski w pędzie za wyimaginowanym gubił życie i szczęście, a frustrację odreagowywał agresją.

„Lalka" Wojciecha Klemma z Teatru Słowackiego w Krakowie (2019 r.) rozgrywała się, jak mówił reżyser, w „niedokończonym wieżowcu z mieszkaniami na kredyt, którego nie da się spłacić". Późniejsza o dwa lata inscenizacja Piotra Ratajczaka ze szczecińskiego Współczesnego – na Gali Biznesu, podczas której przedsiębiorcom wręczano Złote Bociany, a śmietanka towarzyska i biznesowa ubijała interesy. A swoją zrealizowaną w 2021 r. w Gnieźnie inscenizację Radosław Rychcik umieścił w scenografii peronu na dworcu w Skierniewicach, co odnosiło się zarówno do finału powieści Prusa, jak i do całej biografii Wokulskiego – człowieka ciągle w drodze, nieosadzonego, niezakorzenionego, gnanego pragnieniami i marzeniami.

Nowe zabory i Wocool. Wieści o nowych ekranizacjach podniosły zainteresowanie powieścią Prusa, na czym teatr też postanowił skorzystać. Ze świeżych inscenizacji „Lalki" najgłośniejsza i najciekawsza okazała się ta zrealizowana w stołecznym Teatrze Dramatycznym (znajdującym się w Pałacu Kultury i Nauki, darze Stalina – co ma znaczenie dla spektaklu). Reżyser Mikita Ilinczyk był nominowany jako dramatopisarz w 2025 r. do Paszportu POLITYKI, urodził się w białoruskim Nowogródku, a do Polski przyjechał po pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę. Rozpoczyna spektakl osobistą nutą: od egzemplarza „Lalki" należącego do jego babci, która w wyniku wojny i zmiany granic znalazła się poza Polską. A następnie rozpętuje na scenie na poły satyryczne political fiction, w którym Warszawa czasów Prusa staje się Warszawą epoki nowej rusyfikacji. To spektakl o tym, że czas dziś przestał płynąć do przodu. Rosyjska agresja cofa nas do XIX w. i wcześniej, a wokół wybuchają kolejne wojny. „Obyśmy nie dożyli XV w." – mówi złowieszczo któraś z postaci. Bo skoro zawracamy do XIX w., to równie dobrze za rogiem może być wiek XV.

Bohaterowie muszą się z nowymi władcami – kupcami Suzinami w wersji noworuskich oligarchów – układać. Elity robią to zresztą chętnie, bo dla nich liczy się tylko biznes. Ofiarami nowych, konserwatywnych porządków padają kobiety traktowane jak towar i na nowo wtłaczane w role, które przewidział dla nich patriarchat. Scena po scenie zmieniają współczesne stroje na XIX-wieczne suknie. A akcja toczy się w Muzeum Sztuki Wojennej, gdzie monetyzuje się i trywializuje kobiecą traumę wojenną.

W czerwcu 2026 r. swoją wersję „Lalki" wystawili w Teatrze Rampa na warszawskim Targówku Michał Walczak i Max Łubieński, twórcy słynnego kabaretu Pożar w burdelu. „Lalka '89. Kapitalistyczna komedia romantyczna", zrealizowana we współpracy z Domem Spotkań z Historią, w sposób typowy dla Pożaru w burdelu miesza epoki, postacie i konwencje, od wodewilu, poprzez kabaret, aż po cyrk. Akcja dzieje się jednocześnie w 1878 r., 1989 r. i współcześnie. Bohaterowie są postaciami z powieści Prusa, ich wersjami w czasach demokratyczno-kapitalistycznej transformacji oraz współczesnymi wcieleniami (Wokulski np. stał się wampirem Wocoolem i uwodzi studentki polonistyki), a jednocześnie grają... w nowej ekranizacji „Lalki". Patriotycznej, realizowanej przez Grzegorza „Szczęść Boże, ratuj się, kto może" Brauna, z wykształcenia reżysera.

Jest tu miejsce na odwołania do zwrotu ludowego w opowiadaniu historii, na żarty z Rafała Trzaskowskiego, z budżetówki, a współczesnym odpowiednikiem Heluni Stawskiej jest psiecko. W finale scenę przemierza podstępna lalka, a zespół śpiewa: „W kapitalizmie nigdy nie wiesz, czy ty posiadasz lalkę, czy to lalka posiada ciebie". To też dobry komentarz do ponownych ekranizacji klasyki.

Aneta Kyzioł

eprasa.pl 37c4d1858f

HISTORIA Z POLITYKĄ

Biografie

Portrety wybitnych ludzi na tle epoki



Pomocniki Historyczne POLITYKI do nabycia na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa 22, skr. poczt. 13
RECEPCJA GŁÓWNA *tel. 22 451-61-33, 22 451-61-34; tel. /faks 22 451-61-35*
ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA LISTEL (E-MAIL) polityka@polityka.pl
PREZES i REDAKTOR NACZELNY Jerzy Baczyński
Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca), Witold Pawłowski, Bartek Chaciński
DYREKTOR WYDAWNICZY Piotr Zmelonek

REDAKTOR WYDANIA Jolanta Zarembina **WSPÓŁPRACA** Leszek Będkowski

GRAFIKA I OKŁADKA Joanna Mucho **REDAKCJA TECHNICZNA** Adam Szymański

FOTOEDYCJA Marcin Kapica **KOREKCJA ZDJĘĆ** Urszula Kozak

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE Library of Congress
FOTOGRAFIE Muzeum Narodowe w Warszawie (25), Biblioteka Narodowa (22), Domena Publiczna (21), Muzeum Warszawy (18), Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa (13), BE&W (7), East News (5), Muzeum Narodowe w Krakowie (4), Library of Congress (3), Muzeum Narodowe w Lublinie (2), Karta, Kino Świat, Muzeum – Zamek w Łańcucie, Netflix

KOREKTA Katarzyna Derdulska, Zofia Kozik, Joanna Lewandowska, Paulina Wejt

BIURO REKLAMY RECEPCJA *tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37, faks 22 451-61-68,* e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

eprasa.pl 37c4d1858f

Albatros travel

Albatros 40 lat



Oslo, Bergen i norweskie fiordy

Udaj się do najpiękniejszych miejsc w kraju wikingów. Zobacz majestatyczne fiordy, góry rzeźbione lodowcem i wodospadami oraz klimatyczne miasteczka Norwegii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. **Dz. 2** Hamar – Lillehammer – Droga Trolli – Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. **Dz. 3** Geiranger – Hellesylt – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. **Dz. 4** Bergen – Gudvangen – Flåm – Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. **Dz. 5** Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. **Dz. 6** Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy

16/06, 23/06, 30/06, 07/07, 12/08, 19/08 2027

od **5.998,-**

OCENA GOŚCI 4,6/5

Wyspy Owcze – zielony raj

Zapraszamy do krainy owiec i maskonurów, z soczyście zielonymi wzgórzami, urokliwą stolicą Thorshavn, majestatycznymi klifami Vestmanna i najpiękniejszymi krajobrazami.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa - Wyspy Owcze. Przyjazd do Thorshavn i zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Thorshavn. Rejs łodzią pośród majestatycznych klifów Vestmanna i spacer po Thorshavn. **Dz. 3** Thorshavn. Wycieczka fakultatywna „Atrakcje Północy"- 6 wysp w jeden dzień" lub czas do własnej dyspozycji w Thorshavn. **Dz. 4** Thorshavn. Całodniowa wycieczka po wyspie Eysturoy z fascynującą przyrodą i historią. **Dz. 5** Wyspy Owcze - Warszawa. Wizyta w wiosce Gásadalur i wodospad Múlafossur, widok na strome klify Tindhólmur i Drangarnir. Powrót do Polski.

5 dni | Wyloty z Warszawy

14/05, 20/06, 18/07, 13/08 2027

od **6.998,-**

OCENA GOŚCI 4,9/5

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PH02**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 37c4d1858f